

K-[2] 14/87



Ś. p. Eliza Orzeszkowa.
† 13 maja 1910. j

24. VIII. 1909
Kosjanowa

Skarony planie

List pana sprawił mi przyjemność, że
Róż: serdecznie, Dziękuję. Planista am dostanę luty
Pana w grudniu, i w domu moim, ciężej & odnowie-
nia tej przedmiotowej & najsmości naszej, i z prosta-
wami w Wilnie, naszego, a cypel: ogmieda i nieta,
i z tego, że plan, naszajcie, panistai chciat o mnie.

Niech pan imię moje wzięcie, współpraco: Róż naszego
Kwartalnika, zapisać nam; stwórzę nam luty: praco: stwórz,
o ile Kwartalnika: jako drugi: me: nie: przedmiot, najsmości: stwórz
Czemu: na: paraf: stwórz: luty? W tej: chciat: mianem:
jeszcze: & stwórz: nie: ty: nad: tem: wnet: poprostu: & stwórz:
który: to: im: 10-12: nad: stwórz. Wtedy: dacie: uwagi: jakie: tylko:
współ: tem: naszego: praco: Kwartalnika: me: luty: praco: stwórz, - co: stwórz,
na: stwórz: i, i: nie: jest: wiele. A: teraz: tylko: praco: stwórz:
i: pod: stwórz: praco: stwórz, w: stwórz: stwórz: stwórz: stwórz:
i: góra: najsmości: stwórz: Na: praco: stwórz: stwórz:
w: stwórz: stwórz: stwórz: i: stwórz: stwórz: stwórz: stwórz:

El. Orzeszkowa

18 MAJA MCMX

Eliza Orzeszkowa

Mamy świątynię promienną, wielką świątynię narodową, wznoszącą się coraz wyżej w miarę istnień i pracy następujących po sobie pokoleń. Wszystkie skarby kultury zachodniej przyswojone w ciągu wieków, przetopione w ognisku życia narodowego, skarby myśli ogarniające coraz szersze widnokregi, wieszczych słów, uczuć wzniosłych, pragnień potężnych, marzeń uskrzydłych—złożyły się w biegu stuleci na olbrzymi zasób niespożyty sił duchowych narodu, zdolnego znieść wszystkie klęski, oprzeć się największym światu tego mocom, i w chwilach najrozpaczliwszych, wobec bezwzględnych wyroków tępienia i zagłady, trwać niezłomnie z wiarą we własną nieśmiertelność.

Błogosławiony, kto choćby jedną marną cegielką do budowy świątyni się przyczyni; potrzykroć błogosławion, kto klejnoty jej skarbcza nowymi datkami pomnoży!..

Uczyniła to Eliza Orzeszkowa, i dlatego, gdy wieść żałobna o jej śmierci przebiegła z krańca w kraniec naszej ziemi, ze czcią pochylili się wszystkie czoła przed jej trumną, a wszystkie serca uczuciem wdzięczności żalnej wezbrały.

Mawiała zmarła, że „najlepszym synem ojczyzny jest człowiek najlepszy“, i całym swym życiem dała świadectwo prawdzie swego zdania, pokrewnego poniekąd innemu, które głosi, że geniusz — to praca wytrwała, że przez jej umiłowanie w imię prawdy można sięgnąć do szczytów najwyższych mądrości i piękna.

Urodziła się w r. 1842 i pełni lat młodzieńczych dobiegła w roku owym złamanych lotów, rozbitych zamiarów, krwawych ofiar ludzkich i klęski straszliwej, która, zdawało się, wydrzeć winna była narodowi wszystkie zasoby wiary i nadziei, pozbawić go

podstaw dalszego bytu. Społeczeństwo polskie stało się rozbitkiem na własnej ziemi. Zalewała ją fala obca, potężna, niezwalczona, zwycięska, i okrzyk biada zwyciężonym! unosił się nad krwią zroszonym obszarem. A jednak, po czterdziestu minionych latach mogła sędziwa już Orzeszkowa wspomnieć przed zgonem o tych czasach straszliwych i rzucić w świat hasło uroczyste: Gloria Victis!

Nie umierają bowiem, nie giną narody, nad którymi z promiennej świątyni ducha świecą gwiazdy przewodnie. Trzeba być ślepym, by nie dostrzedz, że lśniły się nad dworami i dworkami naszych ojców i dziadów, i że wichry, siejące grozę i zniszczenie, nie zdołały blasku owych gwiazd ugasić ani przyćmić. Inaczej być nie mogło. Opowiadała parę razy Orzeszkowa swoje wspomnienia dzieciinne, tak wszystkim ludziom jej pokolenia a i nam, późniejszym na ziemię przybyszom, drogie, bliskie, serdecznem ciepłem tchnące. Opowiadała, jak dzieckiem będąc z siostrzyczką Klementyną uczyły się „Śpiewów” Niemcewicza, jak obrazowały sobie zdarzenia dziejowe, jak ze czcią dziecięcą, co na wieki w sercach zostaje, patrzyły w Grednie na kamienicę, która Batoremu była domem. I gdy po wielu, wielu latach, po śmierci siostry, po długim już życiu, po dziesiątkach lat doświadczeń, powodzeń, zawodów i pracy, w czasie pamiętnego pożaru Grodna strzelił płomień z dachu „Domu Batorego”, wieść boleśnie szarpnęła sercem Orzeszkowej i wydało jęk żałosny, skarżyło się przed niebem i ziemią. Zasobom kultury narodowej, nie przestającej przez to być kulturą ogólnoludzką, wchłoniętym w latach dziecięcych, zawdzięczała Orzeszkowa podstawę moralną, na której hart jej własnego ducha wzniosł potężne dzieła pracy obywatelskiej, opromienionej ukochaniem Dobra i Piękna.

W tej głębokiej łączności z tradycjami kultury na rodzimym zagonie tkwi potęga dzieł Orzeszkowej oraz przyczyna, dla której wywarły wpływ olbrzymi na społeczeństwo. Nie oderwała się od ziemi rodzinnej, od mogił minionych pokoleń, nie szła w naród z pochodnią przygodnie u obcych zapaloną ognisk, nie rzuciła przekleństw na przeszłość, nie tworzyła widm złudnych dla gawiedzi, nie waśniła, „nie radowała się z niesprawiedliwości, ale weseliła się z prawdy”. Była, jak jej wielki poprzednik w dolinie Niemna: ukochała naród w przeszłych i przyszłych jego pokoleniach, pragnęła snuć dalej przedzę pieśni tej nieśmiertelnej, co jest arką przymierza między dawnymi a przyszłymi laty.

Potoczyła się wprzód badawcza, później twórcza a zawsze gorejąca umiłowaniem narodu i kraju, myśl wielkiej powieściopisarki po kilku drogach. Z początku torowała je kobiecie polskiej, później, poznawszy miasta i lud żydowski, zapragnęła wska-

zać w kulturze narodowej i w zasadach humanitarnych źródło braterskich zespoleń; później jeszcze zajrzała głębiej w życie szlachty zagonowej i ludu, by w końcu w syntezie wspaniałej dzieł tak skończonych i pięknych, jak „Nad Niemnem” i „Ad astra”, wyśpiewać hymn uroczysty na cześć ideału.

Nie była w rozwiązywaniu zagadnienia losów kobiecych ani doktrynerką, ani przewrotowczynią, pragnącą zniszczyć pracę wieków, zrywającą wszystkie pęty tradycji rodzinnej i cywilizacyjnej. Przeciwnie pragnęła wyzwolenie kobiety nawiązać do tej tradycji, i dlatego właśnie, dlatego że w dążnościach do wyzwolenia snuła dalej nić kultury, której zawdzięczamy wszystko, co jest dobrego w życiu, cel założony osiągnęła. Cokolwiekby mówiono o dawnym zacofaniu i niezaradności kobiety, zwłaszcza polskiej, znała przeszłość nasza szereg bohaterek, a w ponurych latach, gdy Orzeszkowa pełni lat młodzieńczych dobiegała, dość jej było rozejrzeć się dokoła siebie, by takich bohaterek cichych ujrzyć tysiące. Chodziło tylko o dostosowanie się kobiety do wymagań nowożytnego życia, i sama z rodu bohaterek będąc, Orzeszkowa sposób i drogi tego przystosowania wskazała.

„Nie byliśmy obecne — mówi ona o kobietach — przy wyrażaniu w retorce ludzkości takich ingrediencji jej pożywienia, jak wojna, dyplomacja, podboje, poddaństwo klas jednych klasom innym, prześladowanie przekonań jednych przez przekonania inne. Twory te i ich potomstwo, noszące imiona nienawiści, zawiści, zemsty, potwarzy, zepsucia, rozpacz, powstały bez udziału naszego, i nie nabraliśmy do nich smaku...”

„Jeżeli kobieta, jako siła nowa, wstąpi na arenę prac publicznych, upodobiona do tych, którzy dotąd byli jedynymi jej szermierzami i władcami, to pocóż na nią wstąpi?... Śniłam niegdyś, że jest zdolną do oryginalności, i że kiedy znajdzie się wśród areny, to nie z trójzębem gladiatora, lecz ze skrzydłem, na którym wzrok widzów wyżej nad mocujące się bary podniesie”. Zdaniem Orzeszkowej, nowa siła moralna, którą sprowadzić ma kobieta na widownię dziejów, może być określona najogólniej w wyrazach: Homo homini res sacra! tego bowiem jeszcze na świecie niema, i to kobiety na świat przywołać powinny.

Do niemieckich zaś swych wielbicielek, które z przekładem jej „Marty” w rękę dobijały się o sprawiedliwość, o wyzwolenie, pisała Orzeszkowa: „Wszędzie popęd do nauki i pracy zarobkowej, co jest godne uznania, a nigdzie porywu ku wyżynom moralnym, co jest zasmucające”. W innym liście w imieniu kobiet polskich mówiła: „Nie chcemy walczyć z instytucją rodziny i z surowością reguły obowiązującej obyczaje niewieście... Swobodne obyczaje mężczyzn — to odwieczny wytwór historii czy natury, ale

dla nas, które rozpoczynamy walkę o wolność, wybierać dla niej zakres w najniższej sferze istoty ludzkiej, byłoby poprostu wstydem. Szkoda zachodu... Znamy ruch w tym kierunku w literaturze i obyczajach, ale naśladować go nie mamy chęci ani prawa moralnego“.

Program Orzeszkowej wyzwolenia kobiety dałby się ująć w żądanie prawa do oświaty, do pracy obywatelskiej na dostępnych jej możliwie szerszych polach. Powieści Orzeszkowej uderzały w system wychowania kobiet czyniący je biernymi towarzyszkami czy... ofiarami mężów lub nędzy. W „Pamiętnikach Wacławy“ snuje się szereg postaci niewieścich, bądź zdolnych do zapewnienia sobie pracą samodzielną mniej czy więcej znośnego bytu, bądź nieudolnych, zmuszonych poddać się każdej klęsce i ginących w opuszczeniu lub hańbie. „Marta“ to biedna do walk życia nieprzygotowana wdowa, pragnąca pracować, by siebie i chorą córkę wyżywić, ale nie zna dobrze żadnej gałęzi pracy i w końcu zmęczona, wyczerpana, zdolna jeszcze odrzucić ohydne zabiegi, żyć dłużej i walczyć zdolną być przestaje. Tak samo rozpacza nad sobą i swoją nieudolnością jedynaczka Monika w powieści „Na dnie sumienia“, a czysta, uroczą pani Grabina wlecze się przez życie przykuta łańcuchem do przez los ślepy „sądnego“ jej męża nędznika.

Słusznie zauważył w swych „Dziejach literatury polskiej“ prof. Brückner, że powieści Orzeszkowej, poświęcone sprawie kobiecej, mają w przeszłości cywilizacyjnej polskiej poprzedników, począwszy od mistrza krakowskiego Gablera, który już w pierwszej połowie XVI w. sarkał na to, że mężczyźni, „bojąc się sławy swej utracić“, rozum płci panieńskiej „ku nauce i wyrozumieniu wszelkiej rzeczy ostry a prędki“ od wiedzy głębszej odsuwają.

Powieści miejskie mistrzyni grodzieńskiej wywodzą się także od przodków dalszych i bliższych, stoją w związku pokrewieństwa z „Lejbą i Siorą“ Niemcewicza, z ruchem tolerancyjnym końca XVIII w., z reformą Wielopolskiego. Na glebie kultury naszej wzrosły, z niej czerpały soki swe żywotne. Okiem badawczym rozejrzała się Orzeszkowa po mieście — ognisku dziejowem, gdzie obce nam, zamknięte w zaklętym kole dawnych wierzeń, fanatycznie do nich przywiązane, kształcone i opanowane przez ciemnych, zawziętych w swej nienawiści do „gojów“ rabinów Todrosów i melamedów Mojszów, żyją masy żydowskie od wielu już pokoleń. Umiała dojrzeć ogniw, które te masy, pomimo wszystko, zespolić by z ludnością chrześcijańską mogły, nieobcą bowiem jest obu stronom świadomość wspólnych losów, nieobce uczucia szlachetniejsze ogólnoludzkie. Jakąś nie serdeczną nawiązała Orzeszkowa pomiędzy domokrażcą Gedalim a mieszkańcami szlacheckiego dworu, pomiędzy starym hrabią a Berkiem zegarmistrzem, który niewidzialną siłą ciągniony idzie w pochodzie pogrzebowym za

trumną pierwszego, by z pośród krzyżów mogilnych cmentarza chrześcijańskiego patrzeć smutno na inny cmentarz, gdzie pod głazami omszonymi śpią tuż obok chrześcijan niezliczone pokolenia synów żydowskich wspólnej ziemi. I zdało się wielkiej mistrzyni, że powstaną w Izraelu ludzie nowi, jak jej Meir Ezofowicz, głoszący tolerancję i miłość, zapomnienie krzywd i „zbliżenie się do płomieni cudzych“, które za swoje, za wspólne wszystkim ludziom uznać trzeba. Wiedziała, że początek będzie trudny, że Meir wyklęty stanie się tułaczem, na zapytanie: czy wróci kiedy? odpowiadała: nie wiem, ale nawoływała wszystkich ludzi dobrej woli, by podali mu dłoń braterską przyjaźni i pomocy.

Meir nie wrócił dotąd. Ukazali się natomiast wśród Izraela w Polsce inni prorocy, siewcy nienawiści, wyodrębnienia, walki zaciętej z narodem naszym, poniewierania jego chwał i ołtarzy najświętszych. A jednak, wbrew wszystkiemu, tkwi w tem, co pisała Orzeszkowa jakaś prawda wiekuista, większa od rzeczywistości ponurej współczesnej, tak wielka, że jak ów Berek na pogrzebie Strumienieckiego, tłumy żydowskie i ich przywódcy przyszli hołd złożyć pamięci wielkiej obywatelki.

Nie samych tylko żydów widziała Orzeszkowa na bruku miejskim. W szeregu powieści i nowel ujęła długi szereg obrazów życia ulicy, gdzie zaniedbana kształci się dziatwa, kół drobnych urzędniczych, pracowników i pracowniczek cichych, siewców oświaty, wreszcie młodzieży z jej szlachetnymi porywami i z jej pogonią za „widmami“, unoszącymi się nad rosyjską glebą. Odczuła Orzeszkowa kulturalną duszą polską, że pomimo błyszczących pozorów, pomimo nawet niewątpliwego pierwiastku humanitarnego, z widmami temi idzie rozprężenie moralne, przed którym ostrzegała swoje społeczeństwo. Krąży w pewnych kołach zdanie, że mistrzyni nie zdołała uświadomić sobie ideałów i dążeń młodzieży, ale zdanie to słuszności za sobą niema. Tam gdzie mazgajstwo uchodzi za miłość, rozkład za wyzwolenie, brak poczucia moralnego za miłosierdzie, fanatyzm za bohaterstwo, ciasna partyjność za dążenie do wolności, doktryneryzm zaściankowo-rewolucyjny za wiedzę, materialnie pojmowane wzbogacenie drogą gwałtu klas upośledzonych za dobro powszechne — społeczeństwo, mające za sobą wieki cywilizacji, ideałów sobie szukać nie może, nie powinno. Jeżeli jego odłam, choćby młodzieńczy, to czyni, następstwem musi być szkoda narodowa. Czuła to Orzeszkowa i jak mogła, w wielu swoich utworach, przy każdej sposobności z niebezpieczeństwem walczyła *). Może dzięki jej, gdy przyszło — nie

*) Nasuwa się tu mimowoli zestawienie z nowelami Zycha: «Rozdziobią nas kruki i wrony».

wywarło tyle wpływu zgubnego ile wyrzucić było mogło, jakkolwiek niestety! wpływ ten ujawnił się u nas w sposób opłakany. Nie unikła go nawet sama Orzeszkowa, i daje się zauważyć w „Chamie“, co prawda zaledwie dostrzegalny.

Lud stał się bohaterem licznych powieści Orzeszkowej, zarówno polski w niezliczonych „okolicach“ zamieszkujący strony nadniemeńskie, jak ten białoruski, który w roku pamiętnej klęski miał przed nami, jak zresztą i przed innym, obozem chaty iserca zamknięte. Ci tylko, którzy jak stary Teleżuk w „Hekubie“, żyli się bliżej z dworami, choć obojętni na nasze uniesienia i sprawę, czuli łączność z naszym społeczeństwem odwieczną, jakkolwiek tylko w zakresie życia powszedniego. Ludu litewskiego Orzeszkowa nie знаła, nie wprowadzała go też do swoich powieści, co bynajmniej nie znaczyło, jak chcą niektórzy bojownicy ruchu narodowego litewskiego, że ruch ten lekceważyła, lub była mu niechętną. Zakres działalności pisarza jest ograniczony, jakkolwiek byłby wielki, i niepodobna zarzucać autorce polskiej, że pewnych zagadnień nie poruszyła, że pewnych prądów i postaci w słowo nie zakłęła. Cykl powieści ludowych Orzeszkowej: „Niziny“, „Dziurdziowie“, „W zimowy wieczór“, „Cham“, znaczy jakby szczyble, po których wznosi się coraz wyżej potęga jej artyzmu. Szczera prawda życia, realizm ścisły, choć wstrzemięźliwy, nigdzie nie wkraczający w brutalność, sprzęgły się w tych powieściach z czarem ciepła serdecznego, którem tylko Orzeszkowa owiewać umiała swoje utwory. Przeżyliśmy z nią razem bolesny dramat wyzyskanej przez chciwego nędznika matki chłopki w „Nizinach“, i przerażającą tragedję Pietrusi, którą w powieści „Dziurdziowie“ ciemnota zabobonna uznawała za czarownicę i na śmierć straszliwą skazała, i przygody zepsutej do szpiku kości, choć naiwnej w swem zepsuciu miejskiej zalotnicy Franki, dla której mąż — „Cham“ ma w sercu skarby wyrozumiałości i dobroci, posuniętej może nieco poza kres oddzielający je od gnuśności.

Dalej „Bene nati“ — szlachta zaściankowa, walcząca z nędzą na ubogim łanie, pomna jednak z kąd się wywodzi, klejnot swój szlachecki nad pragnienia serca stawiająca, śmieszna nieco w tej dumie, dla której szczęście Salusi, dziecka swego, poświęca, ale zarazem swoistej jakiejś wierna tradycji, która na podniesienie ludu do szlachty się godzi, ale dziewczę szlacheckiej spospolitować się przez małżeństwo z chłopem nie pozwala. Nie o butę osławioną wobec ludu tu idzie: ci „bene nati“ w siermięgach chodzą, znojem własnym rodziną używają glebę, pracują tak samo, jak ich sąsiedzi chłopci, tak samo żyją i tak samo umierają, ale że tak powiemy o „pańskość narodu“, a demokratyzm wstępny w przeciwstawieniu do demokratyzmu zstępnego, którym chcą

uszcześliwić nas apostołowie niwelacji społecznej na najniższym poziomie, zarażeni tem, co znakomity myśliciel rosyjski nazywa „duchem zstępowania“, prowadzącym narody do... mogiły, z której się nie zmartwychwstaje.

A szlachta zagonowa nie jest z rodu tych co giną, ma za sobą przeszłość pełną wspomnień promiennych i jej cześć nie przestanie. Urosła z mogił dawnych, bardzo dawnych, jak ten w „Nad Niemnem“ grób Jana i Cecyli — „1549 memento mori“ w którym spoczęli jej praojcowie, jak ten w głębi boru drugi „niewysoki pagórek, niby wał, niby kurhan, widocznie rękami ludzkimi usypany, w nierówne kępy pogarbioną trawą obrosły“ — zbiorowa mogiła tych, którym pieśń „chwały zwyciężonym“ Orzeszkowa w ostatniej swej książce wyśpiewała. Tryska życie z latorośli młodszych tych wszystkich Osipowiczów czy Bohatyrowiczów, i błogosławią mu starzy u dni swych kresu. A wielka tęcza jedności narodowej zatacza się nad dworami i nad dworkami, mieniąca się blaskiem wspólnych pamiątek, ofiar i umiłowań. Blask ten opromienił karty pieśni wspaniałej „Nad Niemnem“, w którą Orzeszkowa zakłęła uczucia najdroższe narodowi: ukochanie ludu, ziemi ojczystej i pamiątek przeszłości cywilizacyjnej, wierność dla nich niezłomną, pragnienie wywalczenia lepszego jutra, pracy wytrwałej w imię najszlachetniejszych ideałów ludzkości. Kraj i ludzie, cmentarze i osady zlewają się w powieści w całość ustrojową, nieśmiertelną. Pokrzepiający kordjak wiary i nadziei sący się z tych kart, na których przewijają się mistrzowskie obrazy przyrody nadniemeńskiej i życia ludzkiego, bije z nich akord potężny, płynąc gdzieś w przyszłe najdalsze wieki.

Potem „Dwa bieguny“: Seweryna Zdrojowska i Zdzisław Gro-nowski. Ostatni, odmiana Płoszowskiego z Sienkiewiczowskiego „Bez dogmatu“ roztrwonik życia i zbyt późno spotkawszy Sewerynę nie był już zdolny jąć się rzeczy „przewyższających jego siły, choć nie przewyższających jego pojęcia“. Pozostał mu tylko po owem spotkaniu obraz „we łzach zakłęty“ kobiety, „przed którą chce się uklęknąć i zapłakać“. W Sewerynie wcieliła Orzeszkowa swój ideał kobiety obywatelki, „prządki“ wysnuwającej nie złota, na której królestwo wielkiego Dobra z wolna opuszcza się ku ziemi. Postać tę kobietę „Anioła — mędrca“ wywołała raz jeszcze wielka powieściopisarka w „Ad astra“, utworze nieco retorycznym, ale tchnącym tak szczerą miłością dobra publicznego, takim współczuciem dla ofiar, bólu co jest naokoło nas jak morze, taką wzniosłością myśli, że stał się księgą przewodnią kobiet polskich, rodzajem modlitewnika świeckiego.

Niepodobna w tym zarysie dotknąć wszystkich większych dzieł Orzeszkowej. Wierna swoim z głębi kultury rodzimej wy-

kwitłym ideałom, szła ku nim przez życie i drogę torowała innym. Twarda to droga obowiązku wobec kultury ogólnoludzkiej, wobec narodu i kraju, z której schodzić na manowce bezdusznego kosmopolityzmu, egoistycznych uciech, karjerowiczostwa, czci dla potęgi brutalnej, biernego poddawania się losom — niewolno. Mawiała Orzeszkowa, że są dwojakiemu rodzaju dusze ludzkie: bezskrzydłe, chodzące po ziemi i skrzydlate, unoszące się nad poziomem. Obowiązkiem drugich jest muskać pierwszych skrzydłami, by nie zaczęły pętać, byłoby to bowiem największem dla wszystkich nieszczęściem. Wzniosłość myśli jest, zdaniem Orzeszkowej, koniecznym warunkiem zdrowia społecznego. Gdy zanika, znak to nieomylnego upadku. Wartość narodów mierzy się wzniosłością jego ideałów, co bynajmniej nie znaczy, by ideały takie nie mogły przyświecać najskromniejszej, najdrobniejszej pracy. Przeciwnie, winny ją uświetniać swoim blaskiem, a pod jego dobroczynnymi promieniami olbrzymieje i szlachetnieje.

Pochodnię ideału niosła też nieustrudzenie Orzeszkowa w ciągu długich i smutnych lat czterdziestu kilku, których ciemność nieprzejrzana raz tylko, na krótko rozdarły blaski jaśniejszej przyszłości. Padały promienie pochodni w ponure i ciemne otchłanie, migotały na krzyżach cmentarnych, rzucały blaski tęczowe na strzechy wiejskie, lśniły się na poddaszach, krzepiły serca i rozgadały czoła. Służyła Orzeszkowa narodowi swemu, stojąc u znicza i głosząc od ołtarza, na którym płonął, miłość i nadzieję. Była westalką i sybillą zarazem, i nie zawiódł się, kto szukał w jej dziełach nie tylko ciepła serdecznego, co koi cierpienia, ale rady rzetelnej, rozumnej i zdrowej.

Kwiaty i ziarna z jej hojnej sypały się dłoni.

Bohdan Kutylowski.



O Kardynalacie Stanisława Sistrzeńcewicza-Bohusza.

I.

Rokowania Rządu rosyjskiego z Kurią rzymską w sprawie Kardynalatu Stanisława Sistrzeńcewicza-Bohusza za panowanie Katarzyny II.

Jedną z cnót, czy też zalet Cesarzowej Katarzyny II była wielka szczodroblowość dla tych, którzy jej wiernie służyli. Za „złe“ wprowadzić płaciła „złem“, ale za „dobre“, za przywiązanie do jej monarszej osoby, za ślepe posłuszeństwo, za oddanie się tronowi i sumienną pracę — nagradzała hojnie i częstokroć nawet przekraczała „boska monarchini“ miarę w szafowaniu swych łask.

Na wierne sługi sypały się honory, klejnoty, godności i donacje złotodajne i sypały się gradem, choć „wiernych sług“, był cały legion. Byli tam, jak wiadomo ludzie rozmaitych zasług i rozmaitego fachu: ministrowie, dyplomaci, marszałkowie i kawalergardzi, filozofowie, artyści, a co najdziwniejsza, i znaczny zastęp osób duchownego stanu. Wśród tych ostatnich wybitne zajmuje miejsce pierwszy arcybiskup-metropolita mohylowski — Stanisław Sistrzeńcewicz-Bohusz.

Czy wierna służba Katarzynie i cześć dla jej rządów była rzeczą platoniczną u Sistrzeńcewicza, — w to nie wchodzimy; — konstatujemy jedynie fakt, że dawny biskup Malleński był jej oddany całą duszą, że z bajeczną skrupulatnością spełniał jej rozkazy i ostatecznie wiele dla niej zdziałał. Cóż więc dziwnego, że „Matka Ojczyzny“ ceriła go wielce i nie zapominała o nim!

Rok 1779 — to ważna data w długoletnim żywocie przyszłego metropolity wszystkich Kościołów rzymsko-katolickich w

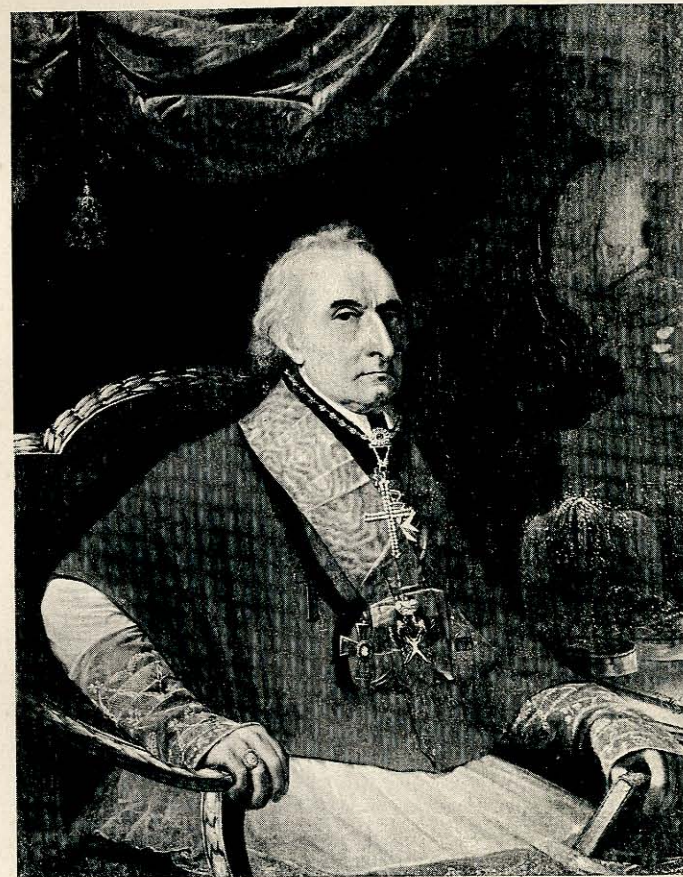
Imperyum rosyjskiem. W tym bowiem roku, stosując się do żądań Najjaśniejszej Pani, zdobywa się Sistrzeńcewicz na krok stanowczy: zwołuje radę Kapitułną do Mohylowa i niby namocy jurysdykcji nad zakonami otrzymanej z Rzymu ¹⁾ ogłasza w dniu 29 Czerwca słynny swój reskrypt zezwalający OO. Jezuitom na otwarcie nowicyatu w Połocku ²⁾). Był to piorun z jasnego nieba! W świecie katolickim powstaje wrzawa nie do opisania. Dwory burbońskie dzwonią na alarm, że wola Klemensa XIV zostaje podeptana; Kuryę rzymską ogarnia zdziwienie i przestrasz. Kardynał sekretarz stanu Pallavicini oświadcza posłowi francuskiemu Bernisowi i hiszpańskiemu Grimaldiemu w jednobrzmiącej nocie: „że wszystko cokolwiek się stało w sprawie jezuickiej ze strony Malleńskiego biskupa, jest obcem i wręcz przeciwnem tej władzy, jaka mu została nadana“ ³⁾). Pius VI wypiera się czynów Sistrzeńcewicza i nawet je potępia jako wielkie nadużycie. Ale Sistrzeńcewicz się nie cufa, znosi mężnie burzę; wykreca się jak może dyplomatom rzymskim, tłumaczy Archettemu, że nie mógł oprzeć się rozkazom monarchini, — i ostatecznie synowie Św. Ignacego tak mili sercu Katarzyny z całej tej zawieruchy wychodzą obronną ręką i mogą teraz spokojniej patrzeć przed siebie, skoro osiągnęli nareszcie to, o czym już tak dawno marzyli: — Nowicyat i nowicyuszów. Za tyle dowodów lojalności i rzetelnej służby wierny biskup musiał otrzymać sowitą nagrodę i otrzymał ją niebawem. W Grudniu bowiem 1780 r., gdy dwory burbońskie były jeszcze pod wrażeniem sprawy połockiej, pisze Katarzyna II (w d. 31 Grudnia 1780 r.) list do Piusa VI i prosi go usilnie o utworzenie na Białej Rusi łacińskiego arcybiskupstwa ze stolicą w Mohylowie i mianowanie Sistrzeńcewicza pasterzem nowej owczarni. Na razie Papież się waha, bo się obawia gromów Hiszpanii i zwleka z odpowiedzią, ale cesarzowa gwałtownie naciera, i, nie doczekawszy się z Rzymu upragnionej odpowiedzi, własną powagą eryguje archidiecezyję mohylowską. Na mocy ukazu z dnia 17 Stycznia 1782 ⁴⁾ zostaje Stanisław Sistrzeńcewicz-Bohusz arcybiskupem, otrzymuje rozległą jurysdykcję nad wiernymi i duchowieństwem katolickim w całym Imperyum, różne prerogatywy, znaczną pensję, dochody i nadto jeszcze krzyż wspaniały brylantowy na pamiątkę od wdzięcznej Monarchini. Sądzić należy, że Sistrzeńcewicz był zadowolniony z obrotu rzeczy; — dla Cesarzowej jednak to wszystko nie wystarczało.

¹⁾ Dekret Piusa VI z dnia 15 Sierpnia 1778 r.

²⁾ Cfr. Załęski. Jezuiti w Polsce. tom V. Część I str. 164.

³⁾ Załęski. Op. cit. tom V, część I. 167 str.

⁴⁾ Cfr. Kuźniecowa. Uprawienie dziełami inostrannych ispowiedanii w Rossii w jewo istoriczieskom razwitiu. Jarosław. 1898. t. I. 160 str.



X. Stanisław Sistrzeńcewicz-Bohusz.

pierwszy arcybiskup-metropolita mohylowski. Według oryginału niezn. mistrza znajdującego się w Petersb. Rzymsko. Kat. Akademji Duchownej.

Zdaniem Katarzyny biskup Białoruski zasłużył się na większą jeszcze godność, — na purpurę rzymską i takową winien był otrzymać.

Myśl ta oddawna kielkowała w jej głowie. Z obszernej korespondencji ówczesnego kardynała sekretarza stanu Pallaviciniego ¹⁾ z Garampim, Caleppim i innymi dostojnikami widać, że już w 1779 r. próbowała Cesarzowa wyjednać czerwony kapelusz dla Siestrzeńcewicza. M. D. Golicyn poseł rosyjski w Wiedniu miał cztery razy w tej mierze interpelować Kurę rzymską. Prosił ustnie nuncjusza wiedeńskiego o poparcie i protekcję, słał gorące listy do sekretaryatu stanu, ale wreszcie się przekonał, że to, o co prosił „było w danej chwili niemożliwością“ ²⁾. Taki był początek pertraktacji dyplomatycznych pomiędzy Rzymem i Petersburgiem w sprawie kardynalatu Stanisława Siestrzeńcewicza-Bohusza, — pertraktacji mających trwać blisko pół wieku. Trzech monarchów rosyjskich, jak zobaczymy, nie szczędziło zabiegów, aby wyjednać purpurę dla pierwszego arcybiskupa Mohyłowskiego; systematycznie, rzecz można, dopominało się o nią, i w rezultacie ich żądanie i wysiłki pozostały bez skutku.

Te pierwsze nie zbyt szczęśliwe kroki polityki rosyjskiej w rzeczonyj sprawie nie zraziły wszakże Katarzyny. Cesarzowa umiała być cierpliwą i wytrwałą, gdy jej chodziło o osiągnięcie tego, co uważała za rzecz ważną, a sprawa kardynalatu według niej do takich należała; — bo, jak słusznie spostrzega Kuźnieców ³⁾, miała Katarzyna na względzie nie tylko wyjednanie nagrody dla biskupa białoruskiego, ale inne ważniejsze jeczce racje. Sądziła bowiem, że Siestrzeńcewicz, skoro zostanie kardynałem, zdobędzie sobie tem samem znaczniejsze prawa i przywileje w zarządzie obszernej dyecezyi, że stanie się bardziej niezależnym od Rzymu i będzie mógł wtedy stosować się tem łatwiej do jej zamiarów i wykonywać jej wolę.

Do rzeczy wzięła się zręcznie i ostrożnie. Przedewszystkiem zwróciła się Katarzyna do Piusa VI z prośbą o nadanie purpury byłemu nuncyuszowi Archettemu, za jego prace dla kościoła katolickiego w Rosyi, a w szczególności za szczęśliwe spełnienie misyi, jaką mu powierzono przy Dworze petusburskim. Chciała tym zpo-

¹⁾ Archiwum Watykańskie. Papiery OO. Jezuitów: Caleppi do Pallaviciniego 22/VII. 1779.

Pallaviciniego do Caleppiego 9/VIII. 1779.

Caleppi do Pallaviciniego 5/IX. 1779.

Pallavicini do Caleppiego 16/IX. 1779.

Pallavicini do Garampiego 13/II. 1780 etc etc.

²⁾ Archiwum Watykańskie. Sprawy OO. Jezuitów. Pallavicini do Caleppiego. «Avra Capito Goltzyn l'impossibilità di fare il Mallense Cardinale...»

³⁾ Cfr. Kuźniecowa. Op. cit. 195 str.

sobem pozyskać sobie względy Papieża, głównie zaś zobowiązać sobie Archettego, aby móżdż później przez jego wpływy wprowadzić Siostrzeńcewicza do świętego kolegium. Prośba Cesarzowej jak najlepsze wywarła wrażenie w sferach watykańskich. Na najbliższym Konsystorzu został Archetti kardynałem, i w liście nader uniżonym, datowanym z Białegostoku (5. Października 1784 r.) pośpieszył podziękować „nieśmiertelnej Katarzynie“ za ten nowy dowód jej monarszej łaski oraz wyjątkowych względów dla niego ¹⁾. Wtedy dopiero rozpoczęła się właściwa akcja. W Grudniu 1784 r., czy też w Styczniu następnego roku książę Jusupow poseł rosyjski przy dworze sardyńskim otrzymuje od Cesarzowej polecenie udać się do Rzymu dla podziękowania Papieżowi za purpurę nadaną Archettemu ²⁾ i prosić go przy tej sposobności o godność kardynalską dla Siostrzeńcewicza. „Dasz pan do zrozumienia, czytamy w instrukcyi posła ³⁾, iż byłoby dla nas rzeczą bardzo przyjemną, a dla Kościoła rzymskiego i dla osobistej chwały jego zwierzchnika rzeczą wielce pożyteczną, gdyby Papież, chcąc dać nam nowy dowód swojej łaskawości, którą cenimy i za którą zawsze będziemy wdzięczni, raczył mianować Kardynałem naszego poddanego Stanisława Siostrzeńcewicza-Bohusza ⁴⁾. Arcybiskup mohylowski zasłużył w zupełności na to odznaczenie ze względu na swoją gorliwość dla naszej osoby i wzorowy porządek, jaki zaprowadził w powierzonej mu owczarni“. Pius VI przyjął posła serdecznie i zapewnił go uroczysto, że byłby najszcześliwszy dać Monarchini rosyjskiej nowy dowód głębokiego uznania; — nadmieniał wszakże, że nie jest rzeczą przyjętą mianować kardynałów w tych krajach, gdzie panujący nie wyznają religii katolickiej. Jeżeli Rzym uwzględni żądania Dworu petersburskiego, to i król pruski wystąpi z podobnymi pretensjami, a taki obrót rzeczy może łatwo sprawić Stolicy Apostolskiej — wiele przykrości i kłopotów ⁵⁾.

¹⁾ Archiwum Państwa. Moskwa. St. Siège. 1784. Ministère. Archetti.

²⁾ Jan Andrzej Archetti archibiskup Chalcedoński in part. pochodził ze starożytnej rodziny włoskiej margrabiów Formigarii. Urodził się w Brescii 1731 r. Po ustąpieniu Garampiego w 1776 r. zostaje nuncyuszem papieskim przy dworze Stanisława Augusta, a w 1784 r. otrzymuje kapelusz kardynalski. «Nie zdolności, ani też wyjątkowe jakieś zasługi zawiodły Archettego tak przedko do św. Kolegium. Purpurę zawdzięczał szczęśliwemu dla niego zbiegowi okoliczności i poparciu Katarzyny». Loret. Kościół Katolicki a Katarzyna II. Warszawa 1910. Str. 127.

³⁾ Cfr. Un nonce du Pape à la cour de Catherine II. Mémoires d'Archetti. Paris. 1872. Str. 240. Cfr. O rodzie książęć Jusupowych. Petersburg 1866. t. II. Pierwsza instrukcja została wysłana Jusupowami 21 Listopada 1784 r.

⁴⁾ Cfr. Monumenta Ecclesiastica Petropolitana. t. I. 52 str. Książę Potemkin zawiadomił Arcybiskupa, że Najjaśniejsza Pani kazała w Rzymie odpowiednio kroki poczynić, aby mu wyjednać czerwony kapelusz.

⁵⁾ Cfr. Tolstoj. Le Catholicisme Romain en Russie. Ton II. 30—31 str.

Odpowiedź Papieża nie przerwała rokowań. W nowej instrukcyi ¹⁾ wysłanej do Rzymu nakazuje Cesarzowa Jusupowowi energicznie prowadzić pertraktacje i użyć wszelkich środków, aby na swoim postawić. „Wyniesienie do godności Kardynalskiej arcybiskupa mohylowskiego, pisała do księcia, będzie świadectwem, że Rzym rozumie doniosłość tej rozległej dyecezy i uznaje szczególną naszą opiekę, jakąśmy otoczyli Kościół rzyski w Rosyi. Nie może przeto owa nominacja upoważnić innych panujących, nie wyznających religii katolickiej, do upominania się o podobny zaszczyt dla biskupów katolickich w swoich państwach“. Lecz i te racje nie wiele pomogły.

Pius VI zbywał posła ogólnikami, że to niby sprawa bardzo poważna, że musi się jej lepiej przyjrzeć, że musi lepiej poznać charakter i działalność arcybiskupa mohylowskiego, co wiele czasu wymaga, — słowem nic nie obiecał ²⁾. Zdaje się że misja Jusupowa na tem się skończyła ³⁾, ale sprawa kardynatu Siostrzeńcewicza nie upadła, bo rząd rosyjski dla urzeczywistnienia swoich zamiarów poruszył prawie jednocześnie drugą jeszcze sprężynę bardziej skuteczną — Archettego, Archetti miał znaczne stosunki i wpływy w Rzymie; był ceniony w Kuryi, — mógł zatem łatwo pomódz sprawie i więcej zrobić od wielu innych. Z jego korespondencji z wice-kanclerzem rosyjskim hrabią Ostermanem mamy pewne ślady, że już w Petersburgu traktowano z nim o wyjednanu kapelusza dla Siostrzeńcewicza ⁴⁾. Otwarcie przyznaje się Archetti Ostermanowi w liście wysłanym z Wiednia, że opuścił Petersburg „ze szczerem zamiarem poparcia tej sprawy, bo się zgadzała z jego przykonaniem“; obiecuje hrabiemu po powrocie do Rzymu niezwłocznie się nią zająć i — sędzi wreszcie, że żywem słowem więcej osiągnie niż listami. W parę miesięcy później donosi mu z Rzymu, że w danej kwestyi konferował już z paru wpływowemi osobami a między innemi i z nowym sekretarzem stanu kardynałem Boncompagni, który mu przyrzekł pomówić o tem z Ojcem św. i pozyskać go dla Siostrzeńcewicza ⁵⁾. Czy Archetti szczerze postępował z Ostermanem, czy też bawi

¹⁾ Cfr. O rodzie książęć Jusupowych t. II. 240 str.

²⁾ Cfr. Tolstoj l. c.

³⁾ W 1797 r. w czasie koronacyi Cesarza Pawła I, książę Jusupów przypominał Siostrzeńcewiczowi, że gorąco przemawiał z nim do Papieża, ale bezskutecznie. Dziennik Siostrzeńcewicza z 1787 r.

⁴⁾ Moskwa. Archiwum Państwa. St. Siège. Réception. Janvier. Fevrier. List Kardynała Archetti do wice-kanclerza hr. Ostermana Wiedeń 8 Stycznia 1785 r.

⁵⁾ Moskwa. Archiwum Państwa. Ministère St. Siège. 1786. Pierewod z pisma kardynała Arkietti k jemu sijatelstwu wice-kancleru iz Bolonii ot 17 Aprila 1786.

się w politykę, — nie wiemy. Jest rzeczą możliwą, że promocya Sistrzeńcewicza wydała mu się początkowo dosyć łatwą do przeprowadzenia i nawet korzystną dla utrzymania dobrych stosunków pomiędzy Kuryą rzymską i Dworem petersburskim, — wkrótce jednak zmienił swoje zdanie, bo zrozumiał, że sprawa, jakiej miał być rzecznikiem, natrafiała na ciężkie przeszkody, a przede wszystkim na komplikacje bardzo poważne natury politycznej. W Rzymie naówczas dwory burbońskie miały jeszcze znaczny wpływ na politykę watykańską. Słynny kardynał de Bernis, minister Ludwika XVI. ¹⁾ przy Kuryi, — ów „twórca papierzy“, jak go nazywano, któremu rzeczewiscie Klemeus XIV a po nim Pius VI zawdzięczali tyarę, patrzył się z niedowierzaniem na korespondencje Papieża z Katarzyną II i wraz z Grimaldim posłem Karola III szorstko przypominał Papieżowi, że nie pozwoli nigdy, aby brewe Ganganellego miało pójść w zapomnienie. Prawdziwa burza powstaje w Rzymie, gdy rozchodzi się wieść o przyszłej prekonizacyi Sistrzeńcewicza na stolicę mohylowską. Przecież biskup białoruski — to główny sprawca całej zawieruchy; — przez niego Ojcowie Jezuiti mają nowicyat i on ich święci, daje im prebendy, osłania ich swoją powagą, — i za tyle błędów, za takie widoczne natrząsanie się z Papieża i monarchów katolickich — zostanie pierwszym dostojnikiem Kościoła w Państwie rosyjskiem? Dwory francuski i hiszpański chcą rozpoczynać energiczną akcyę i oświadczają wyraźnie, że sobie same wymierzają sprawiedliwość. Jest mowa o zerwaniu stosunków dyplomatycznych, o zagarnięciu Awinionu, o zbrojnej interwencyi, — słowem dwory gotowe są na wszystko, jeżeli Pius VI nie zmieni taktyki względem Sistrzeńcewicza i Jezuitów. Na szczęście groźby nie zostały wykonane, ale strach był wielki w Kuryi. Papież się przeraził, i nie chcąc w takich warunkach narażać Stolicy Apostolskiej na gorsze jeszcze przykrości, postanowił sprawę kardynalatu zrzęcznie umorzyć i nie drażnić więcej państw burbońskich ²⁾.

Archetti oczywiście o tych okolicznościach nie mógł pisać do Ostermana. Gdy wice-kanclerz zaczął nacierać na niego i domagać się szybkiej odpowiedzi, aby osłonić Piusa VI, chwytła się były nuncyusz innych argumentów — z dziedziny prawa kanonicznego, których nie brakowało i wymownie bardzo tłumaczy Ostermanowi, dla czego Ojciec Święty pomimo najszczerzej chęci nie

¹⁾ Cfr. Frédéric Masson. Le cardinal de Bernis depuis son ministère. Paris 1903. Passim.

²⁾ Zdaje się jednak, że gdyby nie groźna postawa gabinetu madryckiego i paryskiego, to Pius VI byłby się ostatecznie przychylił do żądań Cesarzowej, bo dbał wiele i może za wiele o jej względy i cieszył się w duszy, że dzieci Świętego Ignacego ocalały w Rosyi.

może ozdobić purpurą rzymską arcybiskupa mohylowskiego. „Chyba nikt, pisał Archetti do Ostermana z Bolonii w dniu 2 Września 1786 r., nie pragnie bardziej zyskać względów Najjaśniejszej Pani od Ojca świętego Piusa VI. Papież ma dokładne wiadomości o zasługach Cesarzowej dla Kościoła katolickiego w Rosyi i nie wątpi, że łaska potężnej Monarchini może być źródłem dobrodziejstw dla jej poddanych wyznania rzymskiego“. Po takim wstępie wylicza kardynał powody, dla jakich Papież widzi się zmuszony odmówić prośbom Katarzyny. Ojciec Święty z głębi serca boleje nad tem, ale cóż pocnie, kiedy inaczej postąpić nie może?

Pomijając już racje polityczne, o jakich Papież wspominał księciu Jusupowi, winna Stolica Apostolska wzięść koniecznie pod uwagę osobę, dla której rząd rosyjski pragnie wyjednać czerwony kapelusz. Według przepisów prawa kanonicznego kardynalatu dostępują ci, co się zasłużyli Kościołowi a w szczególności Stolicy Apostolskiej. Czyż można Stanisława Sistrzeńcewicza-Bohusza do nich zaliczyć? Wiadomo wszystkim, że swojem postępowaniem zranił niejednokrotnie serce Ojca Świętego i nie zastosował się do rozkazów Stolicy Apostolskiej ¹⁾.

Nadto, arcybiskup mohylowski był ongi wyznania kalwińskiego i dopiero w 23 roku życia przeszedł na katolicyzm, tacy zaś ludzie ²⁾ w wyjątkowych tylko wypadkach mogą zostawać biskupami, ale w Świętym Kolegium dotychczas nigdy jeszcze nie zasiadali ³⁾. Wobec tego sądzi Archetti, że Najjaśniejsza Pani w swojej mądrości zechce łaskawie przyjąć tłumaczenie Ojca Świętego i nie weźmie mu za złe, że nie mógł zadośćuczynić jej gorącym życzeniom ⁴⁾.

W Petersburgu wiedziano dobrze, że sprawa kardynalatu Sistrzeńcewicza Papieżowi nie była na rękę, przewidywano opór dworów burbońskich i znaczne kłopoty dla Stolicy Świętej, ale na takie zgłędy gdy chodziło o osiągnięcie tego, co leżało niby w interesie państwa, nie zwracano uwagi.

¹⁾ Zdaje się że Archetti miał na względzie sprawę Ojców Jezuitów na Białej Rusi.

²⁾ Stanisław Sistrzeńcewicz-Bohusz urodził się z ojca Jana kustosa starodubowskiego i matki Kornelii Odyńcówny. Ociec późniejszego metropolity był kalwinem, — a matka katoliczką. Stanisław-August twierdzi w swoich pamiętnikach, że Jan Sistrzeńcewicz pod wpływem syna w starości przyjął religię katolicką. Cfr. Journal du feu Roi de Pologne Stanislas — Auguste: Bulletin. LXXXI Rukopisi francuskija № 53. Publiczna Biblioteka w Petersburgu.

³⁾ «Ustratto essendo il numero de' Cardinali, è facile nella scelta osservare tutti e ciascuno degl'indispensabili riguardi, lo che non è lo stesso de' vescovi».

⁴⁾ Główne Archiwum. Moskwa. M. S. Z. Ministère. St. Siège. 1789. Réception. List kardynała Archetti do wice-kanclerza hr. Ostermana z Bolonii. 2 Września, 1786 r.

List Archettego dosyć jasny i kategoryczny nie wystarczył Katarzynie. Po pewnym czasie zaczyna Osterman odzywać się znów do kardynała w tej samej kwestyi. W liście z dnia 4 Lutego 1791 r.¹⁾ donosi mu że rząd rosyjski trwa ciągle w zamiarze wyjednania, purpury dla arcybiskupa mohylowskiego. Cesarzowa w danej kwestyi zapatrywań nie zmieniła, — rachuje wiele na głęboki rozum polityczny kardynała, na jego względy dla jej osoby i spodziewa się, że ostatecznie zechce jej wskazać środki najodpowiedniejsze prowadzące do celu. Na odpowiedź nie czekał długo. Archetti odpisał mu niezwłocznie i jak zwykle bardzo serdecznie. „Skoro nieśmiertelna Katarzyna, brzmiał list byłego nuncjusza, porusza znów sprawę kardynalatu Siostrzeńcewicza, gotów dalej jej służyć, choć już przed paru laty bezowocnie pracował w tym względzie. Obecnie zamierza zasięgnąć rady i pomocy konsula Santiniego, bo Santini, to osobistość poważna i dobrze widziana w Kuryi; ma wpływ na Papieża, niejednokrotnie mówił mu o promocyi arcybiskupa mohylowskiego. Może więc teraz uda mu się lepiej wybadać projekty Ojca Świętego i przekonać się wreszcie, czy Pius VI nie zmieni swojej decyzji“.

Na ogół jednak list Archettego tchnie pesymizmem. Nie obiecuje rządowi rosyjskiemu nic stanowczego. Jego zdaniem rzecz cała gmatwa się coraz bardziej — głównie z winy Siostrzeńcewicza, który postępowaniem swoim utrudnia tylko szybkie i szczęśliwe załatwienie sprawy. „Odkąd się z nim rozstałem, twierdzi Kardynał, wątpię, czy wysłał do Rzymu jakiekolwiek sprawozdanie ze swych pasterskich rządów“. Niechżeż teraz przynajmniej korzysta ze sposobności i szczegółowo powiadomi Ojca Świętego o stanie katolicyzmu w Rosyi i o kościołach rozrzuconych w rozległym Państwie Najjasniejszej Pani. Jeżeli arcybiskup mohylowski wywiąże się z tego obowiązku i jeżeli da wymowne dowody Papieżowi, że pragnie jego ojcowskiemu sercu sprawić radość w tych zwłaszcza ciężkich warunkach, w jakich się znajduje, to Pius VI oceni te względy i potrafi je wynagrodzić. Tylko ci mogą otrzymać purpurę rzymską, których przywiązanie do Stolicy Apostolskiej jest powszechnie znane.

Listy i komentarze Archettego, jak było rzeczą łatwą do przewidzenia nie podobały się mocno Katarzynie. Cierpiała wielce jej duma i miłość własna, że „Papież rzymski“ niechciał zadośćuczynić jej prośbom, choć tyle razy i tak gorąco je ponawiała. Oni przed dziesięciu laty, gdy chodziło o sprawy daleko waż-

niejsze, o utworzenie nowego arcybiskupstwa na Białej Rusi, o paliusz dla Siostrzeńcewicza, o mitrę dla ex jezuita Benisławskiego, Rzym nie opierał się jej woli, zgadzał się na wszystko. — Więc pocóż obecnie, gdy się dobijała o rzecz mniejszej wagi, nie stara się Kurya zaspokoić jej żądań i utrzymać dobrych stosunków z dworem petersburskim... — i ta myśl drażniła ją niewymownie. Aby nie sędzono w Rzymie, że ustępuje, że daje za wygraną, każe stara Cesarzowa bezwzględnie na listy, argumenty Archettego kołatać dalej o kapelusz dla Siostrzeńcewicza i kołatać energicznie. Tylko tym razem już nie Jusupow będzie prowadził rokowania, ani Osterman, ale nowy ambasador rosyjski w Warszawie — Siewers z Mgr. Ferdynandem Maryą-Saluzzo di Carigliano, następcą Archettego. Siewers zna dobrze nowego nuncjusza, należy podobno do liczby jego przyjaciół, może go ciągle widywać, obcować z nim i zręcznie będzie wpływać przez niego na sekretarza stanu i na Papieża. Wystąpienie Siewersa zdziwiło bardzo Mgra Saluzzo. Wyjeżdżając bowiem do Polski, nie otrzymał żadnych instrukcji w kwestyi kardynalatu Siostrzeńcewicza i dla tego, jak się sam przyznaje w listach do sekretarza stanu¹⁾ był mocno zakłopotany. Oświadczał posłowi, że czekać musi na wiadomości z Rzymu, że sam decydować nie będzie, że w każdym razie rzecz jest ciężka do przeprowadzenia dla wielu poważnych racyi.

Siewers bronił jak mógł Siostrzeńcewicza, uciekał się do elokwencji, lecz nuncjusza nie pozyskał. „Ambasador jest przekonany, pisał Saluzzo, do sekretarza stanu, że wysłę do Kuryi sprawozdanie z naszej rozmowy, i może nawet oczekuje odpowiedzi. Wasza Eminencya osądzi sam najlepiej, czy powinienem być poinformowany o motywach odmowy Ojca Świętego i czy należy przysłać mi instrukcje w danej kwestyi. Mojem wszakże zdaniem byłoby rzeczą najkorzystniejszą tej sprawy nie poruszać, aby sama przez się upadła“. Zdaje się, że rady nuncjusza w tym względzie były zbyteczne. W Rzymie sprawa kardynalatu Siostrzeńcewicza nie miała nigdy szczerych popleczników: arcybiskup mohylowski oddawna już używał w Kuryi najgorszej opinii człowieka podejrzanego, krętacza i dworaka, który był gotów dla swojej kariery nie jedno poświęcić. Zapewno mógł być Watykan już przed laty kategorycznie odmówić Katarzynie lub dać jej wyraźnie do zrozumienia, że jej biskup faworyt nie wejdzie do Świętego Kolegium, nie chciał jednak obrażać Cesarzowej i wolał przeto politykować, zwlekać, bawić się w czcze obietnice w nadziei, że to wszystko znudzi dwór petersburski i ostatecznie skłoni go do zaniechania sprawy.

¹⁾ Archiwum główne Moskwa. M. S. Z. St. Siège, 1791. Ministère. II Expédition Card. Archetti. Projet de lettre du vice-chancelier comte d'Osterman au Card. Archetti. 4 Février, 1791.

¹⁾ Cfr. Jules Gendry. Pie VI. Sa vie — son Pontificat. Paris 1907 t. I. 400 str. Bibliot. Vallicell. Monum. Stor. Z. 8 Septembre, 1793. In cifra.

Niestety nie miało to jeszcze prędko nastąpić!

W 1795 r., a więc w dwa lata później postanawia Papież wysłać do Petersburga nowego nuncjusza dla załatwienia wielu palących sprawach kościelnych i obiera w tym celu Wawrzyńca z Margrabiów Litta następcę Saluzza w nuncyaturze warszawskiej¹⁾. Pomysł szczęśliwy i wybór trafny, ale i przeszkód nie brak do urzeczywistnienia zamiarów papieskich, bo Katarzyna żąda w zamian znacznych ustępstw a przede wszystkim kapelusza kardynalskiego dla Siestrzeńcewicza. Jeżeli Rzym nie uwzględni tego warunku, to nuncyusz granic Rosji nie przestąpi. Wobec takiej alternatywy w Watykanie nie wahano się długo. Misja Litty była rzeczą tak korzystną i pożądaną dla Kościoła, że można było dla niej ponieść większą ofiarę. Niechżeż już raz arcybiskup mohylowski zostanie kardynałem, bylebytylko nuncyusz mógł dotrzeć do Petersburga i unormować stosunki kościelne w Cesarstwie rosyjskiem. Już w maju 1796 r. zostaje Litta powiadomiony o decyzji papieskiej przez kardynała Sekretarza Stanu²⁾; Katarzynę powiadamia sam Papież. W liście z dnia 30 Czerwca t. r. obiecuje jej Pius VI że Siestrzeńcewicz otrzyma purpurę rzymską, gdyż dawne przeszkody zostały szczęśliwie usunięte. Słowem—zdaje się, że cała ta sprawa nareszcie jest bliską rozwiązania. Tymczasem zachodzi wypadek nieprzewidziany. W dniu 18 Listopada 1796 r. Najjasniejsza Pani rażona apoplekcyą—umiera i skutkiem tego wszelkie pertraktacje w danej kwestyi znów idą w odwłokę.

Ks. prof. D-r. Michał Godlewski.

(D. n.).

¹⁾ Archiwum Watykańskie. Papieży OO. Jezuitów. List sekretarza stanu kardynała Busca do nuncjusza Litty z dnia 28 Listopada 1795 r.

Wawrzyniec (Lorenzo) margrabia Litta, arcybiskup Tellański in part. a potem kardynał. Pochodził z rodu patrycyuszów medyolańskich. Urodził się 13 Lutego 1754 r. Z głęboką erudycją teologiczną i klasyczną łączył Litta wielki takt polityczny i dzięki temu zajął niebawem wybitne stanowisko w dyplomacji rzymskiej. Po szczęśliwym załatwieniu sporów granicznych pomiędzy Państwem Kościelnem i Królestwem Neapolitańskiem zostaje Litta wysłany do Polski i w chwilach krytycznych rewolucyi Kościuszkowskiej broni mężnie praw Kościoła i osób duchownych. Po upadku powstania występował Litta jeszcze jakiś czas w charakterze nuncjusza, choć położenie jego było dwóznaczne wobec zaszłych zmian politycznych. Dopiero w 1796 r. w Lutym złożył tytuł ministra Stolicy Świętej; pozostał jednak nadal w Warszawie dla doglądania spraw ekonomicznych kościoła i rzeczy dotyczących się sumienia katolików. Za zgodą Cesarza Pawła I udaje się w 1797 r. do Moskwy na koronację — a stamtąd do Petersburga, gdzie pracuje nad nowym rozgraniczeniem dycecyji w Cesarstwie. Pius VII mianował go kardynałem w 1801 r. Umarł Litta 1 maja 1820 r.

²⁾ Archiwum Watykańskie. Papiery OO. Jezuitów. List Sekretarza Stanu do Litty z dnia 28 Maja 1796 r.



ZAMEK W MIRZE.

(Garść wrażeń)

«Ktokolwiek wjedzie w Nowogrodzkie strony» od wschodu, od piaszczystych ławic nadniemeńskich w okolicach Stołpców, Świerznia i Zukowego Borka, temu, zgodnie z przypomnieniem poety, same się zatrzymują konie, wyciągając z trudem nogi i koła bryki z sypkiego szarżółtego piachu, który tu wszędzie panuje niepodzielnie wraz z rzadką sośniną, jałowcem, paprocią i nieśmiertelnikami. Jestto specyficzny miejscowy płodozmian czteropolowy, który wprawdzie nie daje chleba, ale zapewnia niejaka znajomość botaniki i uczy «żyć duchem świętym». Po kilku godzinach takiego zmagania się z «przyciągającymi» własnościami drogi, jest się u jej celu. Widzi się «miasteczko» Mir,—to znaczy: kupę bierwion, cegieł, dachów, żydów i błota, a ponad tem śmietniskiem gnijącego drzewa — wyrasta potężne zameczysko, dumnie strzelające ku niebu pięcioma stylowymi basztami—zjawisko dziwnego pełne powabu wśród nudnej szarzyzny i pustki okolicznego krajobrazu. To jakby duch średniowiecza, zaklęty w kształt kamienny, stanął nagle pośród karłowacizny współczesnego świata uragliwym widmem, jakby rycerz pancerny, w stalowe blachy wraz z swym rumakiem zakuty, wmieszał się pomiędzy bezbarwny i hałaśliwy tłum jarmarczny i—znieruchomiał, kontrastem własnej mocy z otaczającą marnością zdumiony....

Zatrzymujemy się w «pierwszorzędnym» zajeździe (hotelu) gdzie za 50 kóp. dziennie dostajemy pokój nie tyle obszerny, ile pusty, tudzież parę nieudolnych imitacji niezbędnych sprzętów i ad libitum — cebulowego fetoru i insektów. Wychodzimy «na miasteczko». Jest dzień targowy i rynek wre, kłębi się kakofonją dźwięków i zapachów, nie mających wspólnego z harfą Eola i fijołkami, a wytwarzanych przez skombinowany kwartet czterech miejscowych «żywiółów» żydow-

skiego z chłopskim i końskiego z wieprzowym. Wszystko w niemniej żywiołowym błocie po kostki.

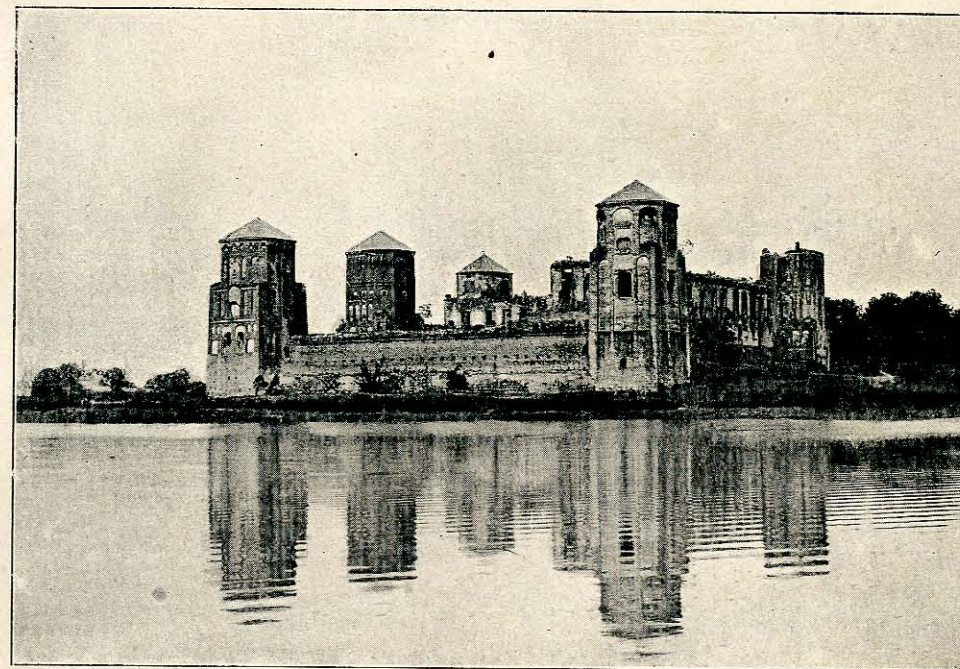
Wydobywszy się na boczną ulicę, wiodącą dołem ku zamkowi, gdzie jest odrazu znacznie przestronniej i ciszej, zbliżamy się ku zamkowemu wzgórzu, rozłożonemu opodal, z krętym u stóp gościńcem, wysadzonym starymi brzoźami. Romantyczne ruiny rosną w oczach. Ale wysoki parkan bez bramy strzeże ich odosobnienia. Zamek bowiem nie jest dostępnym dla publiczności oficjalnie, będąc od lat kilkunastu włączonym do parku Zamirskiego*), na skraju którego się znajduje. Wystarczy jednak zbliżyć się do parkanu, ażeby odnaleźć wypolerowany od ciągłej komunikacji przejazd, którego zwyczajowo wchodzi bardziej przedsiębiorczy turyści, rekrutujący się przeważnie z młodych latorośli krajowych cudzoziemców moższewego wyznania. Chnyt w górę, skok w dół, i jest się po za obrębem miasta, w alei młodych klonów i świerków u podnóża zamku.

Ogromny, krzepko rozrosły szeregami murów w wiekowych posadach, basztami uwieńczonych, przykuwa zamek wzrok wędrowca, przyciąga swą wielkością, imponuje, cześć, grozę mimowolną budzi... Wokoło cisza jakaś uroczysta — hałasy miasta zostały po tamtej stronie — tu wszystko tchnie majestatem śmierci i smętną zadumą rzeczy wielkich a minionych...

Wjazdową bramą środkowej baszty, wysokim łukiem zakreślona, wchodzimy w podwórzec kwadratowy, rozległy, zarosły gęstą trawą i wybujałymi chwastami. Tam, w odwiecznej ciszy, patrzą posepnie rdzawe mury rządami pustych okien, niby krwawych wylupany chozu; szczerbią się strzelnice, blanki i gzymsy, osypując się w kupy rumowisk; ciemnieją zatechłym mrokiem sklepione basztowe sale, krużganki, korytarze, schody i przejścia, w tajemnicze a kręte splecione labirynty, wylaniają się z pod ziemi czarnymi czeluściami głębokie łukowate piwnice; szumi wiatr w tęgich drzewinach, co wyrosły z pomiędzy gruzów, uciepione na wysokości kurczowym korzeni uchwytem; odpowiadają sobie jęklivem echem gromady ptactwa, zagnieżdżone rojno po licznych nieprzystępnych kryjówkach, a na szczytach wieżyc jak na strażnicach, bociany poważne, milczące odprawiają warty... Cicho, smętnie jak w każdym grobowcu...

A gdy na resztach zamkowego bruku zadźwięczy donośniej noga przechodnia, gdy zmierzch wieczorny otulać pocznie podwórzec i ciemniejące murów sylwety stonuje lekką, mglisto szarą gazą — rzekłbyś, iż wokoło, w tym wielkim i cichym grobie budzą się, powstają zamarłe echa przeszłości: iż przez rzędy sal i komnat zburzonych posuwicie a tłumnie, z gwarem zmieszanych głosów, z szelestem jedwabi

*) Zamirze, czyli dawny Mir z przyległościami, zostało nabyte przed kilkunastu laty przez rosyjską gałąź rodziny ks. Światopółk—Mirskich.



Mir; ogólny widok zamku.

Zdjęcie amat. p. J. Bułłaka.

i sajetów, ze szczękiem złożonych mieczów przeciągają widmowe kowrody dawnej szlacheckiej Polski, zbrojnej a strojnej, hucznej a bu-
tnej, rycerskiej a wspaniałej, a wszystko takie barwne, malownicze
takie piękne, a takie już — dalekie....

Zapadł wieczór, zasuwając niebo ciemnymi pasmami chmur, a z nie-
mi nadleciał wicher i przeciągłem wyciem zajęczał między basztami.
Po rumowiskach schodów ciemnych i wązkich, przy ustawicznym los-
kocie osuwających się i lecących w dół gruzów i chybkiem śmiganiu
spłoszonych nietoperzy, wstępujemy wyżej, czepiając się poomacku ce-
glanych występów, na mur obronny, z kąd się odkrywają szerokie prze-
strzenie otulonej w szarawe mroki okolicy.

Nie bez obaw i trudności wchodzimy wreszcie na wysokość sze-
ściu lub siedmiu pięter — na szczyt baszty. Wicher ustaje, chmury się
przerzedzają i pełny księżyc wyziera z za twardych konturów dachu.
Ukośnemi smugami światła rozsrebrzony, dziedziniec zamkowy w obra-
mieniu ciemnych murów, pełnych głębokich cieni, leży martwo wielką,
czarną trumną, ziejącą ku niebu pustką swej rozwartej głębi...

Wiatr ucichł zupełnie i tylko hurlenia sów czy puszczyków glu-
chem echem wpadają niekiedy w milczące skupienie nocy. Bez słowa
i ruchu, ogarnięci grozą i smętkiem posępnego grobowca umarłego zam-
ku patrzymy w jego wnętrze, a w myśli uparcie blakają się i dźwię-
czą niemilkającym refrenem słowa poety:

«O! cichy jestem, jak wy, o Atrydzi,
«których popioły śpią pod świerszczów strażą,
«ani mnie teraz moja małość wstydzi
«ani się myśli tak, jak orły ważą.
«Głęboko jestem pokorny i cichy
«tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy.....»

I tu, zagrzebane, śpią popioły sławy i zbrodni, miłości i zawiści,
poświęcenia i pychy... Ileż uczuć jasnych a głębokich, ile gwałtownych
porywów i czynów krwawych zamierzchłej przeszłości wyśpiewałyby
mogły te mury, gdyby z nich jakimś czarodziejskim zaklęciem wy-
dobyć świadectwo, na które od czterech wieków patrzyły!..

Tu możny ród ród Illiniczów zakłada rycerskie gniazdo *) i drżącą
przed krwawem widmem tatarskich najazdów ludność mieściny os-
łania potężnem ramieniem i warownymi murami. Płyną jak morze
czarne rotы pohańców, w łyskających zębach krzywe ściskają jatagany,
chciwym wzrokiem łatwej upatrują zdobyczy, grają rozdentami noz-
drzami, łakomie wciągają krwi opary i dymną spaleniznę pożogi...

I jak morze w czasie przypływu, rozpryskują się w setki strwożo-

*) r. 1500.

nych, uciekających fal o kamienną pierś zameczyska, z kąd grad pocisków, deszcz ognia i żelaza, nawala zwartych hufów rycerskich w sromotny popłoch i zagładę je rzuca...

Tu w ciągu trzech niemal wieków rozwija się historia i potęga Radziwiłłów nieświezkich, którzy do ostatka już nieprzerwanie zamkiem władają. Zdobywają go, czasu potopu i klęski całej Rzeczypospolitej wojska szwedzkie ¹⁾. Oto z wieżyc wykwitają pożarne dymy, oto liżą mury płomieniste języki, oto jęki mordowanych mieszają się z tryumfalnym wrzaskiem zdobywczych najeźdźców, oto spływają kamienne posady bohaterską krwią obrońców ojczyzny.

I znowu praca późniejszych pokoleń odbudowywać musi to, co zburzyła złość i nienawiść, ażeby w pół wieku potem ²⁾ znowu z gruzów i popiołów ponownego szwedzkiego spustoszenia po raz trzeci wznosić warownie...

Tu, w odnowionym jeszcze kunsztowniej i okazałej zameczysku, rozbrzmiewają wiwaty hucznych festynów księcia «Panie Kochanku»; w tych czarnych nocnego ptactwa kryjówkach grzmi i przelewa się szumna fala magnackiego zbytku, próżności i uciechy; tu bracia szlachta pijają kosztowne księżęce małmazje, popuszczają złotolitych pasów w podchmielonej swawoli, strzelają racami rubasznych dowcipów i roz hukanej ochoty, trzaskają zawadjacko szablami, pełni fantazji i animuszu, który im się kurzy z podgolonych czupryn razem z winnymi oparami....

Tu gości ostatni król polski ³⁾; król esteta i pieczeniarz, mądry statysta i płytki bawidamek, słońce łaskawego majestatu i bezwolna chorągiewka wśród dziejowej wichury, ojciec narodu i ojczyzny własnej zaprzaniec. Podejmują go uroczyście Radziwiłłowie w ostatnich przedśmiertnych latach istnienia — zamku i ojczyzny. Na schyłku stulecia i na schyłku doli, w krwawej łunie zachodzącego słońca historii; spotykają się tu ci morituri i ze stygmatami śmierci na czołach, sumitują się należnymi hołdami, błyszcą światowym polem i wyszukany przepychem, jak ucztujący w asyryjskim pałacu biesiadnicy Baltazarowi, niewiedzący, iż ręka przeznaczenia już pisze na ścianie ognistymi zgłoskami wyroczne Mane—Tekel—Phares, iż policzone są już dnie wszystkiego wokoło i zamku i króla i ojczyzny....

A chmura gradowa zagłady już nadciąga, już wisi nad nimi — już z oddali dochodzi jej szum złowróżbny, już huczy ziemia głosami dalekich gromów, zrywa się wieher, błyskają pioruny.... Nemezis dziejowa ogłasza swój pochód nieubłagany — a oni ucztują....

I oto zdobywają szturmem zamek wojska rosyjskie ⁴⁾, a podpala-

¹⁾ r. 1655.

²⁾ Za Karola XII r. 1706.

³⁾ r. 1785.

⁴⁾ r. 1794.

jąc prochy ¹⁾ rujnują go doszczętnie i niepowrotnie. I razem ze zgasłą gwiazdą Napoleońską, z podeptanymi orłami legjonów zamiera raz na zawsze życie zamku... I odtąd przez ostatnie stulecie już tylko płaczą krwawymi łzami ośleple jego okien źrenice, jęczą stargane wnętrza echami niezapomnianej chwały, a baszty opustoszałe niemym protestem wydzierają się ku niebu błagalnymi dłońmi opuszczenia i rozpacz...

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
wtóruje myśli posępnej i ciemnej;
bom oto wstąpił w grób Agamemnona
i siedzę cichy w kopule podziemnej,
co krwią Atrydów zwałana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni.... jak mi smutno!

innych słów daremniebyśmy szukali, rozpamiętując te dawne, a tak żywe jeszcze, krwią serdeczną ociekające dzieje...

Księżyc zatoczył się za chmury. Ciemność pochłonęła wszystko wokoło i czarną trumnę zameczyska ciężkim grobowym przywaliła wiekiem.

Objęła go w swe panowanie noc....

Nazajutrz, gdyśmy wczesnym rankiem powrócili do zamku, wchodzące słońce malowało już baszty różowym brzaskiem, a błękitne tło nieba podnosiło jeszcze ich jasny, radośnie uśmiechnięty wyraz. Widniała w całej okazałości przepiękna architektura tych ośmiobocznych kolosów z czerwonej cegły, bogato zdobionych kunsztownymi liniami wzorzystych fryzów i obramień, białe tynkowane wnęki, tarcz i ornamentów; potężna struktura sześciolokciowych murów, jeszcze dziś zdobnych resztkami odrzwi i futryn z ciosanego kamienia i mnóstwem głębokich strzelnic obronnych. Widniały obszerne sklepienie piwnice, dziś przeważnie zasypane gruzami i zielskiem zarosłe. Widniały w nich — niestety — i drewniane nosze porzucone w tem królestwie nietoperzy przez przemysłnych izraelitów, którzy w chwilach wolnych od zatrudnień fachowych, wynoszą masami cegłę, do budowania, a wskutek swej niezwyklej mocy i dobroci bardzo cenną. Ile tej cegły rokrocznie wędruje do pobliskiego miasteczka, o tem wiedzą tylko żydowskie kamienice i ich prawowici właściciele. Wieść niesie, iż teraźniejszym dziedzicom ofiarowywali ci ostatni za nich na rozbiórkę — całe tysiące rubli, lecz że dawali zamało i tranzakcja do skutku nie doszła, więc ją sobie przedsięwzięli żydowinowie przeprowadzają sposobem gospodarczym — detalicznie. Przed kilkunastu laty zostały baszty pokryte nowymi gontowymi dachami, które obecnie już zgniły i ledwie się trzy-

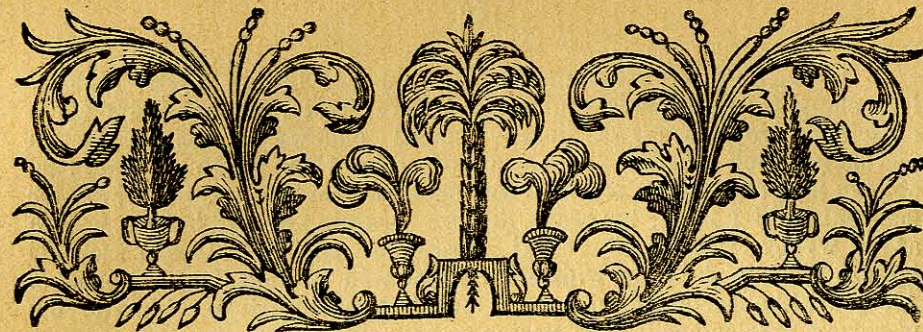
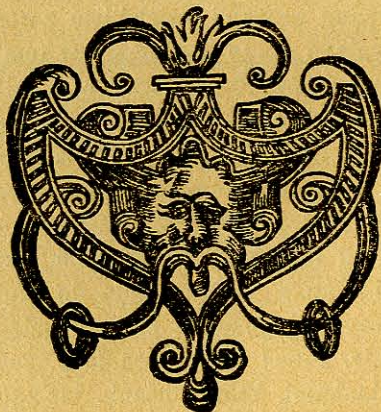
¹⁾ r. 1812.

mają, a na jednej baszcie dach obleciał zupełnie, przyspieszając zniszczenie tych pięknych murów. O nowym niema kto pomyśleć, gdyż sowy, kruki i puszczyki współ z żydami gospodarzą tu samowładnie i niepodzielnie. Niema już nawet starego stróża, który przed kilku jeszcze laty zamieszkiwał tę izdebkę na frontowej baszcie,— i tak wspinałe to i pamiątkowe dzieło starodawnego budownictwa naszego, tak wyjątkowo dobrze zachowane, takie charakterystyczne a smętnego zarazem pełne uroku niknie i marnieje w oczach z roku na rok coraz bardziej.

Chcąc na pożegnanie raz jeszcze przyjrzeć mu się z daleka, okrzyliśmy duży staw u podnóża zamku szeroko rozlany. Otaczały go sosnowe zarośla i na zielonomodrych szpilkach gałęzi drżały jeszcze światłociście ostatnie krople porannej rosy, niewypitej przez rozgorzałe słońce. Nadwodne trzciny i ajery chwiały się z lekkim wiatru podmuchem, który marszcząc fale, łamał odbicie zamku w tysiączne fantastyczne linje i kształty... A gdy na chwilę wiatr się uciszył i woda wygładziła, z jej lustrzanej szyby wynurzył się, jak żywy, drugi zamek, równie wyniosły i dumny, równie wdzięczny nieskazitelny w swych śmiałych zarysach, gorejący purpurową poświatą promiennego słońca, zatopiony szczytami w błękitnej roztoczy...

I spłonęła różową pięcioramienną pochodnią, w przezroczej jasności poranka ta cudna, zmartwychwstała zjawia średniowiecza, wznośli się królewsko wzwyż wcielonom marzeniem o feudalnym rozmachu i tężyznie, przepychu i mocy, jakby sam czas niszczący był wobec niej bezsilnym i, ujarzmiony, do ziemi paszczką i szponami przywarty, podziwiał ją w niemem zachwyceniu....

Jan Bułhak.



Z dziejów starostwa Maryenhauzkiego.

Zamysłowanie do krajoznawstwa poczęło zataczać coraz szersze kręgi nie tylko na całym Zachodzie, ale i na ziemiach polskich, stale z nim zespolonych.

Tu w kraju, w roku bieżącym, powstały aż dwa nowe czasopisma ilustrowane, z których wychodzący w Warszawie tygodnik «Ziemia» poświęcony wyłącznie krajoznawstwu, a zaś drukowany w Petersburgu «Kwartalnik Litewski» otwiera nową placówkę kulturalną na Litwie, i poświęcony nie tylko krajoznawstwu, ale także zabytkom przeszłości, dziejom i ludoznawstwu Litwy, Białorusi i Inflant polskich.

W północnym krańcu tych ostatnich, roztaczało się niegdyś słynne w swoim czasie starostwo Maryenhauskie, z którego przeszłością, na żądanie Redakcji, mamy zaznajomić czytelników Kwartalnika. A ponieważ przy każdej jednostce krajoznawczej chodzi przedewszystkiem o położenie geograficzne danej okolicy, załączamy mapkę starostwa Maryenhauskiego dla łatwiejszego orjentowania się czytelnika.

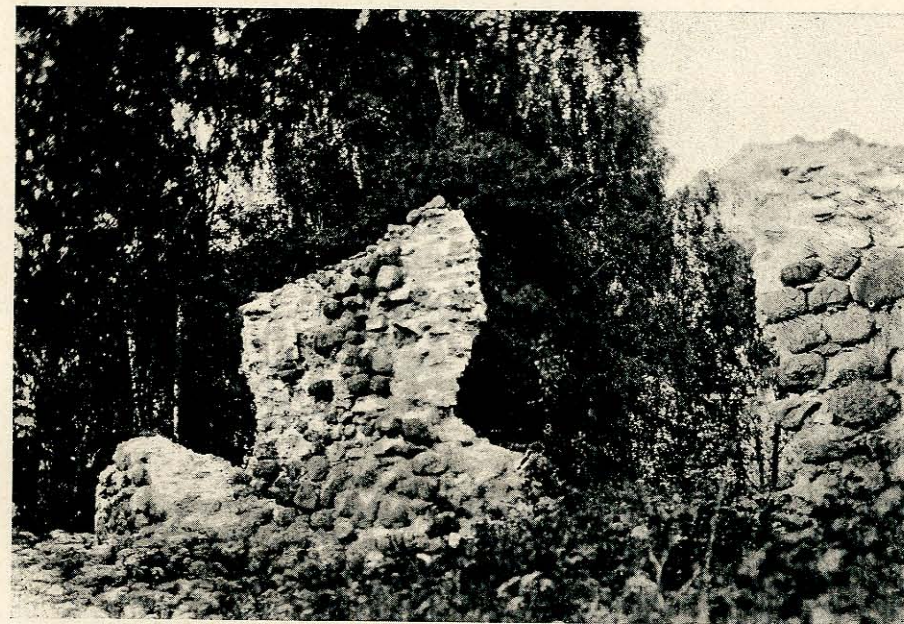
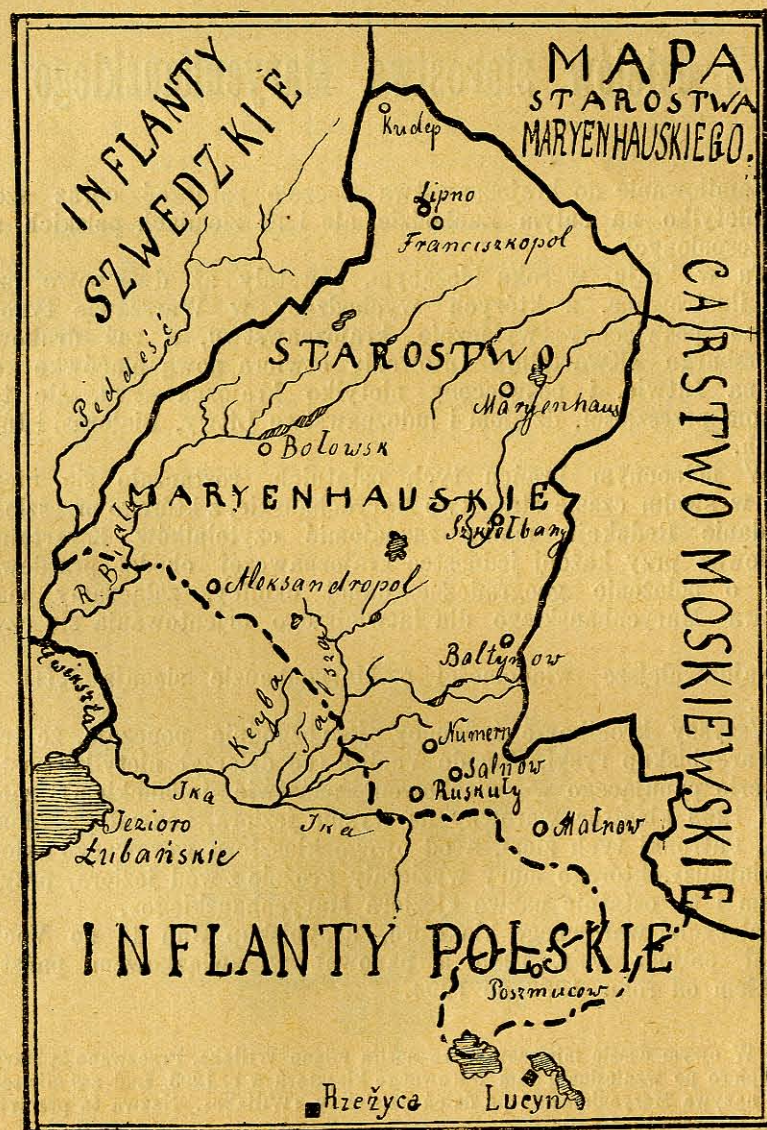
Najdawniejsze wiadomości o Maryenhauzie sięgają XIII stulecia ¹⁾.

Wszyscy kronikarze inflanccy jednoznacznie pouczają, że trzeci z rzędu arcybiskup ryski, Jan de Vechte (co dzierzył nie tylko pastorał ale i berło panującego w związkowym państwie inflanckiem) założył w roku 1293 klasztor warowny na wyspie jeziora, nazwał go «domem Maryi», Patronki tych ziem, a od owego klasztoru warownego «kloster zu Mariahaus», którego mury wznosiły się groźnie z wód jeziora, przyjęło z czasem i to ostatnie nazwę «jeziora Maryenhauskiego».

Założyciel warownego klasztoru, arcybiskup Jan II de Vechte, otrzymał paljusz w r. 1285 a panował w związkowym państwie inflanckiem od roku 1286 do 1294.

¹⁾ W owym czasie miejscowość ta nosiła miano Willaka. Przewano ją Maryenhauzą dopiero po wzniesieniu tam warownego klasztoru w r. 1293. Lud zaś miejscowy łotewski nazywa Maryenhauzę i po dzień dzisiejszy «Willake». Nazwa ta przetrwała więc u ludu przeszło 8 stuleci!

W wieku XVI siedemnasty z rządu arcybiskup ryski, pobożny lecz słaby Gaspar Linde, lubownik budownictwa, co we wszystkich częściach arcybiskupstwa liczne wznosił budowle w czasie swych piętnastoletnich rządów (panował od roku 1509 do 1524) zaraz po objęciu arcybiskupstwa przebudował od fundamentów warowny klasztor maryenhauski i nadał mu cechę jeszcze groźniejszą. Od brzegu jeziora aż do wyspy wzniesiono rodzaj mostu na palach, którego szczątki jeszcze obecnie dają się widzieć w głębi wód w dnie jasne, pogodne. Ale już kilkanaście lat po śmierci arcybiskupa Lindego, klasztor ów warowny przebudowali jego następcy na pograniczny zamek obronny ziem arcybiskupskich, nie należących do krzyżacko-inflanckiego zakonu, z którym wciąż miewali spory.



Ruiny klasztoru warownego Maryenhauskiego; zdjęcie z natury 1909 r.

Wilhelm margrabia brandenburski, ostatni arcybiskup ryski, poszedł za przykładem ówczesnego landmistrza Gotarda Kettlera i obaj, zgodnie już, całą swą obszerną ziemię oddali pod opiekę króla polskiego Zygmunta Augusta, by nie wpaść w ręce Moskwy. Arcybiskupi gród warowny Maryenhaus, wraz z krzyżackimi zamkami Dynemborkiem, Rzeżycą i Lucynem w r. 1559, naprzód jako zastaw, za kosztą wojenne, przeszedł w posiadanie Rzpltej polskiej, a po wcieleniu do niej całych dawnych Infant, stał się częścią jej posiadłości w r. 1562.

W roku 1569 oblegała Moskwa obronny zamek Maryenhauski. Osadę zamkową składali w owym czasie wyłącznie Litwini, którymi dowodzili dzielni bracia Jan i Aleksander Polubińscy.

Waleczni Litwini nie tylko zmusili oblegających do ucieczki, ale pędzili za nimi aż do Izborska, który szturmem wzięli, zabrali tam mnóstwo ludzi w niewolę, a pomiędzy nimi i wodza Naszczukina.

Moskwa, usiłując osiąść te strony w roku 1577, zburzyła silną wówczas warownię Maryenhaus, mieszkańcy zaś uprowadzeni zostali do niewoli w głąb caratu.

Za Stefana Batorego Polacy, na mocy traktatu Zapolskiego, odzyskali znowu Maryenhaus w r. 1582 i zaraz utworzono tu oddzielne starostwo.

Przy zawarciu przymierza pomiędzy Polską a Moskwą w r. 1582, znajdowało się w zamku maryenhauskim dział zaledwie 7, hakownic 8, moździerzy 2, z których jeden był nadpsuty.

Zamek warowny, na nowo umocniony, stał się siedzibą starostów maryenhauskich.

W roku 1598 rezydował w zamku maryenhauskim jako starosta, Mikołaj Suchodolski. Czytamy bowiem w sporach granicznych tego czasu słowa następujące: «Nicolaus Suchodolski capitaneus Maryenhausensis, actor» i t. d. ¹⁾. Wszakże już po kilku latach to bogate starostwo przeszło do bohaterskiego Jana Karola Chodkiewicza, co tu tylko nader rzadko przebywał.

Za czasów Rzpltej starostwo maryenhauskie płaciło kwarty 6456, Hyberny zaś 800 złotych.

Zamek ten pograniczny w wojnach szwedzkich wielokrotnie ciężko ucierpiał, a na początku wieku XVIII w czasie wielkiej wojny północnej, najzupełniej został zburzonym. Starostą maryenhauskim był w owej burzliwej epoce spokojny szambelan czyli, jak wówczas jeszcze mawiano, podkomorzy nadworny Augusta II, Jerzy Konstanty Hülsen ab Ekeln, za którego czasów ucierpiał starostwo maryenhauskie nie mało. Mamy bowiem przed sobą ciekawą relację biskupa inflanckiego Krzysztofa Szembeka do papieża Klemensa XI, pisaną w roku 1714 o stanie dyecezy inflanckiej, w języku łacińskim, a dotąd jeszcze drukiem nie ogłoszona, z której wyjmujemy tu ustęp, dotyczący wyłącznie kościoła i ówczesnej parafji maryenhauskiej, jaki w dosłownym przekładzie na język polski tak brzmi:

«Szóstym kościołem — są słowa inflanckiego biskupa Krzysztofa Szembeka — jest maryenhauski, położony nieopodal granic moskiewskich oraz tej części Infant, co nosi miano Infant szwedzkich. Ubożuchny ten dom Boży, wzniesiony z drzewa, wymaga całkowitego przebudowania aż do fundamentów.

¹⁾ Ob. Archiwum rodzinne Manteufflów M. M. Dział drugi № 3, rok 1598.

W czasie ostatniej wojny, trwającej lat dziesięć, kościołek ten skromny został pastwą Kozaków, Kałmyków i innych złoczyńców, co go tak dalece złupili, że nie pozostało w nim z paramentów kościelnych ani jednej niteczki. Dotąd używane tam bywają przeważanie aparata pożyczane. Parafianie wszyscy ubodzy, nieokrzesani. Miejscowi zaś panowie, właściciele tego starostwa, oddawna już po większej części oddaleni, tylko rzadko tam przebywali odkąd zamek zburzono¹⁾.

Godnem uwagi w łacińskiej relacji biskupa Szembeka do Stolicy Apostolskiej, jest niedostępne położenie niektórych wsi wśród lasów i moczarów maryenhauskich. Do jednych i obecnie dostać się można bez trudu jedynie zimą, kiedy bagna zamarznię, do innych znowu po belkach ułożonych na palach.

Łatwo pojąć, jak niewygodne być muszą takie ścieżki z drągów ułożonych niezawsze starannie, i mostki ciągnące się nieraz pół mili. Dzikie i niebezpieczne są takie drogi wśród lasów tej zapadłej okolicy. Dla uniknięcia ich, często potrzeba znaczną przestrzeń nakładać, gdzie znowu o suchej porze roku, ogromne pożary w lasach porobiły spustoszenia, a burze jesienne wywrotami drzew drogę zawałiły. To też powyższy czarny obraz nie pomału przerazić musiał ówczesną Stolicę Apostolską.

Papież Klemens XI powziawszy z tej relacji wiadomość o smutnym stanie Maryenhauzu, wpłynął przez warszawskiego nuncjusza na ówczesnego starostę maryenhauskiego, Jerzego Hylzena, że jeszcze w roku 1716 z gruntu odnowił kościół maryenhauski i odpowiednio go opatrzył. Obecnie wznosi się tam okazały kościół o dwóch wieżach, przez późniejszych właścicieli wzniesiony.

Jerzy Hylzen od czasu zburzenia warownego zamku w Maryenhauzie przebywał stale u boku króla w Warszawie, gdzie u zbiegu ulic Przejazd i Nowolipie wystawił okazały pałac Hylzenów ze słynną w swoim czasie biblioteką przewiezioną do hylzenowskiej Dagdy.

Żoną starosty maryenhauskiego, Jerzego Hylzena, była Anna Regina Schemelphenning von der Oije, córka radcy Elektora Brandenburskiego i przewodniczącego w najwyższym Trybunale pruskim. Pomimo że o jej wysokim pochodzeniu rozpisuje się obszernie kopejka warszawskie Scholarum Piarum (Warszawa, 1746 r. in folio), herbarz Adama Bonieckiego daje staroście maryenhauskiej niebywałe nazwisko Schimelfinck!

¹⁾ Obacz: «Relatio de statu Ecclesiae Livoniensis ab Episcopo Christophoro Szembek anno 1714-mo ad Summum Pontificem Clementem XI facta». Pod powyższym tytułem przechowuje się w Archiwum kościoła Mitawskiego rękopis po części uszkodzony, zawierający obecnie ogółem kart in folio 28. Z nich tylko §. 22—28 dotyczą wyłącznie księstwa inflanckiego czyli Inflant polskich i stanu kościołów polsko-inflanckich w roku 1714-tym.

Strony 1—10 tego ciekawego łacińskiego rękopisu obejmują pobieżny przegląd dziejów biskupstwa inflanckiego w jego fazach od roku 1186—1558 i od 1583—1715.

Strony 10—28 zawierają obraz stanu ówczesnego dyecezji inflanckiej, w skład której wchodziły całe Inflanty, tak szwedzkie jako i polskie, Kurlandja, Semigalia i Ziemia Piltyńska.

Strony 13—16 poświęcone Inflantom szwedzkim (Livonia Suecica), strona 16-ta ma ustępy: «Livonia Polonica» i «De Episcopatu Curoniensi seu Peltinensi» str. 17—22 traktują «De Ducatu Curlandiae». Nakoniec strony 22—28 zawierają rozdział pod tytułem: «Livonia mere Polonica», dotyczący nielicznych w owym czasie kościołów polko-inflanckich i ich stanu w roku 1714-tym. Ustęp powyżej dosłownie przytoczony mieści się na stronie 28-mej.

Gdy Jerzy Konstanty Hülsen, pierwszy tego nazwiska starosta maryenhauski, został ojcem drugiego syna, Jana Augusta, późniejszego kronikarza ziemi ojczyściej, — starostwo maryenhauzkie dla niego przez rodziców zawczasu przeznaczone, odtąd aż do pierwszego rozbioru Rzpltej, z domu Hylzenów już nie wychodziło¹⁾.

Jerzy Konstanty H. zakończył żywot w Gdańsku a pogrzebiony został w kościele słynnego klasztoru w Oliwie pod Gdańskiem, gdzie dotąd w prawej nawie tej wspaniałej świątyni zwraca na siebie uwagę turystów przepyszny grobowiec, jakim synowie utrwaliли tam jego pamięć.

Pomnik ów grobowy starosty maryenhauskiego, w profilu wystaje ze ściany kościoła. Składają go: obelisk z żółtego marmuru, ozdobiony herbem Hylzenów, mający około trzech metrów wysokości i wsparty na dwóch lwach, a u góry otoczony aniołami, oraz cokuł obszerny, na jakim spoczywa obelisk z bustem zmarłego (na konsoli) pięknie rzeźbionym z tegoż żółtego marmuru. Na cokule następujący napis

D. O. M.

Hic jacet in spem resurrectionis
Georgius Constantinus de Hülsen,
Dominus haeres bonorum
Dageten, Stabiten, Essen, Bukhof
etc. etc., Camerarius Regis Augusti II,
Maryenhausensis Capitaneus
vir ingenio aequae ac consilio
promptus, in utraque fortuna
semper sibi constans, semper
idem inimicitias vel non agnoscebat,
vel agnoscens superabat i t. d.

Synowie, co mu ten pomnik wystawili, byli już zupełnymi Polakami. Nie było odtąd Hülsenów Niemców na ziemi polskiej, ale byli Hylzenowie, magnaci polsko-inflancy, których liczne i coraz zwiększające się dobra rozszerzały się nie tylko w Inflantach polskich, ale na Litwie, na Białorusi, w Koronie, w Kurlandji i na Pomorzu.

W Inflantach polskich, czyli dawnem księstwie Inflanckiem, obok dziedzicznej Dagdy (Dageten), Bukmujży (Bukhof), Essenmujży (Essen) i t. d., główną podstawą ich olbrzymiej fortuny stało się starostwo maryenhauskie, obejmujące kilkanaście znacznych dóbr jako to: Bołowsk, Kudęp, Lipno, Szkiełbany, Baltyńów, Maryenhaus, Aleksandropol, Franciszkopol, Nummern, Ruskuly i t. d. a do roku 1724 Salnów i Małnów, ogółem obszar obejmujący przeszło 163,776 dziesięcin ziemi²⁾.

Starszy syn pierwszego starosty maryenhauskiego, Jerzy Mikołaj, był proboszczem katedralnym w Dyneburgu a od r. 1746 biskupem dyecezyjnym smoleńskim, młodszy, Jan August, objął po ojcu starostwo maryenhauskie i główne dobra ojcowskie, a stałą rezydencję obrał sobie w Dagdzie. O jego działalności politycznej, obywatelskiej i kulturalnej rozpisywaliśmy się na innym miejscu, jako też o jego dziele «Inflanty».

¹⁾ Ob. Akta metryki koronnej, zwane «Sygillaty metryczne» 26.

²⁾ «Słownik geograficzny ziem polskich» tom VI str. 155-ta.

Starosta maryenhauski Jan August Hylzen, kasztelan inflancki a później wojewoda miński, nie tylko przez prace naukowe pragnął się odznaczyć i chciał także coś uczynić dla ludu wiejskiego. Lud ten górno-lotewski, w owym czasie daleki był od ducha chrześcijańskiego lubo wyznawał wiarę chrześcijańską. W religii jego panował gruby zabobon i gusła. Starosta Jan August zapragnął wydać wojnę przesądom i wprowadzić cywilizację chrześcijańską pomiędzy wioski lotewskie. Obie starościны maryenhauskie, zarówno żona pierwsza starosty, Konstancja, z domu Sołtanówna, jako i druga Konstancja z domu Platerówna, pomagały mu do szlachetnego dzieła. Starosta zakładał misje w rozległych dobrach swoich inflanckich. Znalazł też człowieka zupełnie wchodzącego w jego widoki, prawdziwego kapłana ludu. Był nim ksiądz Michał Roth. Słodki i łagodny zwiedzał chałupy, cieszył i leczył, grzesznikom przynosił słowo ochronki, budował szkoły po wsiach, ze swej strony zakładał szpitale, ochronki, budował szkoły po wsiach, lokował sumy po różnych dobrach a odsetki od nich obracano na wsparcie podupadłych poddanych. Nie jeden grosz przez ręce księdza Michała Rotha spłynął, jako dar dobroczynny starosty maryenhauzkiego, pomiędzy wioski polsko-inflanckie. Ks. Rotha zwano powszechnie apostołem lotewskim. Ta gorliwa działalność kulturalna dwóch zacnych mężów, będzie zawsze świeciła w rocznikach polsko-inflanckiej przeszłości ¹⁾.

Ten dzielny starosta maryenhauski, gdy zosał wojewodą mińskim, żył mniej życiem publicznem jak prywatnem. August III mianował go wojewodą w r. 1754, gdy odrywając się od pożytecznych w Inflantach zatrudnień, przyjechał starosta na sejm do Warszawy.

Gdy w r. 1766-tym na czas jakiś przybył do swego warszawskiego pałacu u zbiegu ulic Przejazd i Nowolipie, uległ przeziębieniu i dokonał tam żywota w dniu 13 lutego 1767 roku. Pogrzebany zaś został w Inflantach polskich, w rodzimej Dagdzie, gdzie u jednego z olbrzymich filarów wzniesionego przez niego parafjalnego kościoła, dotąd jeszcze widzieć można tablicę marmurową z napisem:

D. O. M.

Hic jacet Augustus gratus

Vel morte Joannes

Qui gentem et terras

Aequae sibi, debita cui

Quanta fuere moriens remisit

Quid fuit et fecit, nomine

Utroque notat.

Mrns A. D. MDCCLXVII febr. XIII die.

(Łacina nieco dziwna i nie wszędzie zrozumiała).

Jan August pozostawił dwóch synów: wojewodę mińskiego Józefa i Justynjana. Starostwo maryenhauskie objął po nim młodszy syn jego, Justynjan Hylzen, generał-major wojsk polskich, żonaty z Działyńską. Dla niego ojciec aż dwa razy wyrabiał przywileje na starostwo maryenhauskie, raz za króla Augusta III Sasa, a drugi raz za Stanisława Augusta. Wojewoda Jan August bowiem zwyczajem panów polskich pod starość wyrabiał u króla tylko przywileje dla synów swoich na

posiadanie starostwa. Nie ustępował im jeszcze władzy, ale zapewniał po sobie dziedzictwo przez tak zwane jus communicativum albo przez ekspektatywę. Tak ustąpił Parchowa na Pomorzu, gród Brasławski na Litwie, a Maryenhauszczyznę w Inflantach.

Tenże Justynjan Hylzen był posłem z księstwa inflanckiego na sejmie elekcyjnym i podpisał wybór ostatniego króla polskiego nie tylko jako wojewodzie miński, ale także jako starosta maryenhauski. Na kilka miesięcy przed śmiercią ustąpił mu rzeczywiście z Maryenhauzy kronikarz Infant, wówczas już wojewoda miński. Rezydował wszakże Justynjan w tem starostwie tylko do śmierci ojca, zmarłego—jak już wiemy—w Warszawie 13 lutego 1767 roku.

Odtąd ostatni starosta maryenhauski Justynjan Hylzen, komandor maltański, osiada w stolicy rozległych posiadłości ojcowskich, w pałacu dagdzieńskim, gdzie ostatni ten starosta maryenhauski dopiero po 11-tu latach umiera, niemogąc atoli przekazać Maryenhauszczyzny swemu jednemu synowi Idziem.

Po śmierci ostatniego starosty maryenhauskiego, Maryenhaus z całym swym obszarem ziemnym, jako królewsczyzna, w roku 1778 przeszedł do panującej już wówczas nad Inflantami polskimi Katarzyny II, a carowa cały ten rozległy okręg byłego starostwa maryenhauskiego oddała na prawie wieczystem zasłużonemu swemu dygnitarzowi I. P. Jelaginowi, właścicielowi znanej po dzień dzisiejszy części Petersburga, zwanej «Jelagin Ostrow». — Jelagin aż do śmierci zwykł był spędzać lato w Maryenhauzie z całą swą rodziną. Tam go nieraz odwiedzał w pięknej porze roku słynny zbieracz ryski, Jan Krzysztof Brotze, którego 10 tomowy rękopis bogato ilustrowany, stanowi dotąd podziwiany powszechnie unikat ryskiej biblioteki miejskiej, znany szeroko p. t.: «Sammlung Livländischer Monumente» i t. d.

Zbiór to znakomity. Składa się z dziesięciu sporych tomów in folio majori a oddaje niepomierne usługi badaczom dziejowym, gdyż zdobią go tysiące ciekawych i jedynych w swoim rodzaju ilustracji, oraz opisów odznaczających się wiarogodnością.

Mieści się także w tych 10-ciu tomach kart kilkadziesiąt in folio, poświęconych wyłącznie Infantom polskim, które w latach 1792—1797 badał uczony zbieracz dokładnie, zwiedzając je corocznie w miesiącach letnich. Ryciny i opisy, dotyczące dawnego księstwa inflanckiego w zbiorach Brotzego, wylicza systematycznie książka nasza «Inflanty polskie» (Poznań 1879 r.) na stronicach 164 i 165-tej. Ograniczymy się więc tutaj jedynie na zaznaczeniu, że do dawnego starostwa maryenhauskiego odnoszą się, w tomie VII zbioru, strony 121, 126, 128 i 135-ta. Przedstawiają one ruiny zamku Maryenhauskiego nie tylko ze strony wewnętrznej, ale i zewnętrznej, od wyspy, widok ówczesnej plebanji Maryenhauskiej a także ciekawe stroje ludowe ówczesnych Łotewek tego starostwa z ostatnich lat XVIII stulecia.

W tymże tomie VII, przedstawia strona 171 ówczesny kościół parafjalny w Maryenhauzie, zrysowany z natury w r. 1794.

Tom VIII dzieła zawiera na stronie 76-tej wierny widok dworu Maryenhauskiego z czasów Jelagininów, a zaś tom X podaje ciekawy widok zwalisk tegoż zamku Maryenhauskiego zdjęty tym razem przez Brotzego od strony jeziora.

Załączamy tu ze zbiorów Jana Krzysztofa Brotzego grupę maryenhauskich Łotewek, które w wieku XVIII nosiły stroje zgoła

¹⁾ Kwartalnik historyczny z r. 1902, XVI, str. 401—428.

odmienne od dzisiejszych i już tem samem zasługują na uwagę zarówno historyków jak krajoznawców.

Na dni świąteczne — są słowa Brotzego — kobiety tutejsze noszą niebieskie kurtki czerwonymi sznurkami obszyte, tudzież zielonymi żółtymi kutasikami obwieszone. Spodnica niebieska lub biała różnobarwną sieczką przystrojona. Na szyi paciorki szklane żółte, szafirowe lub czarne, a przedzielają je rzędy drobnych muszelek, nie znajdujących się w jeziorze Maryenhauskiem. Głowę ubiera czepiec z czerwono obszytymi szlarkami, na wierzach którego narzucona namiotka, t. zw. «pawoj», ma końce czerwono haftowane; z pod niej wystaje jedwabna chusteczka.



Dawne stroje kobiece łotewskie z okolic Maryenhauzu, rys. z nat. J. K. Brotze w r. 1797.

Ramiona przykrywa rodzaj narzutki, zwanej «paponna», uszytej z przegowanego płótna, na którą spadają na plecach końce namiotki. Fartuch płócienny. Stan opasuje czarny rzemyk nabity cynkowymi blaszkami. Paponnę spina na piersiach duża srebrna klamra; z pod niej wychodzą różnobarwne jedwabne wstążeczki.

Panna młoda w dzień ślubu otrzymuje czerwoną sukienną czapkę, u dołu oszytą kunie futerkiem, po nad którym połyskuje złoty galon. Czapki takie w dni uroczyste są używane.

Zamiast skórzanych chodaków, charakteryzujących obuwie szwedzko-inflanckie, noszą włościanki byłego starostwa Maryenhauskiego plecione łapcie, przywiązane do nogi około białych pończoch czarnymi szerokimi taśmami.

Dziewczeta splatają włosy w jeden warkocz, głowę zaś zdobi wianek ze sztucznych kwiatów a czasem i kwiecia naturalnego; na

wielki zaś strój kładą rodzaj korony z niebieskiego sukna, opiętego na korze. Korona ta naszyta jest sieczką, a z pod spodu wychodzi czarny płat sukna z czerwoną wypustką. Sam wierzch ozdabiają piórka albo czerwone i niebieskie wazkie wełniane kliniki. Z pod korony spływają na plecy liczne jedwabne i wełniane wstęgi.

Zamiast zausznic w powszechnem są u dziewcząt użyciu paseczki ze splecionej z sobą szklanej sieczki; do nich przytwierdzają parę lub więcej drobnych monet. Na szyi połyskują całe rzędy szklanych paciorków, muszelek a czasem i monet. Obuwie i fartuch biały, takie jak i u mężatek. Paponna bogaciej u dołu obszyta; powyżej łokcia opasuje ją do koła niekiedy zlekka narzucona szeroka wstęga.

Za czasów Brotzego ogromne przestrzenie nie były jeszcze straciły pierwotnych cech dawnego tak rozległego starostwa. Puszcze i lasy dziewicze (następnie mocno przetrzebione), składały tu przeważnie świerki i sosny niebotyczne. W innych znowu częściach tych puszczych wielomilowych, wszelkie gatunki drzew, jakie tylko klimat Inflant polskich do siebie przytulił, splatały się w gąszcz leśny. Król puszczy dąb, lipa i czarna olcha, klon, jesion, wiaź, brzoza i świerki, żyły tam częstokroć w sąsiedztwie i zgodzie. Części dawnych puszczy, gdzie obecnie osina zaczyna zalegać drzewostany, czerniały tam jeszcze od drzew iglastych, a wszystkie części tych odwiecznych lasów tę miały i mają dotąd właściwość, że napotyka się w nich mnogość porożrzucanych wśród gąszczu leśnego bloków eratycznych. Gnieździły się w tych puszczech niedźwiedzie i rysie, całe stada łosiów tam się napotykały, a za czasów starostwa Suchodolskiego i Jana Karola Chodkiewicza nie brakło nad strugami leśnymi i gonów bobrowych, jak świadczą ówczesne lustracje.

Obfitość wody była niezmierną; nie brakło zgoła jezior rybnych, z których najobszerniejsze jezioro Bołowskie, liczące 13 wiorst długości, tudzież Maryenhauskie. Śród lasów Bołowska 3 wąskie jeziora wiosną zlewają się do rzeki Bołtupia a przez nią do Ewikszyty, znanej już kronikarzom XIV stulecia, gdyż wspomina o niej Henryk Wartberga w r. 1385).

Wzgórza najwyższe, pokryte lasem wysokopiennym, spotykały się w dobrach Ruskuly i Nummern, i tamże wiele ciekawych uroczysk, w których za czasów starostwa Maryenhauskiego, na pół pogańska Łotwa ówczesna odprawiała swoje dziwne bałwochwalcze zwyczaje po uroczyskach, kłaniając się poświęconym drzewom, przed któremi w wiadomej im jednym tylko porze, składali ofiary i przywozili czarnego wołu, czarną kurę i beczkę czarnego piwa, poczem wśród płasów i uczty uroczystość po swojemu święcili. Przez długie wieki bowiem inflanccy Łotysze aż do końca XVIII stulecia dzielili tu i ówdzie błędy starożytnego politeizmu z sąsiednim ludem litewskim, poświęcali dęby wiekowe gromowładnemu Perkunowi, bożkowi wszystkiego co potężne, majestatyczne i przerażające. Ztąd w języku łotewskim grzmoty i pioruny i dotąd się nazywają «perkuny» i nie mówi się nigdy: «piorun uderzył», ale «piorun zstąpił» (perkuns spiāra).

Po śmierci Jelagina Maryenhauszczyzna przeszła w ręce Buturlinów, ci zaś z kolei ustąpili cały ten obszar (obejmujący 163,776 dzieśięcin) na dziwnie dogodnych warunkach swemu rządcy, Szymonowi Horożańskiemu, małorolnemu ziemianinowi sąsiedniej gubernji pskowskiej. Ten zaś, przeniósł niebawem główną siedzibę do oddalonego o mil

kilka od Maryenhauzy Bołowska, wznosił tam nad rozległym jeziorem pałac wspaniały z parkiem i licznym zabudowaniem.

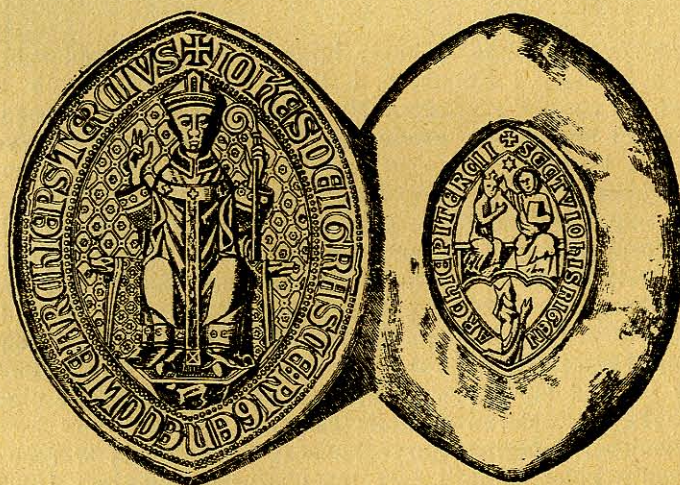
Oprócz 42,000 dziesięcin obszaru, należących do majątności Bołowska wraz z attynencją Aleksandropolem, pozostawił Horożański przy sobie dobra: Baltynów, Szkiełbany, Franciszkopol, Maryenhaus, Lipno i Kudęp, jakie wydzierżawiał. Ruskuły zaś i Nummern, liczące ogółem 39,125 dziesięcin obszaru, sprzedał zięciowi dziedzica całej Warklanszczyzny a ostatniego wojewody bełzkiego M. Borchę, Teodorowi hr. Kellerowi, nie mogąc utrzymać się przy tylu rozległych dobrach a równocześnie uiszczać się w pewnych ratach z opłat, należnych byłym posiadaczom tej olbrzymiej całości.

Przyciśniony w roku 1824 nowymi ciężkimi wyplatami, przystąpił ponownie do zbycia kilkudziesięciu tysięcy dziesięcin obszaru ziem po Buturlinowskich i w tymże roku sprzedał za gotówkę, 36,435 dziesięcin ziemi, wraz z dworem i osadą Maryenhaus, nieznanemu zgoła w okolicy Ignacemu Lipskiemu, rodem z Połockiego. W liczbie owych 36,435 dziesięcin, było atoli zaledwie 3000 dzies. łąk i ziemi ornej, resztę zaś obszaru zajmowały lasy, mokradła, błota nieprzebyte i nieużytki.

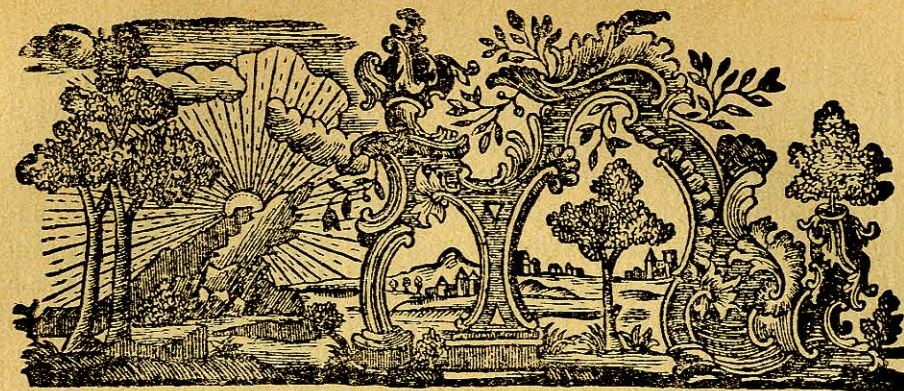
A że ów przedsiębiorczy Horożański i dalej żył nad skalę, posprzedał z kolei pozostałe dobra Lipno, Kudęp, Franciszkopol, Szkiełbany, Baltynów i t. d. ichże długoletnim dzierżawcom, a zaś około roku 1865 przeszedł наконец i ów po wielkopańsku urządzony Bołowski, za długi, w obce zgoła ręce.

Pomijamy dalsze wiadomości o rozpadłych na mnóstwo cząstek całości dawnego starostwa Maryenhauskiego jako do jego dziejów już zgoła nie należących, zwłaszcza iż w ciągu ostatniego pół wieku, niemal wszystkie one zmieniały kilkakrotnie posiadaczy rozmaitego stanu i najrozmaitszej narodowości.

Gustaw Manteuffel.



Pieczęć arcybiskupa ryskiego Jana II de Vechte założyciela klasztoru Maryenhauskiego.



Czasopisma polskie na Litwie.

Dziennikarstwo nie posiada dotąd swojej historii. Czasami historia literatury wspomina o tem lub owem 'czasopiśmie', przyznaje, że miało ono to lub owo znaczenie, wogóle jednak o dziennikach w historii literatury nie mówi się. Szóste mocarstwo jest potęgą dnia dzisiejszego, dzień wczorajszy tej potęgi nie obchodzi już nikogo i dziennik, co stwarza wielkość, sławę, nieśmiertelność, sam ma żywot motyli. Nazwiska wybitnych dziennikarzy, same nazwy dzienników bardzo szybko ulegają zapomnieniu, spotyka ich los artystów dramatycznych, śpiewaków—pozostaje po nich tylko wspomnienie.

Jeżeli literatura jest zwierciadłem, w którym nie tylko odbija się, ale i utrwala życie narodu, społeczeństwa, w danej epoce, jego poglądy, dążenia, pragnienia, zapatrywania na potrzeby i obowiązki, to prasa perjodyczna jest tem samem w stopniu wyższym. Dziennik to samo życie, wierna fotografia jego w dniu wczorajszym. To też dla historyka przyszłości dzienniki będą jednym z najcenniejszych źródeł, czego przecie powiedzieć nie można o prasie doby minionej.

Dzienniki stosunkowo nie dawno stały się tem czem są dziś, nie od dawna posiadają informacje ze wszystkich świata końców, trzymają rękę na pulsie swego społeczeństwa, notując skrzętnie wszelkie objawy życia, prowadzą politykę, oceniając z jej stanowiska wypadki, pouczając opinie, i kierując nią. I technika, i zadanie czasopisma dawnych czasów były inne, jego znaczenie mniejsze, skromniejsze. Już jeden tylko taki czynnik, jak cenzura, ciężąca na piśmiennictwie przez lat tyle, pozbawiała prasę możności odzwierciadlania wielu stron życia, ale mimo wszelkie braki, czasopisma dawne są w każdym razie cennym przyczynkiem do dziejów ducha i obyczajów narodu.

Opracowanie historii dziennikarstwa polskiego jest rzeczą niesłychanie trudną już chociażby dla tego, iż nie ma biblioteki, która-by

posiadała komplety wszystkich pism periodycznych polskich. Korzystając z księgozbiorów petersburskiej biblioteki publicznej i akademii nauk, piszący te słowa opracował historję czasopism polskich na Ukrainie, Podolu i Wołyniu oraz w Petersburgu. Pierwszy z tych szkiców (Czasopisma na Rusi) był wydrukowany w skróceniu w pierwszych numerach «Dziennika Kijowskiego», drugi w pierwszych numerach «Kraju Codziennego». Praca obecna jest trzecią z kolei w tym zakresie, a nie ulega wątpliwości, że dotyczy czasopism kresowych najważniejszych, najciekawszych, bo gdy pisma kijowskie i petersburskie grały drugorzędną rolę w dziejach naszego piśmiennictwa, oświaty, samowiedzy narodowej, pisma wileńskie miały znaczenie pierwszorzędne.

Dziś, kiedy obydwie placówki zajmowane niegdyś przez prasę polską są znowu obsadzone, pora wielką wspomnieć pracowników, którzy orali tę niwę niegdyś, ucząc swych współobywateli myśleć, czuć, wskazując im drogi i obowiązki.

I.

«Kurjer litewski». — Okres najdawniejszy r. 1759—1800. — «Gazety wileńskie». — «Kurjer» w XIX wieku. Jego treść i współpracownicy. — Paprocki, Januszkiewicz, Włoddek. — «Gazeta litewska». — «Dziennik wileński». — Jego program. — Treść i współpracownicy «Dziennika»: Śniadecki, Jundziłł, Groddek. — «Gazeta literacka wileńska». — Kontrym.

Najpierwszem i najdawniejszem z czasopism polskich na Litwie jest «Kurjer Litewski». Przywilej na wydawanie go i gazet wogóle otrzymała w r. 1757 od Stanisława Augusta Poniatowskiego prowincja litewska zakonu jezuitów. Faktycznie «Kurjer» zaczął wychodzić w r. 1759. W r. 1761 przywilej potwierdzonym został i tym razem otrzymało go Collegium nobilium akademii wileńskiej zakonu jezuitów.

Początkowo «Kurjer» wychodził raz na tydzień, ale od r. 1761 wychodzą przy nim jako dodatki «Gazety wileńskie» i «Wiadomości literackie».

Numery «Kurjera litewskiego» z pierwszych lat jego istnienia są to białe kruki. Numerów z r. 1759 nie ma nigdzie. Biblioteka uniwersytetu warszawskiego posiada tylko, jak świadczy Estrejcher, numery pojedyncze z r. 1760, 1761, 1762 i 1763. Biblioteka jagiellońska ma również po kilka numerów z tych lat. Biblioteki petersburskie nie mają ich wcale.

Od r. 1762 do r. 1789 «Kurjer» wychodzi pod nazwą «Gazety wileńskie», które są nie mniej rzadkie, niż numery z pierwszych lat «Kurjera», a gazet z r. 1765 do 1782 nie widział nawet Estrejcher.

W r. 1789 następuje przerwa kilkoletnia i na Litwie nie wychodzi ani jedno pismo.



Stanisław Jundziłł.



Tadeusz Czacki.



Jędrzej Śniadecki.



Jan Śniadecki.

W r. 1796 zostaje wznowiony «Kurjer litewski» pod nazwą pierwotną, ale wychodzi tym razem w Grodnie dwa razy na tydzień od 3 października r. 1796 do 29 września 1797, poczem znów zostaje przeniesiony do Wilna, gdzie już wychodzi stale.

W Petersburskiej Cesarskiej bibliotece publicznej jest komplet «Kurjera litewskiego» dość dobrze zachowany, z niewielkimi tylko brakami, rozpoczynając od r. 1800. Pra-dziennik wileński tak wygląda:

Duża ćwiartka podzielona na dwie szpalty. Numer zawiera zazwyczaj cztery kolumny, czasami sześć. Dziennik wychodzi dwa razy na tydzień: we środy i soboty. Tytuł skromny, pismem mało co większem od zwykłych czcionek, jakimi drukowano numer, opiewa:

«Kurjer litewski» za pozwoleniem Najwyższego rządu Najjaśniejszego Cesarza Imperatora całej Rosji.

Dawny «Kurjer» z przed r. 1800 miał na czele numeru drzeworyt, przedstawiający «Pogoń», którą od r. 1761 zamieniono na kurjera z trąbką. Treść «Kurjera litewskiego» w porównaniu ze współczesnymi dziennikami polityczno literackimi jest nadzwyczaj uboga, a przedewszystkiem bardzo jednostajną. Artykułów wstępnych, telegramów, feljetonów, nawet informacji i wiadomości miejscowych w dzienniku nie ma i właściwie «Kurjer zawiera jeden tylko dział: przeglądy prasy, lub ściślej wyciągi z innych gazet, przeważnie zagranicznych. Na czele każdego numeru idą wiadomości z Petersburga, czerpane z urzędowej gazety tamtejszej o mianowaniach, odznaczeniach, dymisjach urzędników wyższych, przeważnie takich, którzy nic a nie czytelnika wileńskiego obchodzić nie mogą: Sowietników w Permie, esaulów nad Donem i t. d. Dalej wiadomości: z Wiednia, Berlina, Paryża, Brukselli, Frankfurtu i t. d., a w samym tytule jest wskazane otwarcie z kąd je redakcja czerpie. Artykuły noszą tedy takie nagłówki: z gazety Frankfurckiej, z gazety Hamburskiej, z gazety «Courier du Bas Rhin» i t. d. Technika «Kurjera litewskiego» była bardzo prosta. Redakcja otrzymywała kilka pism zagranicznych, sądząc z cytatu nie wiele nawet: z pięć, sześć, nie więcej, i robiła z nich sumiennie wyciągi wiadomości najważniejszych.

Współpracownicy «Kur. litewskiego» są skromni, nikt swoich referatów nie podpisuje. Czy wkłada w nie coś swojego, czy tłómaczy tylko, czy też streszcza, przerabia, opracowuje po swojemu — powiedzieć trudno, trzeba-by porównać wyciągi z oryginałami. Zaznaczyć przecie trzeba, że wszystkie artykuły są nadzwyczaj obiektywne, autorzy bez żadnych uwag, komentarzy opowiadają to, co się w różnych miejscowościach Europy dzieje. A działy się wówczas rzeczy ciekawe: rok 1800—1807 to czasy epopei Napoleońskiej: konsul kładzie na głowę koronę, zdobywa kraje, podbija narody.

To też numery «Kur. litewskiego» z tych lat są ciekawe, mu-

siano je czytać skwapliwie, z drzeniem musiano je rozchwytywać. Dziennik nie jest tani, kosztuje w r. 1800 złotych 80 czyli 12 rb. dzisiejszych, co, zważywszy, że piśmko wychodzi zaledwie dwa razy na tydzień i zawiera sześć kolumn formatu współczesnych tygodników, zważywszy że pieniądze sto lat temu były znacznie droższe, należy uważać za cenę wysoką.

Wiadomości o życiu miejscowem w «Kur. litewskim» prawie nie ma, i historyk Litwy mało tam znajdzie faktów mogących go interesować.

Podobno najciekawszym z tego stanowiska jest dział ogłoszeń, rzucających pewne światło na miasto, jego obyczaje i porządki. W ogłoszeniach tych znajdzie dużo ciekawych rzeczy prawnik, studjujący szczegóły procedury cywilnej z czasów, gdy na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej obowiązywał jeszcze statut litewski.

W końcu XVIII i na początku XIX wieku nie było zwyczaju, aby redaktor podpisywał pismo. To też kto właściwie redagował «Kurjera» nie wiemy. Według Estrejchera pierwszym redaktorem tego pisma był jezuita Franciszek Paprocki (1723 — 1790). Był to wybitny literat, który wydał różnemi czasy kilkanaście dzieł, jako to: «Domowe wiadomości polskie i W.ks. litewskiego», «Domowe wiadomości o W.ks. litewskim z dodaniem historii tegoż narodu», «Wiadomości o Księstwie Kurlandskim i semigalskiem» i t. d.

Paprocki był wogóle znawcą historii i napisał: historję Polski, historję najważniejszych wojen przed i po Narodzeniu Chrystusa, dzieje pretendentów do korony angielskiej i t. d.

Drugim redaktorem «Kurjera» był Aleksander Januszkiewicz, 1710—1766 r. osobistość nieznana zupełnie w dziejach piśmiennictwa. Jedyną rzecz, jaką ogłosił drukiem, nosi tytuł: «Statywa honoru w prześwietnym klejnocie herbowym Strzemia Jaśnie Wielmożnej Jey Mei Pani Rozalii z Brzostowskich Platerowey Woiewodziny y starościны Inflanckiey przy Tryumfalnej na senatorską godność ascensyi z Applauzami statecznym nieśmiertelnej sławy dziełom wystawiona oraz od obowiązaney Jaśnie Wielmożnemu Domowi Rezydencyi Dyneburskiey Soc. Jesu polskim wierszem wystawiona Roku pańskiego 1736».

Po Januszkiewiczze objął «Kurjera» Włodek, którego Estrejcher nazywa szambelanem, a Przeclawski w swoich pamiętnikach generałem. Był on zresztą nie tylko redaktorem, ale prawdopodobnie i wydawcą «Kurjera». Przypuszczalnie rzecz się tak miała. Pierwotnie «Kurjer» był własnością jezuitów, a zatem, po kasacji zakonu, która nastąpiła w r. 1773 musiał przejść chyba w ręce prywatne, w roku zaś 1789 upadł zupełnie i, jak wyżej wzmiankowaliśmy, nie wychodził przez siedem lat. W r. 1796 powstało właściwie nowe pismo, które przyswoiło sobie nazwę dawnego jezuitckiego «Kurjera litewskiego» i tego to pisma właścicielem był już Włodek. Pisarz ten jest zupełnie

zapomnianym tak dalece, że encyklopedia Orgelbrandta nie wie o nim. Z luźnej wzmianki w «Tyg. Wil.» dowiadujemy się, że był to człowiek szanowny i zasłużony, że napisał rozprawę o «naukach wyzwolonych».

Bezstronność przyznać nakazuje, że «Kurjer Litewski» wogóle przez cały okres swego istnienia jest prowadzony szablonowo, nie myśli o żadnych zmianach w układzie pisma, o wprowadzeniu nowych działów, o urozmaiceniu treści. Robi systematycznie swoje wyciągi z pism zagranicznych, ignoruje zupełnie życie miejscowe i informacje lokalne. Ponieważ długi czas drugiego pisma w kraju nie ma, przeto nie zmusza redakcji do doskonalenia się, urozmaicenia treści. Zresztą w dziennikarstwie konkurencja nie zawsze jest czynnikiem wpływającym na podniesienie jakości wydawnictw i nowe dzienniki nie zawsze są lepsze od starych już istniejących.

Gdyby chodziło o dowody twierdzenia powyższego, można by przytoczyć jako przykład drugie pismo polskie, które powstało w Wilnie 16 lipca r. 1804 i wychodziło akurat rok do 16 lipca r. 1805, tak samo jak i «Kurjer» dwa razy na tydzień.

Jest to «Gazeta litewska». Różni się ona od «Kurjera» tem tylko, że jest o połowę mniejsza, czyli, że wychodzi w formacie ósemki. Treść zawiera tak samo wyłącznie wyciągi z gazet zagranicznych, nie ma informacji miejscowych, tak samo ani redaktor, ani współpracownicy nie podpisują artykułów. «Gazeta» prawdopodobnie nie cieszyła się powodzeniem. Kto ją redagował nie wiemy, gdyż nie miał zwyczaju podpisywania numerów.

Rok 1805 jest epokowym w historii czasopism polskich na Litwie: w kwietniu, a więc na parę miesięcy przed zawieszeniem «Gazety», zaczyna wychodzić «Dziennik wileński».

Ponieważ terminologia obecna nie obowiązywała sto lat temu i wyraz dziennik miał inne znaczenie, przeto ów «Dziennik» jest typowym miesięcznikiem i wychodzi raz na miesiąc w formie książki (in 8°), z których każda zawiera po sto kilkanaście stron.

Ani redaktor, ani wydawca nie podpisują miesięcznika. Jak świadczą liczne źródła, staraniem Tadeusza Czackiego zawiązała się w r. 1805 spółka literacka do prowadzenia «Dz. wileńskiego», który pozostawał pod redakcją księdza Jundziła i Jędrzeja Śniadeckiego.

Artykuł programowy w pierwszym numerze dziennika jest podpisany literami J. S. (Jędrzej Śniadecki), sam zaś dziennik jest najwidoczniej organem Czackiego, który w nim drukuje swoje mowy, wyciągi ze sprawozdań, wyklada swe poglądy na wychowanie. Ks. Jundziłł rzeczywiście zasila «Dziennik» swymi artykułami, drukując je prawie w każdym numerze, wspomniany już artykuł programowy zawiera wyznanie wiary redakcji. Pozwolę sobie przytoczyć zeń najważniejsze ustępy:

— Zamiarem teraźniejszego pisma, — pisze Śniadecki, — jest upowszechnienie w języku naszym wiadomości tak fizycznych, jako i moralnych, któremi się uczona zatrudnia Europa, tudzież uwiadomienie o ważniejszych odmianach, jakie w nich zachodzą.

— Oprócz tego zdarzają się pomiędzy nami postrzeżenia godne powszechnej uwagi, mogą się zdarzać wynalazki ciekawe i interesujące, myśli ważne i szczęśliwie oddane. Nie każdy dla jednej myśli, jednej szczególnej uwagi, lub jednego postrzeżenia zajmować się będzie pisanem osobnego dzieła, nie każdy znajdzie w sobie do podobnej pracy ochotę, innym rodzaj życia i zatrudnienia całkowitego oddania się naukom lub literaturze nie pozwalają. Żeby zatem te drobniejsze owoce nauki i pracy nie ginęły, zaradzają dzienniki, które nie przywiązując się do żadnej szczególnej materji, zbierają i ogłaszają wszystko, cokolwiek pojedynczych umiejętności, lub oświecenia w ogólności się dotyczy. Są one zatem wspólną i piszących i czytających własnością...

— Żyjemy w wieku, w którym umiejętności i literatura stały się przedmiotem ciekawości powszechnej, materją pospolitych w posiedzeniach rozmów, nieodbitą wykształconych społeczeństw potrzebą. A lubo takowe nauk spospolicenie wcale się niektórym mędrcom nie podoba, którzyby ich nigdy z obrębu murów, publiczną powagą i starodawną opinią upoważnionych wypuszczać nie chcieli, jednakże doświadczenie pokazało iż umiejętności naówczas dopiero stają się prawdziwie użytecznymi, kiedy powszechnie rozsiane idą pod rozbiór, uwagę i doświadczenie wszystkich. Wreszcie nie tak społeczności na tem zależy, ażeby byli tu i ówdzie uczeni, jak raczej na tem, ażeby oświecenie i nauki stały się własnością powszechną.

— Do tego wielkiego zamiaru jedną tylko można dojść drogą, to jest osławiając umiejętność i kunszt z pospolitym językiem, a tem samem czyniąc je przystępnymi dla wszystkich i do pojęcia łatwymi.

— Żle było, że Polska gardziła rodowitą mową i ubiegała się za cudzoziemczyzną, to było powodem jej zguby.

— Już Polska wymazana została z liczby żyjących narodów i zostanie pamiętym przykładem dla każdej politycznej społeczności, która ubiegając się za cudzoziemczyzną, obyczaje i charakter narodowy traci. My zaś mieszkańcy tej samej ziemi, odebrawszy w dziedzictwie język przodków naszych, oświecać się i doskonalić umiejętności, które sobie przyswajamy, w innym języku nie możemy. — Zajęci pod berłem rosyjskiem, cieszymy się filozoficznym rządem prawdziwego ojca ludu i narodów i jesteśmy uczestnikami licznych dobrodziejstw, które na poddany sobie naród zlewa. Z pomiędzy tych troskliwe i prawdziwe ojcowskie staranie o oświecenie tego ludu jest bez wątpienia najpierwszem. Starajmy się korzystać z dobroczynnych jego zamiarów, niechaj ziemia nasza stanie się siedliskiem umiejętności i przemysłu.

— Patrząc na pierwsze zawiązki i na szerzenie się następne

umiejętności, zdaje się, iż światło posuwało się wolno i nieznacznie z południa na północ i że każda część ziemi była przez pewny przeciąg czasu ulubionem ich siedliskiem. Przychodzi czas, w którym pochodnia nauk półkuli północnej przyświecać zaczyna. Korzystajmy z tej pory, starajmy się dobroczynny ich wpływ utrzymać i rozszerzyć i, jeśli prawdą jest, iż opatrność rzadko ludowi dobroczynnych udziela monarchów, pokażmy, iż umiemy z szczęśliwszej pory i położenia naszego korzystać.

Jak widać z programu powyższego, «Dziennik Wileński» w r. 1805 podniósł sztandar, — który po tylu latach wywieszono, jako coś nowego, co tylko wynalezionego, — sztandar pracy organicznej. Rozwój przemysłu i umiejętności oto nasze zadanie, popularyzacja wiedzy i śledzenie za jej postępem oto cel pisma. Tu zaznaczyć trzeba że Śniadecki nie zna wyrazu postęp, lecz zastępuje go ściślejszym i bardziej naukowym terminem «odmiany, jakie w naukach zachodzą».

Ugodowość, zupełna lojalność, więcej niż lojalność, ufność w dobre zamiary rządu, «apolityczność», używając żargonu współczesnego, czyli usunięcie naszej wielkiej polityki, oto dalsze rysy programu «Dziennika», jego zasad, w jakich zamierzał wychowywać społeczeństwo i młode pokolenia.

Dziś, patrząc na ten program z oddalenia stuletniego, jedno mu zarzucić musimy, iż zjawiał się nie w porę. Gdy od Saragossy do Moskwy grały po Europie surmy Napoleońskie, nie pora była zasklepić się w skorupie pracy organicznej, myśleć o rozwoju przemysłu, podniesienia oświaty i dobrobytu, rozpowszechnieniu wiadomości technicznych. Historia wymagała czego innego od kierowników duchowych naszego społeczeństwa, program Śniadeckiego byłby dobry, gdyby powstał w roku 1820—1825. Niestety w tedy właśnie powstawały w Wilnie towarzystwa konspiracyjne, które-by może mogły odegrać pewną rolę w ich okresie 1807—1812 r., zaś w r. 1804 panowały prądy ugodowo-organicznikowskie. Niestety, nieszczęście nasze, polega na tem, że wszystko nam Pan Bóg daje, co dać może, ale nie w porę. Byli wodzowie, nie było armji, była armja nie było wodzów, kiedy była pora walczyć o wolność w r. 1772, 1794, 1812—15, myśmy parlamentowali, a walczyli wtedy, kiedy była najgorsza pora potemu... I Mickiewicz urodził się podobno o 30 lat zapóźno.

«Dziennik wileński» zawiera artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy. Sprawy gospodarstwa miejscowego nie obchodzą go wcale z wyjątkiem oświaty. Jak już wzmiankowałem powyżej, Czacki zasila stale pismo swymi artykułami, poświęconymi właśnie tym sprawom. Tak w pierwszym numerze «Dziennika», zaraz po artykule programowym spotykamy artykuł Czackiego: «o postępie edukacji w prowincjach niegdyś polskich, a teraz wcielonych do Rosji», w numerze drugim: «Rzecz o dziełach elementarnych», «Wyciąg z do-

niesień Czackiego o stanie oświecenia guberniji wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej w r. 1804», dalej: «O pożytku publicznego i domowego wychowania». Są to jedyne prace w «Dzienniku», poświęcone wyjaśnieniu potrzeb społecznych miejscowych, wszystkie inne to rozprawy popularno-naukowe z dziedziny: nauk przyrodniczych, rolnictwa, filologii klasycznej, językoznawstwa, medycyny, pedagogiki. — Nawet historia w tym okresie (1805—1806 r.) nie cieszy się zbytnio względami redakcji, o jakichś zaś przeglądach polityki zagranicznej, sprawozdaniach z czynności i działalności władz rządowych nie ma wcale mowy. Beletrystyka i poezja ma kącik w «Dzienniku». Spotykamy tam utwory wierszem Kossakowskiego («Poema rolnicze»), Matuszewicza (wyjątek z poematu «O imaginacji», «Oda do Czartoryskiego»), Ludwika Krupińskiego («Władza miłości»), są też przekłady z poetów obcych i powieści tłumaczone.

Gdy współpracownicy gazet wileńskich w początku XIX wieku stale nie podpisują «Dziennik» wprowadza inowację: nie ma prawie artykułów bezimiennych, lub podpisywanych pseudonimami. To też wiemy dokładnie, kto zasiliał swemi pracami ten miesięcznik. Mówić bardziej szczegółowo o Tadeuszu Czackim, radcy tajnym, wizytatorze szkół, tu naturalnie nie będziemy, gdyż zaprowadziło-by to nas zbyt daleko.

Redaktor «Dziennika», Jędrzej Śniadecki, przyszły wielki działacz wileński liczył w r. 1804 lat 36 (urodził się w Żninie w r. 1768) i bawił w Wilnie coś z siedem, czy osiem lat. Jak wiadomo, Śniadecki ukończył w r. 1791 akademię krakowską, poczem dla uzupełnienia swej wiedzy, studiował nauki w Padwie, Edynburgu, Londynie, zkąd wezwał go uniwersytet wileński, zaproponowawszy mu katedrę chemii i farmacji. Śniadecki nie zasklepił się w ramach swej specjalności i wziął do pracy publicystycznej. W Dzienniku znajdujemy takie artykuły Śniadeckiego: «Krótki wykład systematu Galla (frenologii)», «Niektóre wiadomości o żółtej gorączce», «O ogniu wszczynającym się w ciałach żyjących i ich pogorzeniu» (zagadkowy i wątpliwy fenomen, opisany przez Zolę w jego d-rze Pascalu, kwestjonowany przez fizjologów współczesnych, nie uznających możliwości podobnego spłonięcia ciała), «Uwagi o fizycznym wychowaniu dzieci» i t. d.

Drugi redaktor «Dziennika», ks. Jundziłł, profesor botaniki uniwersytetu wileńskiego, pijar, zasilą pismo wyłącznie artykułami z dziedziny nauk przyrodniczych, jak: «Uwagi nad pytaniem, czyli jaskółki zimę w wodzie przepędzają», «Kamienie meteoryczne» i t. d.

Jundziłł jest założycielem ogrodu botanicznego w Wilnie, który urządził i prowadził w pierwszych latach jego istnienia. Znanca nauk przyrodniczych brał Jundziłł czynny udział w organizowaniu wykładów w uniwersytecie wileńskim i poświęcił tym sprawom nie jeden wy-czerpujący referat. Między innemi napisał on przyczynek do historii uniwersytetu, gdzie krytykował bardzo ostro jezuitów, pod których kierunkiem pozostawała akademja lat przeszło 200.

Trzecim współpracownikiem «Dziennika» był Godfryd-Ernest Groddeck. «Pochodził z Gdańska i sprowadził go do Puław na nauczyciela do swoich młodszych dzieci ks. Czartoryski, ojciec rosyjskiego ministra spraw zagranicznych. Ks. Adam zaprosił Groddecka do Wilna na katedrę literatury greckiej, rzymskiej i starożytności». Był to wybitny znawca swego przedmiotu i, choć Niemiec z pochodzenia, władał językiem polskim, choć różni byli różnego zdania o jego znajomości języka polskiego, o czem poniżej.

Inni współpracownicy «Dziennika» to widocznie młodzież, uprawiająca literaturę przypadkowo, by ją później zarzucić dla innych zajęć. Dotyczy to zwłaszcza autorów poezji, zamieszczonych w «Dzienniku», z których jeden tylko Ludwik Krupiński, autor «Ludgarda i Julji», «Adolfa» i t. d. zajmuje jakieś miejsce w historii literatury. Franciszek Wiszniewski i Józef Kossakowski, autor poematu «O rolnictwie» niczem więcej, prócz trochę rymów w «Dzienniku» nie zaznaczyli swego istnienia.

Zasilany przeważnie przez trzech profesorów i wizytatora szkół okręgu wileńskiego, «Dziennik» poświęcał wiele miejsca sprawom oświaty i mógł uchodzić za organ uniwersytetu wileńskiego. Nie był nim przecie tak dalece, że już w r. 1806, a więc zaledwie w pół roku po ukazaniu się pierwszego numeru «Dziennika» zaczyna wychodzić nowe pismo, chcące uchodzić za organ uniwersytetu.

Jest to «Gazeta literacka wileńska», na której czele stoi wspomniany powyżej prof. Groddeck i, jako jego pomocnik i główny współpracownik Kontrym.

Pierwszy numer «Gazety» tak tłumaczy rację bytu tego pisma.

— Ustanowienie publiczne, któremu dawne prawa wrócone i potwierdzone Najwyższą wolą wielkiego i dobroczynnego Monarchy znakomite nadają przeznaczenie rozszerzać, udoskonalać i pomnażać wiadomości ludzkie, musi mieć nie mało powodu do ścisłego zdania sprawy współczesnym i potomności ze sposobu, jakim usiłuje uścić się w świętym i ważnym swoim obowiązku.

Powodowani tym samym duchem, przedsięwzięliśmy część tego pisma perjodycznego poświęcić na zebranie przynajmniej materiałów mogących kiedy posłużyć do historii samego uniwersytetu naszego, jako i licznych szkół, które jego dozorowi poruczone będąc, dzielą z nim świętą powinność przez publiczną edukację i instrukcję gotując szczęście i pomyślność następnych pokoleń.

«Gazeta» dotrzymała obietnicy i daje dokładne sprawozdanie o czynnościach rady uniwersyteckiej, popisach, zamieszcza sprawozdanie szkół i t. d. Nazywa się ona «literacką» dlatego prawdopodobnie, że zawiera wiele wiadomości bibliograficznych, czyli nowości literackich, streszczenia, dzieł, nabywanych, czy otrzymywanych przez bibliotekę uniwersytecką i t. d.

W «Gazecie» występuje poraz pierwszy na polu pracy dziennikarskiej Kazimierz Kontrym, który grać będzie dużą rolę w życiu literackim i społecznym Wilna w okresie 1815 — 1822 r. Kontrym, eks-artyleryzysta, liczył w r. 1806 — 34 lata i zajmował stanowiska sekretarza zarządu uniwersytetu i adjunkta biblioteki. Jego to wybrał sobie Groddek na współredaktora, czy współpracownika, zasilając przeważnie tem «Gazetę». Bądź co bądź w roczniku «Dziennika» z r. 1826 nie spotyka swych artykułów.

Materiały do historii uniwersytetu wileńskiego, wydane przez Bielińskiego pozwalają się domyślać, że główną przyczyną ukazania się «Gazety» była prywatna, niesnaski osobiste między Groddeckiem a Śniadeckimi.

Jan Śniadecki, jako rektor uniwersytetu, postanowił utworzyć katedrę literatury polskiej i wymowy i ogłosił konkurs na jej objęcie. Do opracowania warunków konkursu zaprosił brata i Jundziłła, ale pominął Groddeka, który jako profesor wydziału historyczno-literackiego przede wszystkim powinien by mieć głos w tej sprawie. Śniadecki postąpił tak, bo był niewysokiego zdania o języku polskim Groddeka, który oczywiście obraził się, skarżył na Śniadeckiego przed Czarotoryskim. Podobne niesnaski mogły być powodem założenia przez Groddeka pisma, którego potrzeba była wątpliwą, gdyż wszystkie artykuły z «Gazety» mogły być ukazywać się w «Dzienniku». Zdoje się też, że zabawa w wydawcę drogo kosztowała Groddeka. W wykazie rozchodów uniwersyteckich z r. 1813 znajdujemy taką pozycję: «Suma zatrzymana z pensji prof. Groddeckowi na odłata jego kredytorów 1186 rub. 38½ kop.» Widocznie profesor miał z powodu «Gazety» kłopoty finansowe. Treść jego pisma, poświęconego przeważnie sprawom uniwersytetu kazała-by przypuszczać, że »Gazeta literacka wileńska» była organem urzędowym uniwersytetu wileńskiego, jak to twierdzi Encyklopedia Orgelbrandta. Po wyjściu pracy Bielińskiego o uniwersytecie wileńskim kwestję tę należy uważać za rozwiązaną w tym sensie, że w r. 1805 — 7, ani «Gazeta» ani «Dziennik» nie były własnością uniwersytetu i nie odbierały odeń żadnej subwencji.

Bieliński przytacza w swoim dziele wykazy dochodów i wydatków uniwersyteckich. Oczywiście, gdyby uniwersytet wydawał jakieś pismo, lub nawet subwencjonował je, w pozycjach dochodowych i rozchodowych byłyby o tem odpowiednie wzmianki. Tymczasem nie widać, aby łożono na pismo jakiegokolwiek sumy, I «Dziennik» i «Gazeta» były to przedsięwzięcia zupełnie prywatne.

II.

«Kurjer litewski» w okresie od 1807 do 1815 r. — Euzebjusz (Erazm) Słowacki. — Rok 1812. — Antoni Marcinowski. — «Dziennik wileński» odrodzony. — Jego wydawcy: Zawadzki, «Towarzystwo typograficzne», Marcinowski. — Prospekt «Dziennika». — Treść «Dziennika». — Jego współpracownicy, profesorowie: Śniadeccy, Jundziłł, Żukowski, Capelli, Chodani, Borowski, Lelewel. — Poeci: Chomiński, Gorecki, Kotiuzynski i t. d. — Publicystyka. — Feljeton.

Inter armas Silent musae... Wojny nie sprzyjają rozwojowi nauk i piśmiennictwa i to jest prawdopodobnie główną przyczyną, dla której prasa polska w Wilnie tak świetnie rokującą nadzieje i rozwijającą się szybko tak dalece, że był moment (r. 1804 — 1805), kiedy wychodziły jednocześnie dwie gazety, dwa miesięczniki i tygodnik, raptem upada. W r. 1807, nie licząc «Kurjera litewskiego» nie ma już w Wilnie ani jednego pisma, gdyż wszystkie w końcu r. 1806 zostały zawieszone.

Domyślać się możemy, że wojna, przemarsze wojsk, wywołały brak pieniędzy i kryzys, który odbił się na interesach pism. Odegrała tu może poniekąd pewną rolę i ta okoliczność, że rozwój piśmiennictwa perjodycznego szedł zbyt szybkim tempem, że pism było zbyt wiele, by czytelnictwo mogło zapewnić byt każdemu z nich. Tak czy owak pisma upadają: jeden tylko «Kurjer litewski», prowadzony według dawnych utartych szablonów, informuje społeczeństwo o wypadkach życia politycznego, o tryumfach najpierw i o klęskach później orłów napoleońskich.

Od początku r. 1812 do połowy 1813 przez półtora roku redaguje «Kurjera litewskiego» Euzebjusz Słowacki, ojciec Juliusza, człowiek, którego talenty i zasługi są dziwnie zapoznawane przez potomność, chyba dla tego, aby bardziej uwydatnić i podkreślić genjusz jego syna. Współcześni byli innego zdania o profesorze, uważając go za człowieka ze wszech miar wybitnego i ceniąc wysoko jego prace literackie, jak i działalność profesorską. Z pyłu starych miesięczników wileńskich — zapożyczamy krótką wiadomość o życiu i pracach Euzebjusza Słowackiego, korzystając z nekrologu, zamieszczonego w № 1 «Dz. Wileńskiego» w r. 1815. Autorem artykułu jest Leon Borowski, który objął po E. Słowackim katedrę wymowy.

Ojciec Juliusza urodził się 15 grudnia 1772 we wsi Podhorcech w Galicji wschodniej, a umarł 29 października r. 1814, mając lat 42 niespełna. Dziad Juliusza, a ojciec Euzebjusza, «nie bogaty człowiek ze stanu szlacheckiego» umarł w r. 1779 również młodo, osieracając Euzebjusza, dwóch młodszych od niego synów i dwie córki. Stąd widać, że Juliusz pochodził z rodziny, której przedstawiciele umierali młodo.

Oddany przez matkę i stryja, który się nim opiekował, do szkół Krzemienieckich, uczył się tam dobrze i zwracał na siebie uwagę talentem do wiersza, ale, skończywszy nauki w młodym wieku i pozba-

wiony środków do dalszego kształcenia się, wyjednał sobie patent na jeometrę królewskiego i przez osiem lat trudnił się prywatnem rozmierzaniem majątków obywatelskich na Wołyniu.

Zawód ten nie podobał mu się. Słabego zdrowia, chory na oczy, Euzebjusz Słowacki nie był stworzony do pracy pod otwartem niebem i wysilania wzroku nad rysunkiem, to też chętnie przyjął obowiązki nauczyciela w domu «jednego ze znakomitszych obywateli Wołynia», który mu powierzył wychowanie swoich dzieci. W domu tym była bogata biblioteka rzymskich i francuzkich pisarzy, których studjując rozumiał Słowacki do czego jest powołanym i wziął się z całą energją do pracy nad sobą.

Tu, — pisze L. Borowski, — wydoskonalił sobie Słowacki smak prawdziwy w dziełach nauk wyzwolonych, zgłębił jego prawa, których potem z takim pożytkiem i sławą, niestety zbyt krótko, miał być tłumaczem. Przekonany, że dla talentu obierającego zawód pisarski, po ozdobieniu umysłu mnóstwem potrzebnych rzeczy, nabycie łatwości pisanja z wdziękiem i powagą, owoc pracy i głębokiej nauki języka, jest istotnym i najpierwszym warunkiem, cały się tej pracy poświęcił, pióro swoje naprzód zaprawując i kształcąc na tłumaczeniach, idąc za radą jednego z francuzkich pisarzy: «zaczynaj od tłumaczenia obcych wzorów, jeżeli chcesz, aby twoje potem tłumaczono»

W okresie guwernerki E. Słowacki napisał wiele prac oryginalnych i przekładów, jak Andromachi, Ifigenji, Henrjady, ale nie drukował. Nawet «Henrjada», wydana w r. 1803 w Warszawie, jak twierdzi Borowski, została ogłoszona drukiem mimo chęci i wiedzy Słowackiego. «Zdarzenie to — pisze Borowski — tem więcej go zasmuciło, iż, mając smak wyćwiczony, wiedział doskonale, jak w robotach tego rodzaju wielka jest różnica między pierwszym rzutem pióra, a staraniem dzieła wykończeniem».

Na utalentowanego guwenera zwrócił uwagę Czacki i ofiarował mu posadę nauczyciela wymowy w gimnazjum krzemienieckim. Tu Euzebjusz pracował wiele w bibliotekach poryckiej i krzemienieckiej, tu napisał kilka rozpraw naukowych i między innemi opisał życie i prace Józefa Czecha, tu ożenił się, tu mu dał Bóg syna Juljusza, dla którego, jak świadczy Borowski, może przeczuwając blizką śmierć, spisał pamiętnik życia swego. Znalaziono go po jego śmierci w liczbie innych rękopisów.

W r. 1809 uniwersytet wileński ogłosił konkurs na objęcie katedry wymowy i poezji. Euzebjusz Słowacki posłał nań rozprawę p. t. «o sztuce dobrego w polskim języku pisanja». Rozprawę uwieńczono i na początku r. 1811 Słowacki otrzymał katedrę wymowy, został następcą Sarbiewskiego, Naruszewicza, Pilchowskiego i Wolańskiego.

Borowski świadczy, że Słowacki był wybitnym profesorem, na jego wykłady młodzież tłumnie się zbierała.



Euzebjusz Słowacki.



Leon Borowski.



Szymon Żukowski.



Ernest Grodeck.

Prace Słowackiego zostały wyłącznie w rękopisach. Można je — pisze Borowski — we trzech zamknąć rozdziałach.

Pierwsze miejsce trzymają pisma o wymowie i poezji, składające kurs nauki, którą wykladał w uniwersytecie. Poprzedza te pisma teoria smaku, w dziełach nauk wyzwolonych, zwana estetyką. Drugi zbiór składają materiały przygotowane przez Słowackiego do krytycznej historii pisarzy polskich. Materiały te zawarte są w zbiorze uwag nad przedniejszymi autorami polskimi we wszystkich literatury epokach. Zdrowa krytyka i smak trafny ciągle mu w tej pracy towarzyszyły. Do trzeciego na koniec rzędu należą własne jego twory tak w prozie, jak w rymie: kilka sztuk dramatycznych, już oryginalnych, już tłómaczonych, przekład Lukana i wiele innych pamiątek jego talentu i pracy.

Dzieła E. Słowackiego zostały wydane w Wilnie przez Zawadzkiego w r. 1824—26 w czterech tomach. O ich powodzeniu świadczyć może ta okoliczność, że jego «Prawidła wymowy i poezji» doczekały się sześciu wydań, (ostatnie wydanie ukazało się w r. 1858). Musiał zapewne umieć je na pamięć Juliusz Słowacki i wskazówki ojca nie wyszły na złe jego stylowi*) Bądź co bądź znakomity poeta jest synem dziennikarza, Borowski zaś twierdzi nawet, że nic innego, jak praca dziennikarska złamała zdrowie i przyspieszyła zgon profesora. Jako redaktorowi, przypisuje Borowski Słowackiemu następujące zalety: czyistość mowy, przyzwoitość, wybór i interes rzeczy ogłaszanych.

W Petersburskiej bibliotece publicznej są w zupełnie dobrym stanie roczniki «Kurjera litewskiego» z r. 1812 i 1813. Jeżeli redagował je E. Słowacki, to wierzymy chętnie, że praca ta mogła spalić na popiół wątłe siły. Nie wielu historja zna dziennikarzy, którzy-by w tak krótkim czasie przeżyli tyle nadziei, rozczarowań, zawodów...

Przerzucamy te karty. Wszystko, jak zwykle: wiadomości z Francji, Austrii, Brytanji wielkiej, ale od 1 stycznia r. 1812 wiadomości z Petersburga już nie stoja na czele numeru, odsunięto je gdzieś dalej, na szary koniec, a w wielu numerach nie ma ich wcale. Zresztą w koń-

*) Tu zaznaczyć trzeba, że Estrejcher (Bibliografia polska XIX w.) prócz Euzebjusza Słowackiego zna jeszcze Erazma Słowackiego, który jakoby miał wydać: «wiersz do Aleksandra I» i «o życiu i pracach Czecha», Wilno 1811, a również był redaktorem «Kurjera Litewskiego» przez pół roku. Oczywiście rzecz, że Erazm i Euzebjusz to jedno (może ojciec Juliusza miał dwa imiona), zaś redagował Erazm czy Euzebjusz «Kurjera» nie pół, a półtora roku.

Mówiąc o rodzinie Słowackich, zaznaczyć wypada, że w XVI wieku żył profesor akademji Krakowskiej, znakomity astronom tego nazwiska, rodem z Krakowa, imieniem Piotr, podpisujący się po łacinie Petrus Slovacijs Złakowiensis. Ten został bakałarzem filozofji w r. 1567, a umarł w r. 1588. Zkąd wnosić można, że, jak inni Słowaccy, żył krótko.

cu każdego numeru jest taki wierszyk: za pozwoleniem cenzury wileńskiej.

Wierszyk ten ukazuje się po raz ostatni w № 47, który wyszedł d. 12 czerwca w r. 1812. Numeru 48 nie ma w roczniku, z którego korzystaliśmy, o czym notatka na jego czele. Wykradł go widać jakiś miłośnik rzeczy ciekawych. № 49 wyszedł 4 lipca N. S. 1812 r., i nie ma już owego wiersza «za pozwoleniem cenzury wileńskiej». Weszli do miasta francuzi, a z nimi przyszła wolność prasy. Na czele numeru znajdujemy takie słowa.

«Z Wilna dnia 4 lipca. Dzień 28 czerwca na zawsze pamiętnym będzie w dziejach miasta naszego. Dnia tego byliśmy szczęśliwi oglądać w murach tej stolicy cesarza francuzkiego i króla włoskiego Napoleona na czele niezwyciężonych zastępów. Między temi poznaliśmy współrodaków naszych z Księstwa warszawskiego. Ledwie rosjanie cofnęli się za Antokol i most zielony, ledwie obywatele objęli straż na hauptwachu, natychmiast pierwsze podjazdy polskie i francuzkie pokazały się w mieście. Magistrat, pierwsi mieszkańcy i wielką część ludu wyszli z miasta z kluczami naprzeciw wojska i... udali się o pół mili pod Ponary dla oświadczenia hołdu Jego Cesarskiej - Królewskiej Mości»...

Na drugiej stronie numeru jest już odezwa komisji tymczasowej rządu księstwa litewskiego, podpisana przez hr. Sierakowskiego, ks. Sapiechę i Franciszka Zaleskiego.

Ostatni numer «Kur. litewskiego» bez cenzury wyszedł 9 grudnia N. S. 1812 r., a numer pierwszy, datowany: «w Wilnie, dnia 1 stycznia N. S. 1813 ma już na wstępie manifest Jego Imperatorskiej Mości Aleksandra, a na ostatniej stronie: za pozwoleniem cenzury wileńskiej.

Sen prysnął, zaczęła się rzeczywistość. Słowacki miał w życiu tylko jedno takie lato i jesień...

Po Słowackim redaktorem «Kurjera» został Antoni Marcinowski, o którym Franciszek Sobieszczański podaje następujące wiadomości w Encyklopedji Orgelbrandta: Urodzony w r. 1781 w Radoszkowicach w gub. Mińskiej, ukończył uniwersytet w Wilnie, był sekretarzem wizytatorów szkół na Litwie, w roku zaś 1812 sekretarzem wydziału administracji krajowej. Po nastąpieniu pokoju nabył od szambelana Włodka przywilej wydawania gazety «Kurjera Litewskiego», którą w założonej w r. 1817 własnej drukarni wydawał i redagował do r. 1839. O Marcinowskim pomówimy obszerniej poniżej.

Odrodzenie prasy wileńskiej datuje się od 1 stycznia r. 1815, kiedy wychodzić zaczął znowu «Dziennik Wileński».

Pismo to niema, zdaje się, nic wspólnego ze starym «Dz. Wileńskim» z r. 1805—06. Spółka wydawnicza, związana niegdyś staraniem Czackiego, już nie istniała, sam Czacki umarł. Gazeta nosi teraz taki tytuł:

Dziennik Wileński.

Tom I.

Rok 1815.

Styczeń — Czerwiec.

Dalej idzie cytata z A. F. Modrzewskiego «de Republica Emen-danda»: Nobis... sit ita persuasum, nullam morum pestem esse majorem, quam ignorantiam et rerum malarum consuetudinem: contra nihil ae-que conformandis moribus conducere, quam si pectus onustum habuerimus optimarum rerum cognitione.

(Jesteśmy przecie przekonani, że niema gorszej zarazy moralnej nad nieświadomość i złe przyzwyczajenia, przeciwnie nie tak nie prowadzi do podniesienia obyczajów jak to, jeżeli przepełnimy serce wiadomościami o rzeczach najlepszych).

U dołu karty tytułowej stoi:

w Wilnie

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego

Typografa Uniwers. wileń.

Pomimo to, że w tym czasie dziennik był niby własnością prywatną, właśnie teraz otrzymywał czasami subwencje od uniwersytetu, jak o tem świadczy Bieliński. W r. 1817 «Dziennik» otrzymał 500 r. subwencji. Nie musiało to pismo opływać w dostatki, a w r. 1818 przeszło na własność «towarzystwa typograficznego».

W końcu r. 1817 powstało takie towarzystwo. Jego zadaniem było: «rozpowszechnienie gustu do czytania przez środki, ułatwiające mnożenie i nabywanie ksiąg pożytecznych w mowie macierzystej». Pierwotna liczba członków wynosiła 57, później jeszcze urosła. Każdy członek złożył przynajmniej po sto rub. Towarzystwo miało na celu ulepszenie «Dzienia Wileńskiego», który, jak świadczy artykuł, zamieszczony w «Tygodniku wileńskim» z r. 1819 dochodu czystego nie przynosił. Towarzystwo drukowało «Dziennik» w drukarni wydawcy «Kur. litewskiego». A. Marcinowskiego. Towarzystwo wydawało Dziennik przez cztery lata, a od 1 stycznia r. 1822 przeszedł on na własność Marcinowskiego.

Jak widzieliśmy, «Dziennik» z r. 1805 miał na wstępie wyczerpujący artykuł programowy. Coś podobnego mamy i w pierwszym numerze z r. 1815, ale artykuł ten jest dość dziwny, jak wskazuje nam tytuł: «wstęp do «Dziennika» z opisaniem położenia geograficznego i temperatury miasta Wilna». Redakcja, powiedziawszy coś nie coś o zadaniach pisma, przystępuje od razu do rzeczy, dając sprawozdanie z obserwacji nad temperaturą i ciśnieniem barometrycznym Wilna. Część programową artykułu pozwolimy sobie przytoczyć.

— Lubo główniejszym zdaje się być pism perjodycznych zamiarem, pożyteczne wiadomości upowszechniać i nabywanie ich ułatwiać,

atoli nie mniej posługuje się ono do nowego wzrostu i pomnożenia nauk, mianowicie zaś przez zbieranie pojedynczych spostrzeżeń, które na różnych miejscach i z przypadkowych częstokroć okoliczności zrobione, a bez wielorakiego powtórzenia i sprawdzenia, w zapomogę do żadnej jeszcze umiejętności wchodzić tymczasowo nie mogąc, najprzystoitsze do swego zachowania w dziełach tego rodzaju znajdują miejsce. Tu się odbywa ich okazywanie, aby pewne od zawodnych, łatwiej oddzielone i do użytku zastosowane być mogły. Stąd, jak z powszechnego składu czerpają się wcześniej zgromadzone materiały do nowej budowy, popraw i ulepszeń w ogóle nauk i w ich częściach.

— Przyrodzenie wszędy nas otaczające, niewyczerpanym jest źródłem i przyjemnych, i pożytecznych spestrzeżeń, z których krajowe więcej nierównie od innych każdego z nas obchodzą.»

Ten artykuł programowy nie robi honoru nowemu redaktorowi «Dziennika», którym był Kazimierz Kontrym. Ten prospekt to jakieś mgliste i niejasne reminiscencje z prospektu dawnego dziennika. Jędrzej Śniadecki i ksiądz Jundził uczestniczą, niby w «Dzienniku», lecz zamieszczają w pierwszym roczniku tego pisma zaledwie po parę artykułów. Tak, Śniadecki drukuje tu: «Objaśnienie niektórych punktów w nauce o ciepłiku,» «Spostrzeżenie nader wielkiego gradu z przyłączeniem niektórych uwag nad jego teorią» i «O pokarmach, napojach i sposobie życia w ogólności we względzie lekarskim». Ks. Jundził zamieszcza dwa niewielkie artykułiki: «O znakomitszych roślinach ogrodu botanicznego» i «O przymiotach, potrzebnych w sztuce ogrodniczej.»

Sam redaktor, Kontrym, nie pisuje artykułów i w pierwszym roczniku znajdujemy zaledwie jedną jego rzecz p. t. «Pociecha w nie-szczęściu, wykład z Wejssa». Pierwszy rocznik «Dziennika» zawiera 1314 stron i sto z górą artykułów, które wprost uderzają swoją encyklopedycznością. Mamy tu: 1) źródła historyczne, 2) artykuły z dziedziny historii, 3) historii literatury, 4) językoznawstwa, 5) nauk przyrodniczych (botanika, zoologia, mineralogja, meteorologja) i lekarskich (higiena i medycyna), 6) prawnych, 7) matematycznych, podróże, 9) powieści i poezje 10) filozofję moralną, 11) slawistykę, 12) filologję klasyczną, 13) rolnictwo, 14) etnografję.

I są to wszystko nie jakieś rozmaitości, lecz artykuły poważne, pisane przez specjalistów, przeważnie profesorów uniwersytetu, lub młodzież na ukończeniu studjów. Z profesorów poczesne miejsce w dzienniku zajmuje Jan Śniadecki, który prócz kilku wzmianek bibliograficznych, zamieścił w r. 1815 rozprawę: «o języku polskim». Dalej idą: profesor greckiego i hebrajskiego, Żukowski, który zamieszcza przekłady z klasyków greckich i własną fraszkę, profesor historii sztuki i literatury angielskiej Saunders, który pisze cenne rozprawy o malarzu Czechowiczu i jego dziełach, profesor prawa kanonicznego, Capelli,

który pisze o źródłach i zasadach tej nauki. Drugi prawnik, profesor teologii moralnej Chodani zamieszcza «Rozprawę, okazującą dążenie nauki Jezusa Chrystusa do dobra rodu ludzkiego», profesor estetyki i poezji Borowski pisze o swoim poprzedniku E. Słowackim i o «Samolubie» komedji Niemcewicza, a w jednym z ostatnich numerów «Dziennika» znajdujemy notatkę bibliograficzną Lelewela, który w tym roku właśnie objął katedrę historii w uniwersytecie wileńskim.

Pierwszy rocznik «Dziennika» w znacznej swej części jest poświęcony pamięci E. Słowackiego i zamieszcza jego rozprawę: o sztuce dobrego pisania w języku polskim» i przekład pieśni V z poematu «o imaginacji» Delilla. W dziale poezji zajmują poczesne miejsce niedrukowane dotąd nigdzie niektóre wiersze Trębeckiego, który także umarł w tym czasie. W r. 1809 straciła Litwa swego dość popularnego poetę, tłumacza Fedry, Ksawerego Chomińskiego, poetę, wojewodę mścisławskiego i generała. Przez cześć dla jego pamięci zamieszcza «Dziennik» dwie jego ody: «O stałości umysłu w obojej doli»; «Na zepsucie świata». Poeta, jak jego utwory jest oddawna zapomniany.

Śród współpracowników działu literackiego «Dziennika wileńskiego», których imię przeszło do potomności, zaznaczyć jeszcze wypada Antoniego Goreckiego, znakomitego bajkopisarza, który w owych czasach mieszkał w pow. lidzkim i zasilał «Dziennik» bajkami oryginalnymi i naśladowanymi oraz innymi poezjami. Zamieszcza jeszcze «Dziennik» poezje Aleksego Kotiuzyńskiego, pijara znanego tłumacza Georgika Wirgiljusza. Inni jego poeci: Jan Styczyński (nauczyciel gimnazjum z Winnicy), Faustyn Bernatowicz, Michał Markjanowicz i rozmaici N. N., P. i t. d. nie wybili się nigdy i są zupełnie nieznami.

Zaznaczyć jeszcze wypada, że w pierwszym roczniku debiutują w piśmiennictwie: przyszły historyk Litwy, Teodor Narbut, który przecie bierze się jeszcze nie do swoich rzeczy i drukuje przekład ody J. J. Rousseau: «Uniesienie duszy dążącej do poznania Boga przez rozważanie dzieł jego» i przyszły historyk i geograf Michał Baliński, student wówczas, który drukuje streszczenie pracy Julliena: «Używanie czasu dla uszczęśliwienia życia».

Czy «Dziennik Wileński» daje jakie takie pojęcie o życiu społecznem Wilna? czy ma artykuły o potrzebach, życzeniach kraju i miasta?

Ma, ale w stopniu bardzo słabym. Dość szczegółowo zajmuje się pismo uniwersytetem, drukuje sprawozdanie o jego posiedzeniach pióra prawdopodobnie samego Kontryma, który był urzędowym historykiem uniwersytetu, podaje wiadomości o książkach i czasopismach, wychodzących, lub mających wyjść w Wilnie, ale po za tem nic. Zaznaczyć trzeba, że w «Dzienniku» z r. 1815 wydrukowany został bodaj czy nie pierwszy na Litwie: artykuł wstępny w znaczeniu dzisiejszym i feljeton — kronika. Artykuł nosi tytuł: «Umiarowanie wydatków

względnie do przychodów dla własnej i powszechnej pomyślności», a o treści jego mówi dostatecznie sam tytuł. Między innemi zawiera on taką, niby zaczerpniętą z pism pozytywistów myśl «Do zupełnego powszechnego uszczęśliwienia należy nie tylko męstwo, stałość i oświecenie, ale też dostatek osób pojedynczych, a przez to i dobre mienie całego kraju».

Feljeton nosi tytuł «koniec roku 1815» i zawiera w rymach przegląd życia za rok ubiegły. Jak każda pierwsza próba, feljeton—kronika, pomimo zgrabnego wiersza, jest dość nieudatnym, gdyż fakty, o jakich mówi są zbyt ogólnikowe. «Koniec r. 1815» równie dobrze mógł by się nazywać końcem roku 1915 i t. d.

Feljetonowy charakter nosi również list do redaktora «Dziennika Wileńskiego», karcący wadę społeczeństwa owoczesnego, książkowstręt. W liście tym p. Zacharjasz Krytykillo pisze:

— Mości Panie Redaktore! Czy Waćpan Litwin, czy Żmudzin, czy uczciwszy uszy Mazur, wiesz zapewne o tej nieszczęśliwej przywarze narodu naszego, że w nim mało ludzi, lubiących bawić się książką i czytać. W klimacie tak ostrym, jak nasz, gdzie prawie osiem miesięcy zimno, gdzie w lecie mało nocy, w zimie mało dnia, unikając nudy, trzeba zbywające od gospodarstwa, chwile trawić albo przy kieliszku, albo na plotkach, albo na facjendach sejmikowych, na wykrętaństwach prawniczych, godzących na własność i spokojność sasiada.

— Gdyby u nas więcej czytano, starano się o wiadomości pożyteczne i przyjemne, mielibyśmy mniej procesów, eksdywizji i burd sejmikowych, które nie tylko wystawiają nas na pośmiewisko cudzoziemców i ludzi rozsądnych w kraju, ale nas już pozbawiły tej otwartości, prostoty i uczciwości obyczajów, jakie niegdyś prowincje nasze zdobyły. Wreszcie może i my byśmy się zdobyli na jakiego Kochanowskiego, Krasickiego, gdybyśmy nie marnowali zdolności naszych na bredniach i dzikich śmiesznościach.

— Te uwagi uwijając się po mej głowie przekonały mnie, jakby to było rzeczą i dla oświaty i dla obyczajów pożyteczną, gdybyśmy polubili czytanie. W tym celu zachęcałem ziomek moich do zapisania sobie «Dz. Wileńskiego», ale, mospanie redaktorze, żeby pociągnąć do czytania ludzi, trzeba pisać rzeczy pożyteczne i zabawne, a pisać je przyjemnie i zrozumiale, a zatem nie używać słów w języku naszym i nieznanym i niepotrzebnym.

Po takim wstępie autor karci ostro redakcję «Dziennika» za używanie słowa «istnieć», twierdząc, że jest to wstrętne neologizm, którego unikać należy. Umieszczenie tego listu robi honor bezstronności redakcji i Kontryma, zresztą urywek powyższy można-by powtarzać od czasu do czasu, gdyż na punkcie wstrętu do czytania społeczeństwo nasze podobno nie tylko nie cofa się, ale robi postępy.

III.

«Wiadomości brukowe». — Ich program. — Towarzystwo Szubrawców. — Znaczenie wyrazu Szubrawiec. — Co o tem sądzili sami Szubrawcy? — Kodeks towarzystwa Szubrawców. — Nazwiska Szubrawców. — Urzędy. — Apolityczność Szubrawców. — Oda «Szczęście i pokój». — Historia związku. — «Mixtum chaos». — Prezydenci Szubrawców: Szymkiewicz, Kontrym, Jędrzej Śniadecki. — Uroczystość na cześć Śniadeckiego. — Koncept Borowskiego. — Madrygał Auszlawisa. — Powitanie praprawnuka Baki.

W r. 1815 Wilno i Litwa posiadały, jak widzieliśmy, dwa pisma: gazetę polityczną, dającą tak czy owak czasami z opóźnieniem wszelkie wiadomości z zakresu polityki zagranicznej i miesięcznik, informujący zupełnie zadawalniająco o odkryciach i teorjach naukowych, posiadający nadto przyzwoity dział literacki, zawierający powieści i poezję oryginalne i tłómaczone. Obydwa pisma nie uwzględniały zupełnie miasta, jego życia, to jest tego, co tak wiele miejsca zajmuje w dzienniku współczesnym: kroniki wypadków, sądowej, teatralnej, towarzyskiej i t. d. i t. d.

Potrzebę podobnego pisma odczuwano, zdawano sobie nawet dokładnie sprawę z tego, jak ma wyglądać, jakim powinien być jego program i oto powstają «Wiadomości brukowe».

— «Miały one być, — znajdujemy wzmiankę w rocznikach ówczesnych, — zbiorem nowin i wydarzeń słyszanych lub zachodzących na brukach, czyli ulicach Wilna i bliższych okolicach i każdy artykuł tak, jak w gazecie politycznej z krajów i miast, tu z różnych ulic, rynków i miejsc miał pochodzić».

W r. 1816 Ignacy Lachnicki, wydał kilka numerków owych «Wiadomości brukowych». Zawierały one parę feljetonów społecznych jakbyśmy to dziś nazwali, opis jakiejś maskarady, nieco plotek w rodzaju: «przejeżdżał tedy pewien urzędnik, który z powiatu do miasta przyjechał trzema końmi, a wyjechał jednym, wołał je zostawić przyjacielskiej pieczołowitości, niż narażać się na niebezpieczeństwo, jakim zagrażała gołoledź». Było to wszystko zrobione dość lichy, przesypane obficie jakimś aluzjami osobistymi, których dziś zrozumieć niepodobna, ale sama myśl wydawania takiego aktualnego pisma podobala się bardzo. «Wiadomości» założone przez Lachnickiego utrzymały się i grały wielką rolę, stawszy się organem Szubrawców.

Utarło się pojęcie, że Szubrawcy to towarzystwo literackie, ale w rzeczywistości tak nie jest. Szubrawcy to towarzystwo o bardziej szerokim zakresie czynności. Towarzystwo to gra tak wybitną rolę w życiu umysłowym i piśmiennictwie, że musimy poświęcić mu obszerniejszą wzmiankę. Zwłaszcza, że Szubrawcy to właściwie redakcja «Wiad. br.», a również współpracownicy innych pism ówczesnych. Historia czasopism polskich w Wilnie w okresie od 1815 do 1822 r. to historia Szubrawców.

Dla czego towarzystwo wileńskie przybrało tak dziwną nazwę, nie wiemy dokładnie. Chmielowski pisze, że wileńczycy, którym towarzystwo dało się we znaki swemi drwinami i przycinkami, zaczęli mówić o jego członkach nie inaczej jak «ci szubrawcy», co podchwycili członkowie towarzystwa i sami zaczęli się nazywać w ten sposób. Przypuszczenie to nie wydaje się nam uzasadnionem wobec licznych opinii w tym względzie samych Szubrawców. W towarzystwie tem był zwyczaj, nakazujący witać każdego nowego członka przyjętego do grona Szubrawców, mową, wierszem lub prozą, a w mowie tej opowiadać historję towarzystwa od początku. W mowach tych znajdujemy niejednokrotnie objaśnienie słowa «szubrawiec».

Szubrawiec, — głosi jedna mowa, — znaczy to samo, co we wszystkich słowiańskich dialektach szybowiec. Wzięty wyraz od szybowania, czyli szybkiego biegu po ziemi, wodzie i powietrzu. Takż dość rzucić okiem na różnorodne wzmianki w «Wiadomościach brukowych», aby się o tem przekonać.

W innem miejscu znajdujemy takie krótkie objaśnienie słowa szubrawiec:

Z ukosa, czy z oblicza, od okna, od sieni
Szubrawiec jest vir verus ani się odmieni.

Inny Szubrawiec, Żywibund Mingajło, tak tłómaczy ten wyraz w «Dzien. Wileńskim» w r. 1818:

«Szubrawiec podług scholastów dziuplowych znaczył to, co łacinicy nazywali vir probus dicendi peritus. Pokazuje się z tych scholastów, że szubrawcowie mieli szczególniejszy wstręt do tak zwanych kaulinikas i girtuokle, to jest do ludzi, szukających bez pracy korzystania z innych w pozornej zabawie i pijących bez pragnienia dla odurzenia głowy. Wstręt takowy starali się utwierdzać w sobie i udzielać go drugim, a tym końcem odbywali ćwiczenia i schadzki. U nich najprzedniejszym zacnych mężów przymiotem była wstrzemięźliwość, którą poczytywali za jedyną sprężynę w dzielnej tęgości. Jest podobieństwo, że taki duch panował w ten czas, kiedy litwini od morza do morza rozciągali potęgę. Jagiełło i Witold napojów mocnych zgoła nie używali»...

Literatura szubrawska potwierdza niejednokrotnie, że to słowo miało, a przynajmniej starano mu się nadać takie znaczenie, jak o tem pisze Mingajło, ale niestety, jeżeli wileńczycy chcieli wzbogacić język polski nowym wyrazem, w tem znaczeniu, to spotkało ich najzupełniejsze fiasco. Nazwać kogoś szubrawcem nie znaczy bynajmniej przypodechlebić mu i dumne wykrzykniki literatów i dziennikarzy wileńskich: szubrawcy jesteśmy, dziś są śmieszne... I wyrazy mają swoje fata: stańczyk miało być wymysłem, stało się terminem nie ubliżającym nikomu, szubrawiec miało być nazwą człowieka, pełnego cnót obywatelskich i osobistych, stało się wymysłem.

Z pism szubrawskich, ogłoszonych różnemi czasy w «Dzien. wileńskim» i «Tygodniku wileńskim» wnosić można, że towarzystwo to powstało w połowie, lub w końcu r. 1816. Początkowo było to kółko, nie związane żadnym statutem, czy regulaminem i dopiero w r. 1817 ułożono, spisano i 18 czerwca w Wilnie na ulicy Wileńskiej w kamienicy sztaackiej sowietnicy Ciechanowieckiej pod № 403 uchwalono statut czyli kodeks towarzystwa Szubrawców.

Kodeks ten opiewał między innemi:

Zamiarem towarzystwa jest wyświecać szpetność przywar i nałogów, które z natury swojej nie mogąc być prawem powściągane, są jednak dla społeczeństwa bardzo szkodliwe, a u nas zdawna pospolite. Do nałogów tych należą: używanie nałogowe mocnych napojów, gra w karty, pieniactwo, chlubenie się tytułami ojców, fałszywe mniemanie, jakoby można być obywatelem światłym, nie zajmując się nigdy w życiu ksiąg czytaniem.

Środkiem dążenia do tego zamiaru jest przykładanie się, ażeby nie przestawały wychodzić terazniejsze «Wiadomości brukowe» w duchu swoim niniejszym. Zadaniem towarzystwa jest opracowywanie i dostarczanie pism do «Wiadomości brukowych.»

Członkowie towarzystwa dzielili się na miejskich (urbani) i wiejskich (rusticani) i członkami rzeczywistymi we współczesnem znaczeniu tego wyrazu byli tylko członkowie miejscy. Ich liczba nie powinna była przewyższać 40. Członek miejski powinien być mieć przynajmniej 25 lat.

Każdy członek zobowiązywał się: 1) pełnić pilnie obowiązki stanu i powołania, 2) nie używać napojów, 3) nie grać w karty, 4) czytać przynajmniej jedną gazetę polityczną i jedną literacką, 5) w ciągu miesiąca przeczytać przynajmniej jedną książkę, 6) mieć przynajmniej 10 książek i w tej liczbie historję i geografję Polski i kupować przynajmniej jedną książkę na rok. Nadto każdy Szubrawiec był obowiązany przygotować co 20 dni przynajmniej jedną ćwiartkę do druku w «Wiadomościach brukowych», wybór treści pozostawiono do uznania autorów. W zakres «Wiadomości brukowych» wchodziło i «uwielbienie cnotliwych czynów dla zbudowania innych», aby tylko pisane było w stylu lekkim i zabawnym, czyli szubrawskim.

Jak widać z danych powyższych, towarzystwo Szubrawców była to instytucja o zadaniach bardzo szeroko zakreslonych, które-by wystarczyły do zapelnienia programu kilku towarzystw współczesnych, a więc było to:

a) towarzystwo popierania wydawnictw polskich wogóle i w szczególności czasopisma: «Wiadomości brukowe». To ostatnie nie było własnością towarzystwa, prowadził je na swoje ryzyko redaktor, który pokrywał straty i zabierał zyski, o ile takie były. Szubrawcy tedy byli towarzystwem, zasilającym swemi pracami i popierającym «Wiadomości brukowe».

b) Był to typowy Tugendbund, jakie zawiązywano w owych czasach w Niemczech i jakich parę powstało w Petersburgu i z jakich z czasem wyrosły stowarzyszenia dekabrystów. Miał on na celu umoralnienie swoich członków i zwalczanie za pomocą jawności i satyry objawów i prądów niemoralnych.

c) Było to towarzystwo abstynentów, którzy uprawiali dwa rodzaje abstynencji: nie pili i nie grali w karty, w pismach przecie szubrawskich można znaleźć wskazówki, że i wstrzeźliwość płciowa była wskazana: «Nie adresuj się śmiało do cudzych Imości» — mówi stary Szubrawiec do młodego.

d) Związek Szubrawców można również uważać za towarzystwo literackie. Perjodycznie, (co dwadzieścia dni) odbywały się zgromadzenia (schadzki, jak to nazywano wówczas) na których odczytywano i krytykowano artykuły dostarczone przez członków.

Towarzystwo Szubrawców miało jeszcze jedną właściwość, zapożyczoną bodaj czy nie u masonów. Każdy członek otrzymywał przezwisko i pod tym imieniem figurował w spisach członków i protokołach obrad. Statut zalecał branie tych przezwisk z mitologii i starych podań litewskich. Szubrawcy mieli takie przezwiska: Perkunas (d-r Szumkiewicz), Poklus (Kontrym), Sotwaros (Jędrzej Śniadecki), Auszlawis (Michał Baliński), Gulbi (Ignacy Szydłowski) i t. d. Za rozmaite zasługi Szubrawiec otrzymywał tytuł dostojnika, lub dygnitarza towarzystwa, co nie dawało żadnych praw szczególnych, a było nawpół poważnym, nawpół humorystycznym honorem. Był dygnitarz — «witajnik» (prawdopodobnie członek, którego obowiązkiem było wygłaszać przemowy do nowych członków, wступujących do towarzystwa), dygnitarz «ojciec» i tak dalej.

Prócz tego były w towarzystwie urzędy, połączone z obowiązkami: prezydent, fundator, mówca, strażnik, trzymający łopatę, sekretarz, redaktor i dwaj członkowie komitetu redakcyjnego.

Na czym polegały obowiązki urzędników przeważnie wskazują nazwy. Fundatorem nazywał się członek, którego pierwiastkowe wsparcie i dopomaganie przyczyniło się najskuteczniej do utrwalenia «Wiaomości brukowych». Żadna uchwała dotycząca poprawy lub zmiany kodeksu nie mogła zapaść w nieobecności fundatora. Mówca prezydował w komitecie redakcyjnym i referował sprawy i t. d.

Ceremonjał posiedzeń szubrawcy zapożyczyli również od masonów. Na znak rozpoczęcia posiedzenia prezydent nakrywał głowę i dzwonił. Na posiedzeniu członkowie siedzieli z nakrytymi głowami, proszący o głos zdejmował kapelusz. Nad porządkiem obrad czuwał prezydent, a gdy jego interwencja nie pomagała, występował strażnik porządku z łopatą. Zamykając posiedzenie prezydent odkrywał głowę.

Ze stanowiska rosyjskiego kodeksu karnego za otwarcie nawet tak niewinnego związku, jakim byli szubrawcy groziła surowa odpo-

wiedzialność. Zachodzi przecie pytanie, czy rzeczywiście związek był tak niewinnym, jak się wydaje, czy prócz kodeksu jawnego nie miał jeszcze kodeksu tajemnego, jakichś celów i dążeń ukrytych. Zdaje się, że tak nie było: Szubrawcy rzeczywiście byli stowarzyszeniem bardzo niewinnym, nie mającym nic wspólnego z polityką. W literaturze szubrawskiej, w jednej z mów, które wygłaszano na powitanie kogoś z nowych członków, znajdujemy taki ustęp:

Ty co masz składać część tego budynku
I bratem naszym zostać bez różnicy
Nieś nam cnotliwe chęci w upominku,
Lecz tu nie szukaj żadnej tajemnicy.
Nikt u nas skryty ślepej nocy mrokiem
Nie szedł do światła z zawiązanym okiem,
Czynności nasze są jawne przed światem
Nie nam nie zada potwarz jadowna,
Chociaż się dąsa i zębami zgrzyta,
Ale daremnie, cóż skorzysta na tem?

Jeżeli chodzi o dowody «prawomyślności» Szubrawców, to za taki może służyć między innymi «Szczęście i pokój», oda Szydłowskiego (szubrawca Gulbi). Opisuje tam on błogi stan, w jakim się znajdowała Litwa przed rokiem 1812:

Pod mądrym Minerwy okiem
Tu przemysł z nauką wzrasta,
Obfitość płynie potokiem,
Wznoszą się wspaniałe miasta,
Tam sztuka z smakiem złączona,
Sączy rozkosz z swego łona,
Która przez słodkie wrażenie
Czaruje zmysły śmiertelnych
I skutkiem powabów dzielnych
Pomnaża uszczęśliwienie.

Wszystko było pięknie i dobrze aż oto:

Otworzyły się otchłanie.
Oto jędz zgraja wylata
I szerzy swe panowanie
Na ucisk nędznego świata
Wściekłość zajęła narody.
Słychać głos wszędzie: do bron!i
Gdzież szczęście? o nędzna dola!
Patrz, oto zaległy pola
Płatnych zbójców miliony:
Widzisz jak żdziczące hordy
Lecą na wzajemne mordy

Uciekła Temis zhańbiona
Wdzięcznych muz nie słychać pienia.

O Boże! w gniewie surowy,
Wstrzymaj cios zgubny dla świata,
Na sprawców nieszczęść tych głowy
Niechaj twój piorun wylata.
Niechaj społeczność skrzywdzona
Ich zgubą będzie zemszczona.

Niech bojaźń kary wytrąca
Z rąk krwawych mordercze bronie,

Oda powyższa, traktująca Napoleona i jego wojny ze stanowiska poglądów Świętego Przymierza, cieszyła się przecie ogromnem powodzeniem, które dowodzi, że społeczeństwo zgadzało się z myślą zasadniczą autora.

Historję powstania i pierwszych lat istnienia towarzystwa szubrawców i «Wiadomości brukowych» tak opisuje Michał Baliński dostojnik Auszlawis w wierszu p. t. «Mixtum chaos».

Nasz pan Dzidzis Lado ¹⁾
Za Poklusa ²⁾ i innych przedrwigłówków rada
By jakieś magnetyczne ³⁾ uprzedzić roztyrki,
Wypalił, jak z Baroko gatunek satyrki,
A żywo zachęcony tak zręcznym przypadkiem,
Pałał i drugą piórem złośliwym, lecz gładkiem.

Pisemko podobało się, zaczęto go czytać, a:

W ten czas Poklus uważając po zakroju takim,
Że się ten świstek może stać nieladajakim,
Układa w płodnej zawsze na projekta myśli,
Czy nie dobrzeby na nim literaci wyszli.

Opuszczając niektóre szczegóły retoryczne, dowiadujemy się, że Kontrym, umyśliwszy założyć towarzystwo Szubrawców:

Zwołał tłum literatów goły i drażliwy.

Zgromadzenie odbyło się:

W mieszkaniu Pateli ⁴⁾ przy dobrej herbacie

Gdy się wszyscy zebrali:

Wszedł Perkunas ⁵⁾, usiadł i zażył tabaki.
Na to hasło, którego nikt się nie spodziewał,
Umilkł każdy, pan Sejmi jeden tylko ziewał.
Zatem Poklus ów ojciec, jubilat szanowny
Wznosi pośród swych dzieci głos dzielny, wymowny,
Wyłuszcza powody, dla których zgromadził.

Długo mówił Kontrym i skończył w te słowa:

Bracia, — rzekł, — wiecież co? ot mam projekt za katy:
Zostajecie Szubrawcami — i łyknał herbaty.

Projekt przyjęto nie od razu:

Powstaje wielka wrzawa, schodzi czas w hałasie.
Wreszcie zwycięża Poklus... Jak rzekł tak się stało.

¹⁾ Ignacy Emanuel Lachnicki, doktor filozofji i kamerjunkier.

²⁾ Kontryma.

³⁾ Lachnicki wydawał «Pamiętnik magnetyczny» i był przewodniczącym, czy głównym filarem kółka spirytystów, czy okultystów wileńskich. Ze wzmianki tej wnosić można, że «Wiadomości» miały być pierwotnie tem, czem się stał z czasem «Pamiętnik magnetyczny».

⁴⁾ Sztacka sownietnica Ciechanowiecka. Wnosząc z tego, że i ona miała przewisko, można przypuszczać, że do towarzystwa szubrawców należały i kobiety.

⁵⁾ Jakób Szymkiewicz leib-medyk cesarza Aleksandra I, wybitny lekarz, autor wielu prac naukowych.

Tak powstał związek Szubrawców. Jego inicjatorem był najoczywiściej Kontrym. Na prezydenta powołano widocznie najstarszego, najszanowniejszego ze zgromadzenia Jakóba Szymkiewicza, Perkunasem nazwanego, którego przybycia na zebranie nikt się nie spodziewał. Szubrawcy zresztę niebardzo byli zadowoleni z pierwszego prezesa, którego zasługi Auszlawis charakteryzuje w ten sposób:

On bronił Szubrawców imienia wymownie,¹⁾
Mileżał, a z nim Szubrawcy milezeli zarówno.

Daty urodzenia Szymkiewicza nie znamy, ale musiał to być już, sądząc ze wszystkiego, starszy człowiek, który przypuszczalnie stanął na czele Szubrawców przypadkowo. Nie cieszone się nim długo, gdyż w rok zaledwie po zawiązaniu towarzystwa, 6 listopada r. 1818 umarł w swoim majątku Fankiele. Po nim objął stanowisko prezydenta Kontrym, «Szubrawiec Poklus, dygnitarz ojciec, jubilat towarzystwa, trzykroć od braci tem nazwiskiem uroczyście na pełnej schadzce nazwany». I z tego przecie prezydenta Szubrawcy nie byli zadowoleni i Auszlawis w swoim «Mixtum chaosie» taką przypina łatkę dostojnikowi. Gdy Perkunas.

... ten patryarcha poszedł do mogiły
Szanowny po nim Poklus dzwonił z całej siły.
Złote to były wieki, wszyscy smaczno spali,
Auszlawis tylko, Gulbi i Ojciec gadali.

Innemi słowy za Szymkiewicza i Kontryma towarzystwo miało niby wieść ospały żywot, a Szubrawcy pełnić swe obowiązki niedbale. Może jest w tem nieco prawdy, ale zdaje się, że Auszlawis, wzorem wszystkich chwalców, chcąc uwydatnić szczególnie zasługi nowego prezydenta, z rozmysłem obniżył zasługi jego poprzedników. Porównyując numery z r. 1817 i 1818 nie możemy w żadnym razie przyznać, aby ich treść była pod jakimkolwiek względem niższej próby, niż w r. 1819 i następnych latach. Bardzo być może, iż zamieszczano prace tylko kilku szubrawców: Auszlawisa (Balińskiego) Gulbiego (Szydłowskiego) i Poklusa (Kontryma), inni zaś milczeli, ale przypuszczalnie był to zwykły stan rzeczy. Szubrawców było kilkunastu, parę dziesiątków może, trudno jednak przypuszczać, aby wszyscy pisali rzeczy, kwalifikujące się do druku.

Ponieważ współpracownicy «Wiadomości brukowych» nie podpisywali swoich artykułów, przeto dziś niepodobna wyjaśnić czyją są one zasługą.

Jedno przecie nie ulega wątpliwości: «Podróże szlachcica na łopacie» pisał Jędrzej Śniadecki. Historia tej łopaty jest taka. Pewien szlachcic, spacerując za miastem, znalazł łopatę. Podniósł ją i chciał zanieść do domu, ale pokazało się, że to łopata czarnoksięska. Wystarczało pomyśleć, siadłszy na nią: «chcę być tam, a tam», a łopata niosła szczęśliwego posiadacza, gdzie chciał być. Miała ona nadto taką

własność, że ściany i dachy dlań nie istniały, a jej właściciel stawał się niewidzialnym i mógł widzieć i słyszeć wszystko.

Jędrzej Śniadecki był niezmordowany. Profesor, wykładający dwa ważne przedmioty: chemję, i farmację, lekarz z wielką praktyką, uczony, piszący liczne rozprawy z zakresu swej specjalności, miał dość czasu, aby na swej łopacie oblatywać domy obywateli miejskich, wiejskich zwłaszcza, podpatrywać tam rozmaite sceny i opisywać je zjadliwie w «Wiadomościach». Śniadecki miał już wówczas koło pięćdziesięciu lat, wiele doświadczenia, obserwacyj i znajomości, a że przy tem miał doskonały styl, wiele dowcipu i humoru, przeto był feljetonistą, jakiego podobno i dziś nie posiada dziennikarstwo nasze. W każdym razie uważanym być powinien za ojca feljetonu społecznego u nas; zważywszy zaś, że przez jego ucznia i naśladowcę Sękowskiego forma ta została wprowadzona do dziennikarstwa rosyjskiego, przeto w pismach Suworina, Burenina, Doroszewicza możeby znaleźć można nie jeden temat, obraz, przenosiń zapożyczoną u Śniadeckiego.

Szubrawcy cenili wysoko swego mistrza, któremu ani wiek, ani powaga nie przeszkadzały uczestniczyć w bądź cobądź wesołych zgromadzeniach szubrawskich i, po ustąpieniu Kontryma, powołali go na swego prezydenta.

Daty powołania Śniadeckiego, który otrzymał szubrawskie imię Sotwaros, ściśle nie znamy, ale przypuszczalnie musiało to się stać w końcu roku 1819. Kontrym widocznie ustąpił ze stanowiska prezydenta dobrowolnie, uznając, że Śniadecki jest godniejszym tego tytułu. Zresztą Kontrym zachował godność wice-prezydenta, jak widać z następującej wzmianki.

— Grumdrypp (jeden z pseudonimów Śniadeckiego) powrócił do kochanych dzieci swoich pod imieniem «szlachcica na łopacie» i nie tylko z nami przebywa, lecz jest prezydentem towarzystwa. Pierworodny syn jego Poklus miejsce jego zastępuje, jako uznany przez nas za ojca.

Uroczystość objęcia przez Śniadeckiego stanowiska prezydenta obchodzili Szubrawcy z ogromną pompą. Wygłoszono kilka mów przeważnie wierszem na cześć nowego wodza, nie szczędząc kadzideł wszelkiego rodzaju. Zagaił posiedzenie profesor literatury Borowski, który, jako Szubrawiec Pergrubius, odczytał odezwę dawnego prezydenta towarzystwa, Perkunasa, to jest doktora Szymkiewicza.

Nie wiele znamy utworów poetyckich tego, co uczył literatury polskiej Mickiewicza i Słowackiego, ale nie sądzimy, aby owa odezwa powitalna robiła zaszczyt jego taktowi artystycznemu. Śmierć wogóle, a śmierć człowieka zasłużonego nie jest wdzięcznym tematem do żartów poetyckich. Borowski, w imieniu nieboszczyka Szymkiewicza, w te słowa witał jego następcę:

Teraz po mojej śmierci nie źle mi się dzieje,
Choć wolał-bym być z wami moi dobrodzieje,
Lecz cieszę się gdy w niebie rząd nad wami dostał,
Że tu Sotwaros ziemskim prezydentem został.
Niech was rządzi szczęśliwie! Zachód umierania
Nie dał mi z nim prawnego odbyć łapowania,
Ni go widzieć na schadzkach, ni słyszeć co pisze.

Z tych ostatnich wyrazów wnosić by należało, że Śniadecki przystąpił do towarzystwa Szubrawców dopiero wtedy kiedy Szymkiewicz był już chory, z drugiej przecie strony utwory «szlachcica na łopacie» okazują się w pierwszych numerach z r. 1817, a więc jeszcze przed zawiązaniem towarzystwa. Wypadało by stąd, że Śniadecki zasiliał «Wiadomości», nie będąc jeszcze Szubrawcem.

Wracając do uroczystości powitalnej, zaznaczyć trzeba, że dwaj generalni wierszopisowie Szubrawscy: Auszlawis (Baliński) i Gulbi (Szydłowski) wystąpili również z oracjami rymowanymi. Zwłaszcza popisywał się Auszlawis. Zaczął górną od opisu lotu orla, który wzbił się w chmurę, a potem prawił:

Was ja bracia ulubieni
Chciałem w tym orle wystawić,
Was, co nad motłoch wzniesieni,
Śmieliście uczyć i bawić
Świątym natchnieni zamiarem,
Wzgardziwszy uprzedzeń gwarem,
Stajecie w przybytku chwały,
A głos powszechny, głos Boży
Przez was winowajców trwoży,
Niecąc szyderstwa postrzały.

O Śniadeckim Auszlawis tak się wyraża:

Ty uczony Sotwarosie,
Ty Palladą jesteś naszą.

Ustępy powyższe, jak i ów obchód na cześć Śniadeckiego, świadczą, że Szubrawcy z jednej strony byli bardzo wysokiego mniemania o swej działalności, jak osobach nie szczędzili bynajmniej sobie wzajem kadzideł. Od takich wyrażań, jak: «łajcie nas jak chcecie, ale się nauczcie czytać i myśleć» aż się roi w «Wiadomościach brukowych», skromność wogóle nie należała do cnót Szubrawców i nie gardzili oni tem, co się dziś nazywa reklamowaniem. Jest to drobna słabostka wielu wielkich ludzi, ale zawsze słabostka.

Aby skończyć z tą kwestją, przytoczę jeszcze jeden ustęp z «Kur. Litewsk.» Pra-prawnuk księdza Baki, przyjaciel prawdy, dowiedziawszy się o powstaniu towarzystwa Szubrawców, wystosował list, w którym biada przedewszystkiem nad nieprawościami świata. Mądrzy, powiada, — pisali ustawy, ale ich nikt nie słucha, bajki też już chybiają celu, bo ich nie czytają, teatr również nie poprawia obyczajów, bo:

.....nieuki,
Na teatr brną nie dla sztuki,
Pić w bufecie, lub się kłócić
I aktorki bałamucić.

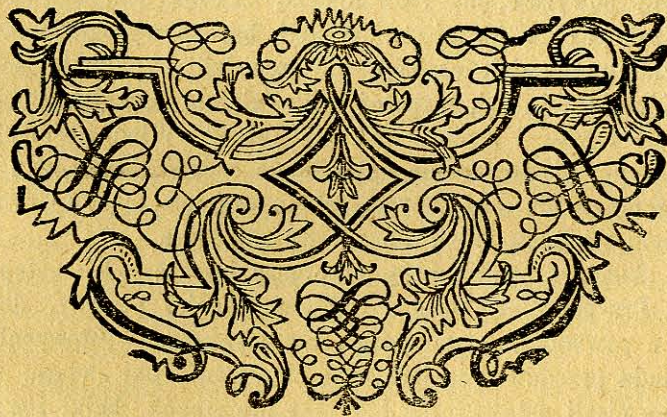
Żle by było na świecie zupełnie, ale:

.... cnoty wyznawcy,
Nazywają się Szubrawcy,
Zebrawszy się do gromady,
Wytykają ludzkie wady,
W szynkach, sklepach, pałacach,
Po ulicach i na placach,
Wśród magnatów, urzędników
Walczą cnoty przeciwników
I wskazują ludziom wszędy,
Wady gorszące i błędy,
Ogłaszając to bez złości,
Przez brukowe wiadomości.

Tak tedy Szubrawcy byli świecie tego przekonania, że posiadają sekret sztuki życia, że wiedzą, jak postępować należy i jak nie należy, i śmiało narzucali społeczeństwu swoje ideały, szydząc z tych, co innemi kroczą drogami. Ideały to były, jak widać ze statutu, przytoczonego powyżej, bardzo elementarne, recepta zbawienia narodu prosta aż do zbytku. «Nie pij, nie graj, pracuj, czytaj, nie pożądam żony bliźniego twego» słowem wszystko rzeczy, o których «dawno w pańskim pisano zakonie». Stawiając społeczeństwu wzory do naśladowania, Szubrawcy nie byli zbyt oryginalni i pomysłowi i bezwarunkowo mocniejszymi byli we wskazywaniu wad i usterek ustroju ówczesnego niż w wytykaniu dróg dnia jutrzejszego, celów ogólnych, odległych. W rozdziale następnym postaramy się wyświetlić poglądy społeczne Szubrawców na podstawie spóścizny literackiej po nich.

W. Ciechowski.

(d. n.)



Szkoły w woj. połockiem w XVIII w. po pierwszym Kraju rozbiorze.

Lepel.

Najstarsza wzmianka o szkołach na tem terytoryum pochodzi z początku XVII w., a mianowicie z r. 1604, kiedy sławny potem Lew Sapieha ¹⁾ w Lepelu ufundował kościół i uposażenie przeznaczyl na szkołę przy nim i dla nauczyciela. Dalszych losów tej instytucji niestety nie znamy i w późniejszych czasach nie napotkaliśmy wiadomości o niej ²⁾. Naturalnie, mogła to być — i zapewne była — jakaś parafialna szkółka i takich z pewnością w XVIII wieku znacznie więcej się znajdowało, jednak będziemy mówili tu o takich, których istnienie dokumentami jest sprawdzone.

Czaszniki.

Zygmunt-Adam Służka, chorąży litw., w 1674 r. sprowadził tutaj O. O. Dominikanów ³⁾ wyznaczwszy im utrzymanie na pięciu kapłanów i dwu bractwach. Otóż tutejsi synowie duchowni Sw. Dominika około r. 1780 ⁴⁾ postanowili szkoły otworzyć, głównie się o to starał O. Kowalski, popierany w tem przez starszyznę zakonną, a może i przez dziedziców ówczesnych czasznickich, Łopatów; w r. 1782 były tu dwie klasy, w których uczono oprócz gramatyki, humaniorów, retoryki i poetyki, prefektem i głównym nauczycielem był ów O. Kowalski; uczniów liczono 46, a w roku następnym 63. Jednak te szkoły powstały bez wiedzy Kom. Edukacyjnej, więc postanowiono je zamknąć. Są wiadomości, że O. Kowalski sam jeździł do Warszawy i tam się starał, aby uczelnię pozostawiono. Czy te jego starania jakie odnio-

¹⁾ Jaroszewicz, *Obraz Litwy* t. III p. 101, 228.

²⁾ Lepel potem Lew Sapieha zapisał Bernardynkom Św. Michalskim, gdzie się jego grobowiec znajduje.

³⁾ O. S. Baracz, *Rys dziejów Zak. kaznodzj.*, Lwów 1861, t. II, p. 408 et sqq. Kościół ten po zniesieniu Dominikanów 1832 r. jeszcze istniał do 1868 r. jako parafialny, potem zabrany.

⁴⁾ cfr. Wizyty szkolne z tych czasów w Muz. Czartoryskich.

sły skutek — nie wiemy, ale w latach późniejszych nie znajdujemy o tej szkole wzmianki.

Głębokie.

Jak wiadomo, były dwie miejscowości tej nazwy, małą tylko rzeczką rozdzielone: jedna należąca do Karmelitów Bosych, bogato bardzo uposażanych, mających wspaniały Kościół, ogromny klasztor i utrzymujących następnie swoim kosztem konwikt przy szkołach berezweckich; a drugie była własnością Zenowiczów, a potem Radziwiłłów; tam także był Kościół parafialny, a przy nim szkołka, o której znaleźliśmy niejaki szczegóły z r. 1789¹⁾: ówczesny pleban, X. Fiedorowicz własnym kosztem utrzymywał tę szkołkę, mającą wtedy uczniów 20. «Examinowani z katechizmu, dość dobrze odpowiadali; jedni z uczniów uczyli się czytać, drudzy pokazali swoje pisma i opowiadali początki liczby.» Dalsze tej szkółki dzieje nieznane nam.

Połock ze strony polskiej.

Jest tu mowa o tej części Połocka, Dźwiną oddzielonego, która po pierwszym rozbiórce przy Rzeczypospolitej została; obecnie nazywa się to «Kabaczek»; był tam kiedyś klasztor i Kościół Bernardynów i fara, przy której istniała szkołka parafialna²⁾. W roku 1782 takie posiadamy o niej wiadomości: Było dzieci 40; uczył je osobny «dyrektor», pensję ze składek otrzymujący; nauki dawane były sposobem jezuickim konwiktów przeszłych w kraju naszym z przydatkiem słowiańszczyzny a dalej powiedziano w tej wizycie: «Liczna młodzież do szkół zadźwińskich jezuickich się udaje, lubo to rodzicom ich z trudnością dla rewizyi przychodzi».

Dziśna.

Ziemianin połocki, Krzysztof Malchiewicz-Chechłowski sprowadził do Dżisny Franciszkanów w. 1640 roku, wyznaczwszy im dość ubogie uposażenie i zbudowawszy niewielki drewniany kościółek, ale około 1770 r. Franciszkanie sami, z pomocą dobrodziejów i składek, wymurowali znacznie większy p. t. Niepokalanego Poczęcia N. M. P.—Przy tym kościele, od czasu do czasu miewali oni szkołkę parafialną, ale szczegółów o niej nie mogliśmy znaleźć³⁾.

Oprócz tych małych szkółek parafialnych niższego rzędu, były jeszcze większych rozmiarów szkoły w województwie połockim w owych czasach, a mianowicie: w Łużkach, w Uszaczu i Berezwechu, o których obszerniej możemy pomówić.

Łużki.

Już na początku XVI w. była to posiadłość Sapiehów⁴⁾ z linii zwanej potem Kodeńska, następnie przeszła do linii Czerejskiej i w

¹⁾ cfr. Wizyty szkolne w Muz. Czartoryskich.

²⁾ Wizyty szkolne w Muz. Czartoryskich.

³⁾ O pięć mil od Dżisny w miasteczku Prozorokach też byli Franciszkanie, przez Justyniana Szczytka, podkomorzego połockiego, ufundowani przy końcu XVII wieku, lecz czy utrzymywali tam szkołkę parafialną, nigdzie śladów nie napotkaliśmy; również nie możemy z pewnością powiedzieć, czy istniała też szkołka u Franciszkanów w Udziale.

⁴⁾ Sapiehowie, Petersburg, 1890, t. I p. 57, t. II p. 189.

1699 r. Kazmierz Sapieha oddał je w zastaw Hierominowi Żabie, podwojewódzicowi połockiemu i staroście korszańskiemu i jego małżonce z Grothusów Katarzynie; tak twierdzi monografia sapieżyńska, a inni¹⁾ nazywają tego Hieronima Żabę podwojewódzim połockim i żonatym z Katarzyną Protasiewiczówną. W każdym razie syn jego, Waleryan-Antoni, kasztelan naprzód brzesko-litewski, potem połocki, nabywa na własność Łużki i zamysła tam Pijarów sprowadzić, co też uczynił, usiłując Łużki Waleryanowem nazywać, chociaż się to nie przyjęło, ale w urzędowym Pijarów języku zwykle «Valerianovia» miano nosiło. Kasztelan fundację uczynił pijarską d. 7 września 1741 roku²⁾, przeznaczwszy im dwa folwarki, z klucza łużyckiego je oddzieliwszy, nadto nadał im place na kościół, kolegium, ogrody, szkoły, które wraz z kolegium pierwsi jak się zdaje zbudowane były niż kościół, nadto zapisał im 2,400 rs., a kleryk pijarski Ignacy Żaba, nieznany nam bliżej—1,000 talarów legował z obowiązkiem odprawiania za jego duszę jednej mszy tygodniowo czytanej. W 1745 r. kasztelan formalnie oddał Pijarom jeden folwark, Wiśnick, w powiecie bobrujskim, dość obszerny; w 1834 roku skonfiskowana ta posiadłość pijarska, ów folwark Wiśnick, składała się z 13 wiosek, mających ludności 330³⁾ a na parę lat przedtem⁴⁾ było tam dymów włościańskich 50, dusz męskich 211, a żeńskich 186. Drugi zaś folwark, blisko Łużek, potrzebny podczas fabryki i budowy kościoła zatrzymał fundator do pewnego czasu u siebie, świątyni jednak nie zdołał ukończyć i w 1752 r. rozstał się z tym świątem, a sukcesorowie⁵⁾ potem nie chcieli go Pijarom oddać, zaczął się w 1880 r. w listopadzie proces o ten majątek ze spadkobiercami wojewody, jednak do r. 1832, w którym kolegium waleryanowskie skasowano, proces nie był ukończony, słabo przez Pijarów popierany, bo wiele nańłożyć nie mogli. Kościół p. w. Św. Michała Archaniola dość obszerny, murowany, przez kasztelana zaczęty, a przez Pijarów dokończony, istnieje dotąd jako parafialny.

Jak wiadomo, Kolegia pijarskie zawsze są ze szkołami połączone i Waleryan Żaba w tym celu sprowadził tam Pijarów, aby młodzież nauczali; musiało to wkrótce nastąpić po zainstalowaniu się tych ojców w Łużkach, to też wizyta Rudominy z 1816 r. zaznacza początek szkół waleryanowskich w 1745 roku. Może na początek była tam szkołka parafialna, a potem już szkoły większych rozmiarów sposobem pijarskim urządzane, ale nie doszły do nas żadne wieści o nauczaniu tam w tej pierwszej dobie; dopiero za czasów Komisji Edukacyjnej dowiadujemy się szczegółowiej o tych szkołach, pod opieką już tej Komisji zostających.

I tak w roku 1782⁶⁾ liczono tam uczniów 130, klas trzy, szkoły więc podwydziałowe o czterech nauczycielach; uczono też podług przepisów Kom. Eduk., wykładając język francuski i niemiecki. W wizycie

¹⁾ Złota Księga Szlachty Polskiej, IV p. 422.

²⁾ Własnoręczne notatki X. Ant. Moszyńskiego S. P.

³⁾ Opisanie powiatu Borysowskiego, Wilno 1847, p. 7, przez E. Tyszkiewicza.

⁴⁾ Z Notatek X. Moszyńskiego.

⁵⁾ Złota Księga l. p. 423 utrzymuje, że kasztelan Żaba † 1752 r., synem jego był Jan, dziedzic Łużek, żonaty z Pakoszówną, a synem Jana — Tadeusz, ostatecznie wojewoda Połocki, † c. 1800 r., z Ludwiki Kiełpszówny zostawił 3 tylko córki, z tych Apolinara otrzymała Łużki, wychodząc za Platera; około r. 1840 sprzedała je Czapskim, przez których dostały się potem Zybergom-Platerom.

⁶⁾ Wiadomości z tego roku i lat innych z wizyt. w Muz. Czartor.

z tego roku znajdujemy taki ustęp: «młodzież na tem pograniczu do burd skłonna, nie masz prawie sposobu w karności ją utrzymać».

W roku następnym zastajemy tam taki personel pedagogiczny: rektor—X. Floryan Kruszewski, prefekt—X. Jacek Krasowski, prof. kl. III—X. Piotr Zagolłowicz, kl. II—X. Michał Skierniewski¹⁾, kl. I—X. Dominik Serafinowicz; po francusku uczył X. M. Skierniewski, a po niemiecku—X. Quander, ale piszą go też Quader, nie wiemy więc jak się właściwie nazywał.

Z 1785 roku dowiadujemy się, że te szkoły zawsze o 3 klasach, były wizytowane dnia 1 lipca. Prefekt i razem profesor kl. III, X. Piotr Zagolłowicz, miał takich celniejszych uczniów: Jerzego Burbe, Ignacego Cybulskiego, Franciszka Stankiewicza i Wiktora Zahorskiego. Prof. II kl., X. Dom. Serafinowicz, chwalił: Augusta Klotta i Jana Klotta, Dominika Świszczewskiego, Dominika Kozakiewicza i Dominika Kuczewskiego. U prof. kl. I, X. Bazylego Eymutowicza, celowali: Józef Miłaszewicz, Józef Dmochowski, Adam Kuczewski, Snarscy, Mikołaj i Antoni i Kazimierz Kwieciński. Wszystkich uczniów 104.

«Mimo ubóstwa miejsca tego przyzwoity porządek, podług ustaw Kom. jest zachowany».

We dwa lata potem wicerektorował tutaj X. Marcin Quader (a może Quander?), X. Augustyn Żylewicz był prefektem, X. Tomasz Frącowski uczył matematyki, X. Bazyli Eymutowicz—wymowy i nauk moralnych, X. Ambroży Sagajło dawał lekcje w I kl.; uczono też po francusku i po niemiecku; uczniów wszystkich 113. Medalami Stanisława-Augusta «Diligentiae» nagrodzeni: Julian Ławiszewski, uczeń III kl. i Tomasz Przesiecki z I kl.

Więcej szczegółowe mamy wiadomości z wizyty, d. 22 maja 1789 r. dokonanej przez X. Jana Erdmana, wizytatora general. i kanonika inflanckiego. Na czele konwiktów jako rektor, a jednocześnie prefekt szkolny, stał X. Remigiusz Uleniecki, X. Tomasz Frącowski uczył wymowy, X. Anzelm Lubecki matematyki, a X. Kajetan Dzierżanowski w kl. I. «Po krótkiej przemowie, stosownej do dzieła wizyty czynione były pytania o stanie szkół, o porządku prowadzenia nauk, o pilności uczniów, o postępkach ich w naukach, obyczajności, o edukacji fizycznej i dyrektorach». Uczniów wszystkich 145.

Doświadczenie kl. I godzin 2. «Lepiej się w niej uczyli: Kamieńscy, Benedykt i Józef, Wincenty Gottowt, Romuald Szypillo, Jan Lisowski, Ludwik Szadziewski, Ballewiczowie, Józef i Mikołaj, Piotr Kulesza, Paweł Masłowski i Antoni Baranowski. Tyleż trwał egzamin w II klasie; tam celowali: Tomasz Przysiedzki, Antoni Kulesza, Kaźm. Aleksandrowicz, Andrzej Jęczewski, Stanisław Mirski, Augustyn Kwinta, Antoni Nowotoński i Tad. Malukiewicz.

W kl. III egzaminowano trzy godziny; odznaczyli się: Antoni Potrykowski, Ignacy Cybulski, Józef Miłaszewicz, Kandybowie, Stanisław i Kajetan, Franciszek Stankiewicz, Bazyli Ginko, Jan Łastowski, Tadeusz Korsak, Ignacy Korsak, i znowu inny Ignacy Korsak, Ludwik Zahorski. «W niższej klasie ukazane było formowanie charak-

¹⁾ X. Skierniewski—to znana bardzo osobistość i niemało o nim pisano: X. Szantyr, X. Biskup Krasiński w swoich Wspomnieniach (Kraków 1901, p. 42) i inni, lecz rzecz dziwna, zawsze imienia jego nie zaznaczając, tutaj poraz pierwszy dowiadujemy się, jak miał na imię ów ulubieniec Księcia Potemkina, potem popierany przez X. Cieciszewskiego, Metropolitę, którego tak nadużył zaufania, korzystając z jego ślepoty...

terów, w wyższych dwóch rysunki geometryczne; lekcje dawały się z ksiąg elementarnych ustawami Komisji na szkoły narodowe wyznaczonych; doświadczeni byli uczniowie języka francuskiego i postępki w tym języku dość znaczny w niektórych dał się widzieć. Mają w tutejszych szkołach o edukację fizyczną starania; musztra wprowadzona». Medale «Diligentiae» otrzymali: Antoni Potrykowski i Stanisław Kandyba, uczniowie klasy III. Wizytator, złożony wizytę dzieciom i oświadczywszy wdzięczność i ukontentowanie nauczycielom, zaleciwszy nadal gorliwość i zachowanie wszelkich ustaw Komisji, Łużki opuścił.

Przy końcu XVIII wieku, w latach ostatnich jego¹⁾, liczono uczniów 167, a klas cztery; program nauk nieco był już zmieniony, ale w głównych zarysach trzymano się jeszcze ustaw i podręczników Komisji Edukacyjnej; uczono też trzech nowożytnych języków—rosyjskiego, francuskiego i niemieckiego. Szkoły mieściły się w kolegium. Medali «Diligentiae» już nie dawano. Znamy skład nauczycieli, ale już z początku XIX wieku, jednak zmiany w tym względzie chyba nie musiały być znaczne. Rektorem był jeszcze znany nam X. Remigiusz Uleniecki, nauczycielami zaś następujący: X. Anzelm Lubecki, X. Ksawery Jankowski, X. Aniół Dowgird, znakomity uczony i filozof, o którym mówiliśmy obszerniej przy innej sposobności, X. Kasper Dunin, X. Antoni Łękowski i X. Franciszek Piliński. W szkołach łuceckich kształciło się niemało takich, którzy potem zasłynęli na szerszej widowni, odznaczając się w społeczeństwie naszym; do nich należą: Piotr Albricht, ur. r. 1765, lektor jęz. niem. w szkole głów. litewskiej; Korneli Pocłojewski, ur. 1746, prof. prawa kan. i cywiln. w Wilnie, Adam Powstański, ur. 1768, † 1846, dr. filozof., prof. wileński i literat; X. Ferdynand Serafinowicz S. P., ur. 1759, † przed r. 1816, też prof. Szkoły głów. Litew.²⁾ i inni.

Uszacz.

Dobra uszackie, niegdyś bardzo rozległe, już XVII w. należały do Józefa Klonowskiego, stolnika połockiego³⁾, potem Radziwińskich-Frackiewiczów, później do Szczytów Niemirowiczów, z których Anna z Zawiszów Szczytowa, kasztelanowa Smoleńska, Krzysztofowa, około r. 1720 sprzedaje Uszacz Janowi-Kazimierzowi Żabie h. Kościesza z odmn., który wnet potem został wojewodą mińskim, 1721—1754, rozstawszy się z tym światem w maju 1754 r. w Uszaczach i tam pochowany, licząc lat 71; żonaty był z Barbarą-Ludwiką Dzieduszycką h. Sas. chorążanką lwowską, z tego małżeństwa urodził się pomiędzy innymi Franciszek, starosta bialski, pan na Uszaczach, który poślubił Cecylię Lipską, kasztelanekę łęczycką h. Grabie; dzieci nie zostawił; w 1790 r. starosta już nie żył, a żona jego miała na Uszaczach dożywocie, zakończone jej śmiercią d. 10 września 1795 roku, gdy do 75 roku dożyła. Potem, jak się zdaje przeszedł Uszacz do brata Franciszka, Hieronima, starosty korszańskiego i ten, podobno, sprzedał Uszacz Tadeuszowi Za-

¹⁾ Sbornik materyalów dla istorii proswieszczenia w Rossii, t. I, p. 663 i II pag. 559.

²⁾ cf. Dr. J. Bieliński, Uniwer. Wileński. Dzieje szkół łuceckich w w. XIX nie objęte tem naszym opowiadaniem.

³⁾ Słownik Geograficzny, Złota Księga IV l. c. notatki pana W. Mienickiego, znanego ziemianina lepeckiego, chętnie swoją wiedzą obdarzającego.

bie, swemu krewnemu, woj. połockiemu, zabitemu od chłopów w początku XIX wieku. Wojewoda, jakżeśmy to już mówili, miał tylko córki i Cecylia otrzymała Uszac, 1 voto Ignacowa Burzyńska, 2 v. Janowa Marcinkiewiczowa h. Łabędź; był on kawalerem malt. i marszał. szlach. wileńskim, otrzymał pozwolenie nazywać się Żaba-Marcinkiewicz; jedyna ich córka, Alina, wniosła tę posiadłość Broel-Platerom.

Jest dość rozpowszechnione mniemanie¹⁾, że Dominikanów do Uszacza sprowadził Hieronim Żaba, ojciec Jana Kazimierza, w 1716 roku, jak się to mogło stać, gdy na ten czas jeszcze pono Uszac do Żabów nie należał, wytłómaczyć tego nie potrafimy! Nie brak jednak i takich źródeł, które fundatorem nazywają owego Jana Kazimierza, woj. mińskiego, w r. 1740, a nawet dopiero 1746; on to, w każdym razie nadał uposażenie dominikanom, folwark Zamosze, niedaleko od Uszacza, z kilkudziesięciu poddanyymi i 20 wł. ziemi, nadto pewne sumy pieniężne. Kościół p. wezwaniem św. Hieronima z początku był drewniany, jak też i klasztor; przy końcu XVIII wieku wymurowano jedno i drugie i od r. 1793 utworzono tu parafię (przedtem do parafii kublickiej należał). Kościół miał długości 13 sażni i szerokości 7; ołtarzy 7: wielki — Św. Trójcy i Św. Hieronima, M. B. Rożańcowej, Pana Jezusa, Św. Dominka, Wincentego Fer. Św. Jacka i Tomasza. Klasztor też murowany piętrowy, z kościołem się nie łączył, «figury podłużnej», długości sażni 21; na dole mieszkanie przełożonego, podwójne z 2 garderóbkami, refektarz i 2 cele; na piętrze 7 cel i inne jeszcze ubikacje²⁾. W kościele tym był obraz M. B. łaskami słynący.

Powszechnie utrzymują, iż Dominikanie uszaccy zaprowadzili u siebie szkołę parafialną dopiero w 1787 roku³⁾, ale są na to dowody, że uczono tam już znacznie wcześniej: przynajmniej jakich lat 30; a mianowicie wiadomo, że niewesołej pamięci Herakliusz Lisowski, arcybiskup połocki, tam nauki pobierał pierwotne⁴⁾, a znana jest rzecz, że się on rodził w 1734 roku, więc, gdyby się nawet zbyt do książki nie kwapił, to już przed rokiem 1750 musiał nauki rozpocząć, które w owych czasach dość późno zaczynano⁵⁾.

Jednakże szczegółów o tej szkole parafialnej więcej nie możemy niestety zacytować i nigdzie nawet o niej śladu nie napotykalismy, ale zapewne była ona taka sama, jak wszystkie inne klasztorne w owych czasach, a długoletni przeor miejscowy, O. Jacek Ulanowski, którego już w 1787 r. zastajemy na tem stanowisku, prawdopodobnie gorliwie pracował, aby oświatę szerzyć.

Jednak O.O. Dominikanie i szlachta okoliczna (zwłaszcza odkąd Uszac stał się stolicą resztek woj. połockiego) ustawicznie kołatali do Kom. Eduk. aby otworzyć w Uszacu szkoły podwydziałowe. Szczególnie wziął to do serca Marcin Szczytt, sędzia ziemski poł., kawaler Orderu

¹⁾ Baracz, Zakon kaznodziejski, l. c. p. 380, tom II.

²⁾ Kopia wizyty kanonicznej tego kościoła z r. 1818, manuskrypt w ręku piszącego. O. Wacława, obrazy cudowne M. B. Kraków 1902.

³⁾ Opis dzienny osobliwszych dziejów i przypadków miejsca w szkołach podwydziałowych uszackich z wydziału ruskiego, 1791 r., in fol. str. 119 manuskrypt, drukowany w Kronice Rodzinnej w 1888 r., a potem w Kwart. Hist.; Sbornik materialów dla istorii prosw. t. I p. 594 et s9.

⁴⁾ Zapiski Wasilia Łużinskago, Kazań 1885 p. 22.

⁵⁾ Złota księga Szecht. Polsk. V p. 97 monogr. Lisowskich; chociaż tam niema daty urodzin Herakliusza L., ale wiemy napewno, że w tym roku na świat przyszedł. Układamy właśnie jego życiorys.

Św. Stanisława, poseł na sejm¹⁾ i Michał Zenowicz, podkomorzy połocki i też na sejm poseł²⁾, a gdy się do nich przyłączył X. Poczubut, sławny rektor Szkoły Główn., to się stało ich życzeniem zadość i Kom. Eduk. na sesyi 17 września 1791 r. uchwaliła szkoły podwydziałowe w Uszacu, polecając je pieczy i staraniom miejscowych Dominikanów prowincyi litewskiej, a przytem pochwalając obywatelskie dążności tych Zakonników i podziękowanie za nie składając O. Downarowiczowi, prokuratorowi tego zakonu, najgorliwiej około tej sprawy zajętemu. W paźdź. tego roku szkoły podwydziałowe były tam otwarte bardzo uroczystie przy licznych szlachty i duchowieństwa obu obrządków zjeździe.

Przy końcu roku szkolnego, w lipcu r. 1792³⁾, w szkołach uszackich podług ustaw Kom. Ed., były trzy klasy o tyluż profesorach. W I-ej uczniów 60, od lat 8 do 20, przeważnie drobnej szlachty miejscowej i nieco smoleńskiej; dane im stopnie z obyczajności, pilności, zdrowia i «postępek» z łaciny, nauki moralnej, arytmetyki i formowania charakteru. Obyczaj 40 uczniów — płoche, reszta — stateczne; 2 jednak rozpustnych; pilność 23 — dobra, 22 — mierna, reszta pilności małej, a nawet żadnej. Zdrowie przeważnie dobre, a kilku tylko słabego. Z łaciny 17 uczniów ma stopień mierny, 3 — dobry, a reszta mały i żaden; z nauki moralnej — 14 dobrze się uczyło, 26 — miernie, reszta ze stopniami małymi i żadnymi; z arytmetyki 16 dobrych 12 miernych, reszta małego lub żadnego «postępu»; z kaligrafii 18 miernych, kilku nadmiernych i tyluż dobrych, a są też i tacy, co mają stopnie: «nikczemny i podły». W II-ej kl. uczniów 13, wiek ich od lat 12 — 17, są pomiędzy nimi — skarbnikowicze, rotmistrzowicze, porucznikowicze etc.; obyczajów statecznych 6, płoche 6, 1 «swywolny»; pilność — 8 dobra, 5 mierna; zdrowia wszyscy dobrego. Z łaciny 3 dobrych uczniów, 5 miernych, reszta ze stopniem małym lub żadnym; z geometrii: dobr. 2, mier. 7, reszta niedostatecznych; z histoty naturalnej 7 dobr., 4 miernych, 2 małego «postępu»; z nauki moralnej 5 dobrych, 6 mier., 2 żadnego postępu; z historii dziejów ludzkich 9 dobr., reszta miernych. W kl. III uczniów 6: *Franciszek Brynk* z Połockiego, lat 28, pilności miernej, *Marcin Borodziez*, z Połockiego, l. 27, pilności miernej, *Piotr Muraszko*, z Poł., l. 23, zdolności miern., obyczajów statecznych. *Felicyan Zabłocki*, z Poł. l. 16, pilności dobrej, we wszystkich przedmiotach mierny, obyczaj płoche, *Jan Todścik* (niewyraźnie) z za kordonu ros., lat 20, pilności dobr., obyczaj stateczny; *Tadeusz Rodziewicz*, z Poł., l. 29, pilności miernej, we wszystkich naukach mierny, Uczono też rysunków i po francusku i po niemiecku. Dyrektorów domowych 6. Prorektorem był O. Jacek Ulanowski, prefektem — O. Benedykt Zabielski, matematykę i nauki przyrodnicze wykładał O. Piotr Wysokiński, wymowę i nauki moralne (zapewne też i łacinę) O. Mikołaj Zdanowicz, w kl. I uczył O. Gundyzalw Eymontt.

¹⁾ Zapewne to był z linii wierchowskiej Marcin Szczytt-Niemirówicz h. Jastrzębiec, syn Adama, horodniczego połockiego, Barbary Sakowiczówny h. Pomian; Marcin poślubił Aniele Bohuszównę Siestrzenciewiczównę.

²⁾ Michał Despot Zenowicz h. włas., syn Antoniego, podst. połock. i Eleonory, Skarbkówny Ważyńskiej; potem marszałek szlachty mińskiej, † 1841; ożeniony z Anną Szczyttówną, córką Krzysztofa, starosty Witagolskiego. Cf. Księga Złota, IV p. 371; XVIII p. 209.

³⁾ Raport o studentach i dyrektorach szkół uszackich do Szkoły Głównej przesłany, oryginał w ręku piszącego.

W r. 1793znaczony nowy prefekt, O. Antoni Klimaszewski¹⁾; inni nauczyciele ciż sami. W roku następnym zjechał na wizytację O. Jacek Starzeński, prowincjał litewski dominikański; oprócz dawnych, O. Ulanowskiego i Klimaszewskiego, zwierzchników, wymienieni są nowi: O. Zefiryn Jacyna, profesor wymowy i nauki moralnej, O. Wawrzyniec Cilwikowski, matematyki i fizyki, a O. Maurycy Wilnowujski (niewyraźnie) kl. I. W r. 1796 pod dniem 24 lutego notuje ów «Opis dzienny» wiadomość, że odtąd kazano się trzymać kalendarza starego stylu; było to już środopóście i klasztor prosił Siostrzencewicza, aby było wolno przynajmniej Wielkanoc jeszcze w swoim odbyć czasie, podług nowego stylu; czy im to pozwolono, nie ma o tem wzmianki. W tym czasie O. P. Woyksztowicz był prefektem i razem nauczycielem matematyki, O. Klemens Woydyłowski—wymowy, O. Leon Puzyna—klasy pierwszej.

Liczba uczniów zwykle taka sama mniej więcej bywała: od 60—80 w XVIII stuleciu, potem znacznie się powiększyła i na początku XIX wieku do stu dochodziła²⁾, ale te czasy nie wchodzą w zakres niniejszego opowiadania³⁾. Przy końcu XVIII stulecia nauczali tam: O. Jacek Skinder dawał lekcje matematyki, O. Pius Adamowicz uczył fizyki, O. Stanisław Borsukiewicz wymowy, O. Dominik Łazowski był nauczycielem klasy pierwszej; O. Zefiryn Jacyna prefektował.

Berezwezc.

Rodzina Korsaków h. własnego, albo Kotwica, bardzo rozrodzona, ogromne miała posiadłości — niezmiernej wielkości cała połać rozległa północno-wschodnia w teraźniejszym powiecie dziśieńskim w ich była reku, a nadto posiadali jeszcze inne przestronne dobra gdzieindziej. W XV w., a nawet i wcześniej, dużo ich było w Połockiem, gdzie piastowali różne ziemskie urzędy, mieli tam znaczenie i trzymali się wówczas kościoła wschodniego, licząc w nim też rozmaitych dostojników⁴⁾. Już w XVI w. dzieliła się ta rodzina na kilka linii; nas tu najbardziej zajmuje głęboko-berezwecka, którą na początku owego stulecia reprezentował *Bohdan* Korsak, syn Jana, a wnuk Frydryka, żonaty z Galińską; po nim został syn *Dymitr*, pan na Berezweczu, Głębokiem i wielu innych ogromnych dobrach. Był on mostowniczym po-

¹⁾ Opis dzienny, cytowany niżej, opisuje w 1792 r. pod dniem 3 maja uroczystości jakie się tam odbywały; potem, 22 t. m., o przejściu przez Dzwinę pod Kazimierzowem wojsk ros. mówi i o przybyciu generała Kreczetnikowa, d. 28 maja, do Uszacza, razem z Kossakowskim, podczaszym Kowieńskim. W r. 1793 d. 7 kwietnia zapisano o odczytaniu u Dominikanów i Bazylianów «plakatów» o nowym kraju zaborze.

²⁾ Sbornik materiał. dla istorii prosw. II p. 576.

³⁾ Powiemy tu tylko, że 1832 roku klasztor skasowano i od roku następnego był tu proboszczem kapłan świecki, X. Wincenty Mienicki, znany ze swoich cnót ewangelicznych i wzniosłych przymiotów, który tam zmarł srp. 1867, a w rok potem (29 v. s. lipca) kościół zamknięto. Ostatni zaś Dominikanie uszaccy byli: Przeor O. Wincenty Spodoba, ur 1780, prof. uczynił 1802, od lat kilkunastu na tem stanowisku; subprzeor O. Bartłomiej Siemniszko, 1791, 1809. lat kilka w tym charakterze; O. Hipolit Zaborowski, kurat i kaznod. 1798, 1817; O. Jacek Pisarski, 1802, 1821; O. Augustyn Herman, dozorca szkoły, 1796, 1814, kapłanem lat 12, uczył też fizyki i matematyki; O. Augustyn Woynowski, 1804, 1820. wykladał wymowę i historję; Kleryk Jan Grodzicki, 1802, 1821, uczył gram. polsko-łacińskiej; Kleryk Jacek Nowicki, 1806, 1824—arytmetyki, geografii i języka francuskiego (kopja wizyty współczesnej w rękę piszącego).

⁴⁾ Rewizya woj. połockiego z r. 1552, wydał J. Szujski, Kraków 1880 p. 42.

łockimi poślubił Teodorę, kniażnę Matwiejównę Mikityniczównę Hołowczyńską¹⁾, wnoszącą mu znaczny posag.

Z tego małżeństwa była córka Hanna, za Józefem Chaleckim, dzierzawcą owrueckim i syn *Piotr*, dworzanin królewski, starosta bychowski i orszański, który się dostał do niewoli w Moskwie 1560 r., żonaty z Oleną Iwanówną Hornostajówną. Boniecki daje im dwu synów (Korsakowicz znacznie więcej): Józefa o którym wzmianka w 1576 roku i *Lwa*, zmarłego przed rokiem 1596, pana też na Głębokiem, Berezweczu etc, żonatego z Maryanną (czy Maryną) Podbiępićianką (2 voto Marcinową Przyluską). Potomstwo Lwa nie było liczne: Boniecki zaznacza tylko córkę i syna jednego, ale ów Korsakowicz utrzymuje, że Lew miał jeszcze drugiego syna — Karola w Zakonie kanoników Latekańskich Regularnych, a skądinąd wiemy, że był w tem Zgromadzeniu Jan Chryzostam Korsak (może imię zakonne), pierwszy przełożony kan. Reg. Latr. w Krzemienicy, w powiecie wołkowyskim, znany w swoim czasie kaznodzieja, zmarły następnie w Krakowie u Bożego Ciała w 1652 roku²⁾. Córka Lwa, Teodora, wyszła za Pawła, kniazia Łukomskiego, sędzica orszańskiego, około r. 1596, jak się zdaje dysydenta; dzieci nie zostawili.

Syn Lwa, *Józef*, dziedzic Berezwecza, Głębokiego i wielu dóbr innych, bardzo majątny, starosta dziśieński, kuryłowski, filipowski, a także mściłowski i radonański, w 1639 roku został wojewodą mściłowskim i w 1643 świat ten pożegnał w stanie bezżennym, czyniąc z majątków swoich zapisy na domy Boże, fundując zgromadzenia zakonne; on też do życia powołał 1638 r. Bazylianów w Berezweczu: dając im ogromne uposażenie, składające się z Berezwecza, Wierzbilowa i innych niemałych posiadłości, z tem żeby zawsze w Unii ze Stolicą Apostolską zostając nauczali prawd wiary lud okoliczny, do jego umoralnienia się przyczyniając. O. O. Bazylianie powinni byli sami sobie wystawić tam świątynię i klasztor odpowiedni zbudować. Jednak niełatwo było zawładnąć i rozgospodarować się Bazylianom w Berezweczu. Zaraz po śmierci wojewody siostra jego, Łukomska, z mężem hołdującym «nowinkom religijnym» «usadowiła» się w Berezweczu³⁾, niedopuszczając Bazylianów, którzy musieli «gwałtowników i zajeźdników gwałtem z Berezwecza wyforować». Zajął się tem X. Gabryel Kolenda bardzo gorliwie, «mało sam zdrowiem tego nie przeplaciwszy, bo jako traditie są, że gdy strzelano do niego, deską go zasłaniał pacholek, nim wprowadził do dworu i dlatego w sobotę nie jadł ani pił, którego dnia, odbierając Berezwezc, w takim zostawał niebezpieczeństwie. Niechcąc tedy niewdzięcznym być i faworów Boskich i łaski, których doznał w odebraniu tej fundacyey, tenże X. Kolenda zaraz na tem miejscu, gdzie dwór stał, klasztor wybudował i cerkiew wielkim kosztem wystawiwszy, zakonników tam wprowadził i sam rezydując, dla powagi tytułował się archimandrytem berezweckim».

Kiedy to nastąpić miało — niepowiedziano, niewiemy; można się tylko domyslać, iż Kolenda działał tutaj w charakterze koadjutora me-

¹⁾ Istnieje: Arbor genealogica Korsakorum domus ułożona przez Jana Korsakowicza, w Wilnie 1718 roku, litografowana «wysztachowana»; Boniecki w XI t. też podaje o tym rodzie wiadomości, inne nieco; my idziemy za Bonieckim.

²⁾ W Arch. Kan. Rgl. w Krakowie w jednym miejscu nazwany on bliskim krewnym Józefa, a w drugim — bratem bez bliższego określenia, jakim. Ale są wiadomości, że syn Lwa, Józef, chciał naprzód sprowadzić do Głębokiego kanoników Reg., których gdzieindziej udotał.

³⁾ Archeogr. Sbornik, t. XIII. Wilno 1902, Monastyr Berezwecki, p. 21-23.

tropolity, Antoniego Sielawy, a w r. 1651 ¹⁾ znamy podpis Kolendy, jako archimandryty berezweckiego; należy przypuszczać, iż kościół i klasztor tam około roku 1650 już ukończone były. Kolenda, już potem metropolita, † 1674 r. zapewne do śmierci trzymał bogaty Berezwecz, a jego następcą w godności metropolitalnej, Cypryan Żochowski, zaraz na kongregacyi zakonnej w 1675 roku też prosił o Berezwecz, obiecując z niego zakonowi 600 zł. rocznie na nowicyat wypłacać; odmówić było trudno, więc i on tytułował się archimandrytą berezweckim. Gdy potem Żochowski miał od Zakonu Torokanie, to Bazylianie chcieli Berezwecz odebrać, co im przychodziło z wielką trudnością, bo walka z metropolitą była nie łatwa. Przebiegu tej sprawy nie znamy dokładnie.

W każdym razie Zakon bardzo pracował nad tem, aby w Berezweczu archimandryę skasować i żeby tam był zwyczajny tylko klasztor. Bardzo być jednak może, że metropolita miał w ręku Berezwecz do śmierci, która nastąpiła w 1693 roku ²⁾. Ale już przedtem starali się Bazylianie o nowicyat w Berezweczu: była o tem mowa na kongregacyi nowogródzkiej w 1686 roku; miano zaprosić dwu Jezuitów, żeby uczyli tam i kierowali tym nowicyatem, ale to na ten czas nie przyszło do skutku, a i na początku XVIII w. spełził ten projekt na niczem, bo w bogatym klasztorze Berezweckim rezydowali potem generałowie zakonni, t. zw. protoarchimandryci. Taki O. Joachim Kuszelicz, O. Leon Kiszka, O. Bazyli Procewicz (generał. od 1684—1719) byli przełożonymi w Berezweczu, a razem protoarchimandrytami, ale opactwa już tu nie było i metropolici nie rządili brami.

Z końca XVII wieku posiadamy nieścisłą notatkę, że ihumenia berezwecka z Wierzbilowem składała się z dymów 22 i karczmy ³⁾; dobra wierzbilowskie, odcięte pierwszym rozbiorem ⁴⁾, reprezentowały przy końcu 1792 poddanych płci męskiej 855, ogromną ilość gruntów, lasów, łąk etc.; wszystko to po roku 1772 utworzyło osobny klasztor, przy nim szkoły. Posiadłości zaś klasztoru berezweckiego w r. 1797 ⁵⁾ takie: folwark (klucz raczej) Berezwecz, w nim ziemi ornej, uprawnej włók 8, morgów 8, pod lasem włók 10, morg 24, sianozęci włók 2, nieużytków włók 4, razem więcej niż włók 25; do tego folwarku należały wsi: Zabieli, dusz męskich 42, żeńskich 48, gruntów włók 16½; Bursy, dusz męskich 20, żeńskich 32, gruntów włók 7½; Obrub, dusz m. 108, ż. 118, gruntów włók 51; zaścianek Dmytrowszczyzna, d. m. 3, żeńsk. 6, gruntów włók 1½; w tych wsiach ludności 368, gruntów włók 66½; drugi folwark nazywał się Mikulicze; ziemi ornej włók 5, lasu wł. 5, sianozęci 1 wł., nieużytków wł. 2=13 wł., do niego należały wsi—Żabienka, dusz m. 10, ż. 12, gruntu wł. 6; Stanule, dusz m. 51, ż. 68, gruntów wł. 22; Łatuszki, dusz m. 24, ż. 43, gruntów wł. 7; Mulary, dusz m. 11, ż. 17, gruntu wł. 7; Kaziuki, dusz m. 13, ż. 18, gruntu wł. 6; Orzechówno, d. m. 8, ż. 5, gruntu wł. 3; to znaczy ludności 280, ziemi włók 51; summa summarum 650 poddanych płci obojga i ziemi włók circa 160. Nadto posiadał klasztor sumy pieniężne:

¹⁾ Opisane dokumentów archiwa unit. mitropolitów, Petersb. 1897, tom I p. 298.

²⁾ Opisane dokumentów etc. t. I p. 375.

³⁾ Opisane archiwa l. c. p. 375.

⁴⁾ Przewodnik Naukowo-Literacki z r. 1907, klasztory unickie bazylikańskie prow. białoruskiej.

⁵⁾ Kopia współczesna wizyty z 1797 r. w ręku piszącego.

u Szambelana Bielikiewicza rs. 4,815 (% od lat 4 zalegał) u chorążego Norwickiego 600 r. (% od 5 zalegał), u Brzostowskich 300 r., u podczaszego połockiego Eliasza Kaczanowskiego 1,500 r., u Stanisława Buynickiego 300 r., u Kazimierza Bielikowicza 1,500 r., u Dominika Korsaka 1,500 r., na kahale żydów głęboczkich 900 r., na kahale wileńskim 1,800 r., u Tomasza Terleckiego 1,200 r.; wszystko to miało wynosić 14,415 rubli. Jeszcze pobierał klasztor dochody z czynszów—464 r., z szynków 245, z parafii 50 r., z procentów dochodziło zaledwo 150 r., więc razem około 900 r. na rok.

Zboże i inne produkty gospodarskie szły na utrzymanie klasztoru tylko i nie z tego nie sprzedawano.

Pod koniec swego istnienia, t. j. około r. 1832, miał ten klasztor poddanych płci męskiej pełnoletnich 313, ziemi włók 200, kapitałów 21,050 rubli sr. ¹⁾.

Przy końcu pierwszej połowy XVIII w. był tu superyorem O. Bazyli Poletyło, generał zakonu od r. 1739 do 1743; zaraz po nim—O. Teodozy Koniaczewski, jednocześnie prowincjał litewski, zapewne do połowy owego stulecia. Z późniejszych znamy: O. Herakliusza Karpińskiego, około r. 1767, O. Hieronima Anteckiego, około r. 1774, po nim w lat kilka—O. Ambroży Synnajewski ²⁾. W drugiej połowie XVIII w., może i wcześniej, powstał tu nowicyat. Wiemy, że tu był w nowicyacie Adryan Hołownia w 1766 roku, znany potem biskup sufragan r. g.; też tu śluby zakonne składał Cezary Kamiński (nazywają go też Kamiński) w 1780 roku ³⁾, późniejszy profesor astronomii wileński, opat leszczyński i prowincjał sławnej pamięci.

Bazylianie berezweccy zaczęli u siebie nauczanie dopiero po pierwszym Kraju rozbiorze; mianowicie w wizycie tych szkół w 1782 roku ⁴⁾ znajdujemy wzmiankę, że konwikt tam na 20 uczniów został otworzony przed pięciu laty, a gdzieindziej ⁵⁾ wyraźniej podany rok 1773, jako nauczania początek, ale jak i jakich tam udzielano nauk w pierwszych szkół latach—nie wiemy. Dopiero znana nam wizyta X. Franciszka Bieńkowskiego, dokonana w Berezweczu w 1782 roku, z której się dowiadujemy, że było tam 3 klasy, uczono po francusku i po niemiecku, uczniów z górą sto, uczono z pożytkiem już z nowych, ale także jeszcze i z dawnych książek, to znaczy, że nowy systemat Kom. Eduk. wtedy zaczął tam powoli w użycie wchodzić. Na czele klasztoru i szkół stał wtedy O. Parteniusz Terlecki, który potem (w 1791 r.) został opatem brasławskim i na tem stanowisku umarł we trzy lata później.

Z wizyty w roku zaraz następnym (1783) mamy wiadomości, że rektorował wtedy O. Maksymilan Wilczyński, znana w Zakonie osobistość, ponieważ od roku 1792 był generałem, ale zaraz w rok potem świat ten pożegnał, dodatnio swoje zaznaczywszy rząd.

Prefektem był O. Julian Piotrowicz, profesorem klasy IV O. Hipolit Fabrycy, III—O. Gerwazy Szemetkiewicz, II—O. Adam Nowakowski, a I—O. Józef Pietkiewicz; uczniów 133. Wizytator chwalił gorliwość nauczycieli i pilność uczniów.

¹⁾ Akty wil. arch. Kom. tom XVI, Wilno 1889 p. 630.

²⁾ Akty wil. arch. Kom. t. XII.

³⁾ Opisane arch. unit. mitrp. Petr. 1907 t. II № 3102, № 3104.

⁴⁾ Wszystkie te wizyty znajdują się, w Muz. Czartor, jeśli innej otem adnotacyi nie dajemy.

⁵⁾ Sbornik materiałów dla istorii prosw. w Rossii, tom II p. 561.

Wizyta z 1785 roku zaznacza, że rektorem był natenczas O. Ambroży Synhajewski, którego curriculum vitae też znane ²⁾: był to szlachcic wołyński, urodził się w 1744 roku, uczył się naprzód w sławnych szkołach Bazylianów we Włodzimierzu; mając lat 15, wstąpił do zakonu, a po ukończeniu tam nauk właściwych swemu powołaniu i otrzymaniu święceń kapłańskich, piastował rozmaite w Zakonie obowiązki i godności, będąc superyorem w różnych klasztorach, a w Berezwezu 9 lat na tem zostawał stanowisku, potem był konsultorem prowincyi lat 8 i w 1801 otrzymał nominację na opata trockiego, ale to opactwo bardzo było chude: do roku 1812 otrzymywał z niego rocznie rs. 50. a potem, po zniszczeniu i zbiednieniu jego miał tylko 19 rs. i kop. 50; O. Ambroży żył jeszcze w 1816, jak to skądinąd wiemy. Prefaktował O. Józef Fischer (piszą go też i Fiszer). W klasie IV uczył O. Samuel Nowakowski, potem przełożony klasztoru w Połocku S. Zofii ³⁾, miał on najlepszych uczniów w tej klasie dwóch: Antoniego Korsaka i Stanisława Nierkulewicza (niewyraźnie).

Klasę III miał pod sobą O. Nikodem Frackiewicz, cenniejsi u niego uczniowie: Dominik Trydeński, Stanisław Deręgowski i Józef Korsak.

W klasie II wykładał O. Hieronim Józiewicz; tam się w naukach odznaczyli: Michał Giedroń, Józef Dłużniewski i Jerzy Raykowski.

Klasy I nauczycielem był O. Izajasz Kollupajło; celowali: Tadeusz Dłużniewski, Józefat Horodeński i Just Spirydowicz. Potem w tej wizycie powiedziano: «Edukacja młodzieży w tych szkołach idąca, nadto jeszcze ćwiczenia uczniów w języku słowiańskim, oraz dobro całe tych szkół, ma się przypisać dozorowi i staraniom X. Prowincyała i Opata Ważyńskiego ⁴⁾, który przy wizytach swoich klasztornych lepiej się uczącym studentom premia zwykłą rozdawać, umiając ich do pilności i gorliwości większej zachęcić.»

Zdaje się, że ten projekt nie przyszedł do skutku; potem już o nim nie znaleźliśmy nigdzie wzmianki.

Tak zw. medale «Diligentiae» przez Stanisława Augusta ustanowione, w 1786 r. w Berezwezu rozdano: Stanisławowi Deręgowskiemu z klasy IV, Dominikowi Żabie z III i Józefowi Swirskiemu z V; klas już było natenczas sześć.

W roku 1787 nauczali tam: prefekt O. Józef Fischer, O. Maksymilian Żydowicz wykładał fizykę, O. Tadeusz Borodziez—matematykę, O. January Bystry był prof. kl.: II, O. Jerzy Żuromski I; uczniów 102, klas 6. Medale Diligentiae: Jan Sienkiewicz z kl.: VI, Józef Dłużniewski z V i Jerzy Raykowski też z V otrzymali.

W maju 1789 zjeżdżał na wizytację szkół berezweckich X. Jan Erdman, kanonik inflancki, wizytator generalny, który potem referował, iż był tam rektorem tenże O. Ambroży Synhajewski, O. Józef Fischer piastował urząd prefekta, a razem uczył prawa, O. Jerzy

¹⁾ Opisanie dokumentów archw. mitop. l. c. t. II № 3103.

²⁾ Szczegóły o nim w cytow. Przed. nauk. litr. za r. 1807, l. c.

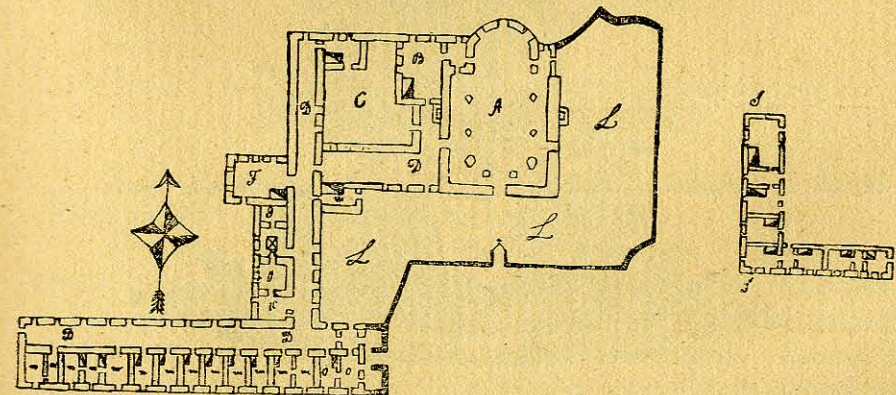
³⁾ Jest tu mowa O. Porfirym Skarbku Ważyńskim, ur. 1730 r., co się kształcił i w kraju i zagranicą, odznaczył się na polu literackim, był rektorem we Włodzimierzu, opatem żydyczynskim, generałem Zakonu, biskupem, r. g., chełmskim, słynął z dodatnich przymiotów, zm. 1804 roku.

⁴⁾ Jest to Justynian Szczytt Niemirowicz h. Jastrzębiec, syn kasztelana inflanckiego urodzony 1740 r. zm. 1824, wybitna w swoim czasie osobistość; z 2 żon liczne zostawił potomstwo.

Krupski—fizyki, O. Pankracy Zaniewicz—matematyki, O. Teofil Borodziez—wymowy, O. Leonty Okołów wykładał w klasie II, a w I—O. Paulin Skolanowski; lekcje języka niemieckiego dawał O. Fischer, francuskiego O. Skolanowski, a po słowiańsku uczył O. Aleksander Żórawski, kaznodzieja szkolny; odznaczał się on wielką erudycją, zostając współpracownikiem Monitora ¹⁾. Uczniów zastał wizytator 10 0, klas 6. W I celowali: Wincenty Szyryn, Józef Bynicki, Franciszek Leśniewski, Gabryel Giedroń, Hieronim Zenowicz i Korsakowie, Antoni, Józef i Jan. W kl.: II — Jerzy Zdrojewski, Szyrynowie, Antoni i Justyn, Wincenty Andrzejewski, Wincenty Sokołowski, Marek Grzybowski, Konstanty Mirski i Tomasz Nowicki. W kl.: III Tadeusz Dłużniewski, Wincenty Witkowski, Jerzy Zenowicz, Wincenty Zarzycki, Hipolit Sokołowski i Józefat Jacyna W kl.: IV—Franciszek Buynicki, Józefat Horodeński, Dominik Zarzycki, W kl.: V—Maciej Miliński, Józef Zarzycki, Jerzy Reykowski. W kl.: IV — Jan Sienkiewicz, Józef Swirski, Tadeusz Paalksnis. Królewskimi medalami obdarzeni: Tadeusz Dłużniewski z III klasy, Józefat, Horodeński z IV, Józef Zarzycki V.

W kl.: I i II «ukazane były formowania charakterów i niektóre ćwiczenia domowe w języku łacińskim; w klasach wyższych czytano różne exercytacje do lekcji różnych stosowane».

Nauki dawane były podług ustaw i podręczników Kom. Eduk. Jeszcze posiadamy szczegóły o tych szkołach z 1797 roku ²⁾. Na czele szkół i klasztoru stał O. Merkury Rymaszewski, lat sobie liczący 46, powołania 32; wikary jego O. Julian Szumski, 48, 29; prefekt O. Wincenty Bielski, 34, 17; w klasie I nauczał O. Mikołaj Gałaszewski, 35, 14, jednocześnie dawał lekcje języka rosyjskiego, miał uczniów w klasie swojej 51; w II—O. Makary Gibiński, 31, 14, uczniów miał 29; w klasie III—O. January Bystry, miał pod sobą



Plan klasztoru i kościoła w Berezwezu.

A — Świątynia; B — zakrystja i razem kaplica zimowa; C — ogródek; D — kurytarze; E — refektarz; F — izba do wydawania; G — kuchnia; H — piekarnia; I — schody a pod nimi zpiżarenka; L — dziedziniec; m — cele klasztorne; O — furta; S — Szkoła z gabinetami fizycznym i matematycznym.

¹⁾ Teodor Wierzbowski, Raporty Wizytatorów, Warszawa 1906, zeszyt 24, p. 85—87; Władysław Smoleński, Żywioły zachowawcze i Komisja Edukacyjna.

²⁾ Kopia współczesna tej wizyty w rękę piszącego.

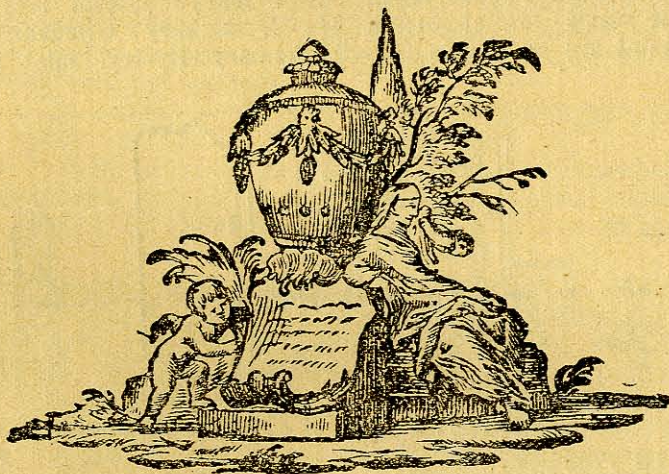
uczających się 25 ¹⁾ O. Jason Giedrojé, 35—19, w IV kl. był profesorem ²⁾, uczniów 20; O. Jerzy Żuromski, 34, 19, w V, uczn. 17; O. Justyn Zdanowicz, 34, 13, też wykładał język niemiecki, w VI, uczniów 7 razem 149. Prefekt dawał lekcje języka francuskiego. Program nauk jeszcze taki, jak za czasów Kom. Ed., z małemi zmianami. Nowicyatu już wtedy nie było w Berezwezu; wszystkich Zakonników 21; przed trzema laty przyłączono tę siedzibę zakonną do archidiecezyi połockiej, w której gospodarował Herakliusz Odrowąż Lisowski h. Jeż. Przed powołaniem go na opata onufrejewskiego, t. j. przed rokiem 1778 jak się zdaje był on superyorem w Berezwezu i według podania, sporządził tam piękny ikonostas w cerkwi i odrestaurował klasztor, który przy końcu XVIII stulecia tak wyglądał: Klasztor murowany o piętrze we dwie zbudowany linie; długość jednej łokci 104; cel tam zakonnych zwyczajnych 16, mieszkanie przełożonego, mieszkanie prowincyałskie, «sala starszeńska» z garderobami i komorami, u furty pokój osobny — parlatorium; druga linia wynosiła łokci 98. ce. 9, refektarz, potem kuchnia, piekarnia, spiżarnia i inne ubikacje; Z drugiej strony klasztoru mieściły się szkoły w osobnym murowanym domu; nadto wystawili Bazylianie jeszcze parę kamienic, gdzie były stancje dla studentów, mieszkających tam pod opieką t. z. dyrektorów. Podobno tych zabudowań już i śladu nie pozostało...

Fuimus Troës; fuit Ilium et ingens, gloria...

Sed fugit interea, fugit irreparabile tempus!

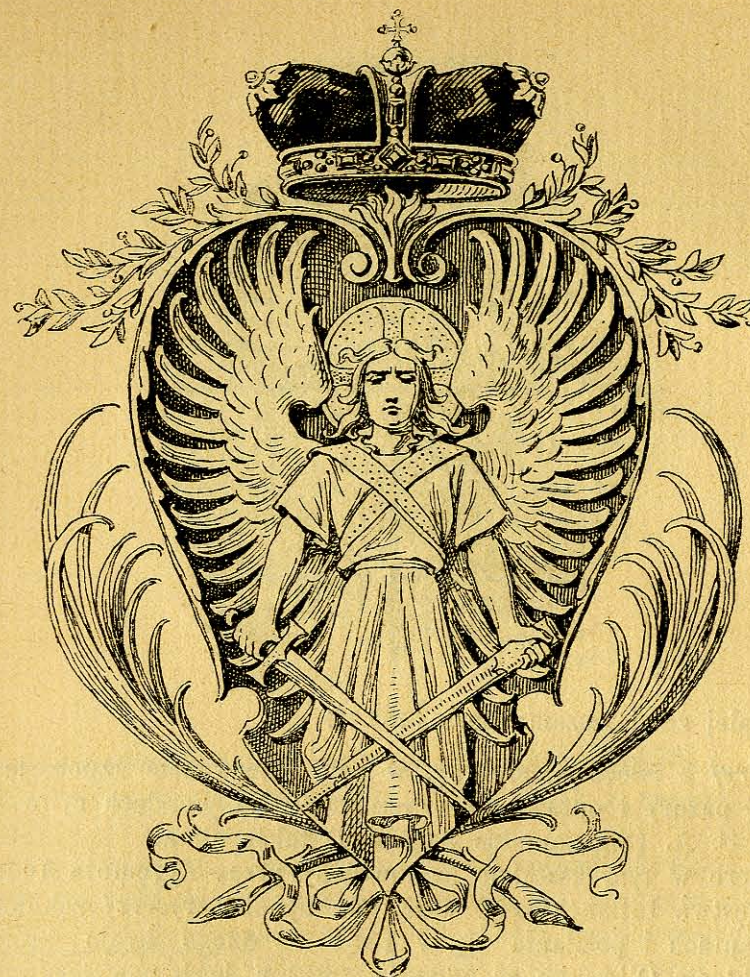
Już o tem i Wirgiliusz wiedział i mówił...

Marek Gozdawa.



¹⁾ O. January Bystry, syn Dominika, szlachcic mazowiecki, ur. 1763; mając lat kilkanaście, wstąpił do Bazylianów; potem się też uczył w Szkole głównej Litewskiej, a stopień akademicki z teologii otrzymał dopiero na początku XIX w.; był profesorem w różnych szkołach bazylikańskich, piastował rozmaite urzędy zakonne i w 1816 r. powołano go na opata do Mielec, na Wołyniu, i na tem stanowisku zastawał do śmierci, podobno przed rokiem 1830. Był też członkiem t. z. kolegium w Peters. II depart., z godnością się tam zawsze zachowując, jak przystało szlachcicowi mazowieckiemu. Cf. Spis klasztorów bazyl. na Wołyniu, Kraków 1905 roku.

²⁾ W parę lat potem opuścił Bazylianów, powracając do obrządku łacińskiego, w którym się urodził.

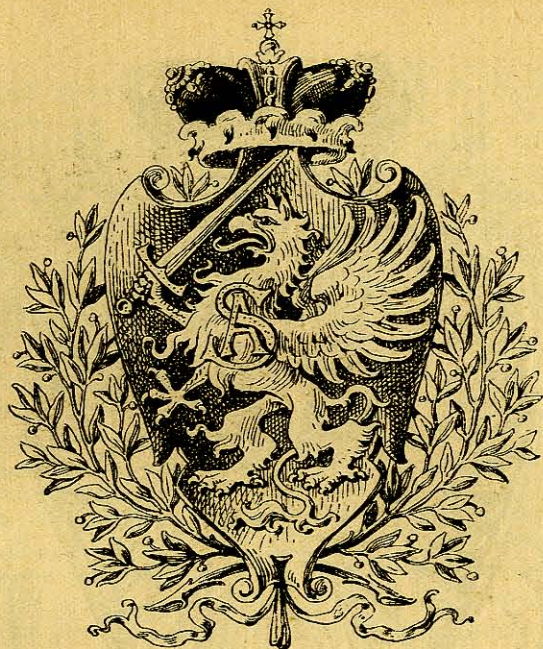


Herbarz litewski.

Obok litewskiej „Pogoni“, którą zamieściliśmy w Nrze I „Kwartalnika“ postawić musimy herb **Rusi**:

Archaniół z mieczem i pochwą od niego, złożenemi na krzyż, srebrny, z nimbem złotym, z taką stulą na ramionach i oprawą miecza i pochwy w polu czerwonym. Herb wielkiego Księstwa Kijowskiego i tegoż miana Województwa. Znany już w XV w. bowiem znajduje się w kronice soboru konstancyjskiego pomiędzy tarczami dostojników i książąt polskich, litewskich i ruskich obecnych na soborze.

W ogóle *Archaniół* jest uważany od wieków za godło Rusi nadnieprzańskiej. Wyraźniej jako S. Michał Archaniół zdołał niegdyś chorągiewie hetmanów wojska zaporozkiego, a i teraz jeszcze S. Michał, bijący smoka, stanowi herb gubernii Kijowskiej.



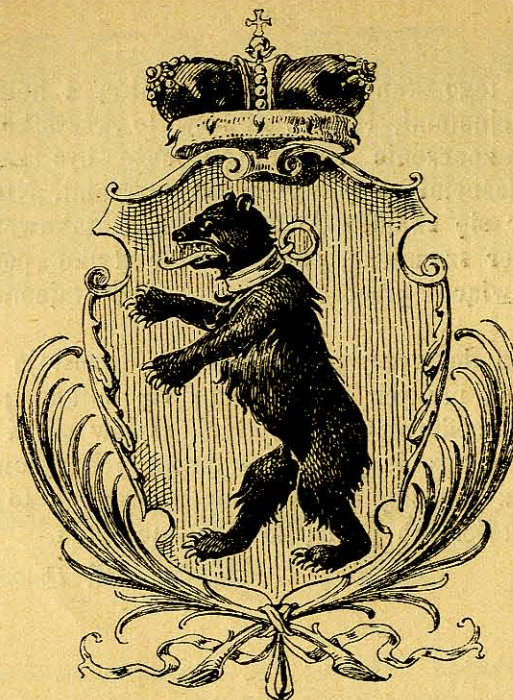
Dalej zamieszczamy herb **Inflant**:

Gryf z mieczem, srebrny, w polu czerwonym. Dziób, język, szpony, pazury i oprawa miecza—złote. Na piersiach cyfra królewska S. A. (Sigismundus Augustus) także złota.

Herb w tym kształcie ustanowiony przez Zygmunta Augusta dla księstwa Inflanckiego, w skutek upadku rycerzy zakonnych w Inflantach i poddania się w 1561 r. onego kraju królowi. Po traktacie Oliwskim ze Szwecją 1660 r. herb powyższy zachowało województwo Inflanckie, alias księstwo, złożone z pozostałych przy koronie i wielkim księstwie Litewskim trzech tak zwan. traktów t. j. powiatów: Dynaburskiego, Rzeżyckiego i Łucyńskiego obecnie należących do gubernii Witebskiej.

Terazniejsza gubernja Liflandzka, obejmująca tak zw. dawniej Inflanty szweckie, zdobyte dla Rosyi przez Piotra Wielkiego, nosi dotąd podobnego gryfa, z cyfrą cesarską Piotra na piersiach, zamiast królewskiej S. A.

Znakomita rodzina Litewska Chodkiewiczów, herbu „Kosciesza” w 2-giem polu swej tarczy mieści takiegoż zupełnie gryfa, z wyjątkiem cyfry. Jan Chodkiewicz, ojciec Jana Karola, wielkiego hetmana, kast. Wileński, starosta Żmudzki, hrabia na Szklowie, miał powierzone sobie sprawy Inflanckie i namiestnictwo w nowo pozyskanej prowincyi. Jest domysł, że herb Inflant pochodzi od owego Chodkiewicza, któremu król Zygmunt August miałby w ten sposób okazać uznanie za organizacyjną i pojednawczą w duchu Jagiellońskim działalność w trapiącym wojną i niesnaskami kraju.



Jako ostatni w tym N-rze dajemy herb **Żmudzi**:

Niedźwiedź wspięty, czarny, zęby, język i pazury, jakoteż obroża srebrne w polu czerwonym.

Herb księstwa Żmudzkiego już od czasów Witolda, bowiem na wielkiej pieczęci litewskiej tego księcia, w tarczy na cztery dzielonej widzimy: w pierwszym polu—krzyż równoramienny przez całą szerokość i długość pola; w drugim — pagon litewską; w trzecim—rycerza pieszo z oszczepem; w czwartym zaś — niedźwiedzia, tylko że w onczas był on nie „wspięty” lecz „idący” i bez obroży. Kształt zaś obecny ustalił się za Jagiellonów.

* * *

W obec zamierzonego w naszym piśmie szeregu herbów, mających związek z historią Litwy, śmiemy załączyć niektóre uwagi dotyczące się ornamentyki heraldycznej.

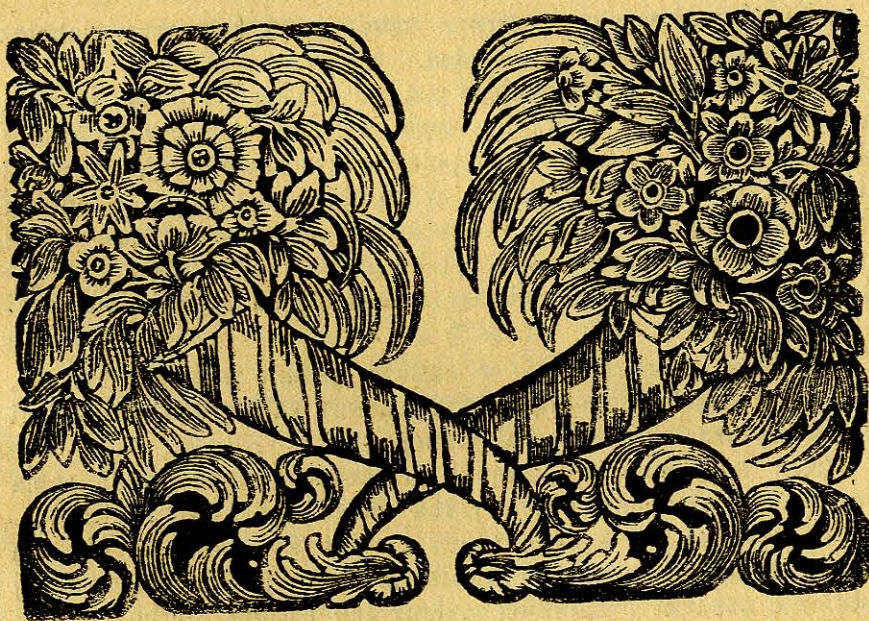
Otóż herb właściwy stanowi przedewszystkiem: przedmiot na tarczy, ściśle określony i kolory tak onego, jak i pola.

Różnorodne zaś kształty tarczy i wszystko, co około niej się spotyka, będąc jedynie tylko wynikiem stylu, panującego w danej epoce, nie oznacza bynajmniej zmiany lub różnicy herbu. Z tąd też owe palmy, gałęzie laurowe, chorągwie, wstęgi i t. p. są tylko, albo właściwą pewnemu stylowi ornamentacją, lub też stylizowanymi symbolami przymiotów, zasług, godności, rozmaitych krajów, miast czy też osób; nie zaś jakowąś niezbędną częścią, ani też specjalną ozdobą ich herbów.

Wyjątek z tego stanowią: korony, mitry i hełmy z szyszkami, t. zw. klejnotami, tudzież dewizy; to wszystko, jako mające ściśle ustalone znaczenie i kształty, może być zamieszczanem jedynie nad odnośnemi sobie herbowemi tarczami. Nie jest jednak koniecznem, aby się znajdowało zawsze nad takowemi; bowiem są to, choć nader szanowne, lecz zawsze tylko późniejsze dodatki, nie stanowiące prastarej i najczęściej tajemniczej treści godła.

W stosunku do wyżej powiedzianego pozostaje nam dodać, iż w ornamentach naszych trzymaliśmy się dotąd, przy nieuniknionej z resztą modernizacji niejakej, stylów od XVI do XVIII wieku. Zastrzegamy sobie jednak w przyszłych rysunkach korzystać niekiedy i z bardziej blizkich nas wzorów, a to w miarę ich artystycznej wartości lub pamiątkowego znaczenia.

T. Dmochowski.



Niektóre wierzenia, przesady i zabobony ludu naszego, legendy i podania.

Lud zarówno białoruski jak litewski, zamieszkujący dzielnice nadniemeńskie, od tak niedawna jeszcze został wyprowadzony na drogi samoistnego rozwoju, że nie zdołał dotychczas prawie zorjentować się w tych nowych dla siebie warunkach, ani nawet kroku postąpić naprzód, a całą swą istotą trwa on w dalszym ciągu w przeszłości, w swej kulturze pierwotnej, przechowywanej i strzeżonej starannie w ciągu całego szeregu stuleci w skarbnicach jego ducha. Więc staje ów lud przed nami dziś jeszcze, niby wspomnienie odległej przeszłości, w z mumifikowanych, dawno przeżytych, a nawet zamarłych kształtach, jako ciekawy niezmiernie obiekt dla badań, jako żywa kronika, którą tylko odczytać i zrozumieć należy, a da wierny obraz minionego życia, odbicie dawno przebrzmiałych pojęć, wierzeń dziecińczych i zapomnianych obyczajów.

Wszystko składało się niejako na to, ażeby lud nasz zaskorupiał w konserwatyzmie, stał się niby ową skałą wśród potoku stojącą, którą fale omijają, niezdolne jej skruszyć ani porwać z sobą. Ustrój społeczny w dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, oparty na uprzywilejowaniu tylko jednej klasy narodu, pomógł — że się tak wyrażę — do wyrzucenia tej przeważnej części ludności poza nawias życia publicznego. To wydało znane owoce. Lud pozostawiony sam sobie, nie mogąc korzystać z dobrodziejstw oświaty, ani rozwinąć ku lepszemu warunków ekonomicznych, w jakich pozostawał, równomiernie z klasami uprzywilejowanymi, odstał od życia Rzpltej, od wszelkich jej spraw i zasklepił się w ciasnych granicach swego bytowania, wyodrębniając się coraz bardziej od ogólnego tła, charakteryzującego ludność państwa. Nadto, nie

mogąc brać udział w życiu politycznem Rzeczypospolitej, pozostał obcym wszelkim przemianom, jakim ona podlegała, obojętnym, zarówno na klęski, zwłaszcza jeżeli te bezpośrednio go nie dotknęły, jako i na dobrodziejstwa, mające nań spłynąć z góry, których on jednak nie mógł się doczekać.*) To wszystko, wyrobiło ostatecznie w ludzie pewne specyficzne cechy charakteru, jak: skrytość, podejrzliwość względem każdego, upór, i zrodziło ten niesłychany konserwatyzm, jakim on dotychczas oddycha i żyje. Nadto, zostając stale w tych warunkach, nauczył się lud rachować tylko na swoje siły, no, i na wpółdziałanie sił wyższych, we wpływ których na wszystkie sprawy ludzkie wierzy on bez zastrzeżeń.

*) Przyp. Red. Szanując bezwarunkowo poglądy naszych współpracowników, nawet wtedy, gdy nie odpowiadają naszym zapatrywaniom, drukujemy powyższy artykuł bez najmniejszych zmian lub skrótów, jednocześnie zaś nie możemy pozbawić siebie prawa zaznaczenia swego votum separatim w niniejszym przypisku.

Z początkowych ustępów powyższego artykułu wynikać się zdaje, jakoby autor ciemnotę ludu naszego, zabobonność jego i konserwatyzm przypisuje wyłącznie «ustrojowi społecznemu dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, opartego na uprzywilejowaniu tylko jednej klasy narodu». Zgadzać się z tem po części, śmiemy zapewnić, że do końca niemal XVIII wieku podobny ustroj panował we wszystkich państwach kulturalnych, wszędzie znaczna większość ludności znajdowała się «poza nawiasem życia publicznego», z tą różnicą, że u nas właśnie liczniejsza stosunkowo niż gdzieindziej warstwa brała udział w życiu politycznem.

Uspołecznienie klas niższych, demokratyzacja, oświata ludu—są to zasługi wieku XIX. Jeżeli my pod tym względem pozostaliśmy daleko poza społeczeństwami zachodnimi—zaiste odpowiedzialność nie spada na ustroj dawnej Rzeczypospolitej, której sądzono było skonać w chwili, gdy na zachodzie rozbrzmiewały pierwsze hasła równości i swobody i która jeszcze w chwilach agonii potrafiła zdobyć się na tak wspaniały akt braterstwa i miłości jakim była konstytucja 3 maja.

Jeżeli z drugiej strony porównamy chłopą naszego z chłopem z centralnych gubernji państwa, przyznać musimy, że pierwszy znacznie przewyższa tamtego zarówno pod względem umysłowym jak i dobrobytu materialnego, mimo że pod jednym żyją prawem i nawet ludność gubernji środkowych stale cieszy się większymi faworami rządu niż ludność dzielnic kresowych. Czemu więc przypisać należy taką różnicę jeżeli nie wpływom kulturalnym naszych warstw obywatelskich, które, wychowane na «szlacheckich» tradycjach dawnej Rzeczypospolitej spełniały jak mogły swą misję oświatową względem młodszej braci, mimo wszelkich przeszkód, często z narażeniem życia i mienia.

Nie zaprzeczamy, że w przeszłości naszej ciężkie bywały błędy. Mocny Boże! tyle razy nam to twierdzono, tyle razy sami to powtarzaliśmy, bijąc się w piersi, że w końcu przywykliśmy wszystko, cokolwiek złego jest na świecie, przypisywać własnemu winom; ztąd wytworzyła się u nas manja samobiczownictwa, które ponizając nas, jedynie szkodę samopoczuciu narodowemu przynosi.

W końcu pragniemy jeszcze zaznaczyć, że konserwatyzmu i nawet zabobonności nie zawsze identyfikować można z ciemnotą. Zachowawczość jest cechą specjalną ludności wiejskiej, wiadomem jest, że chłop francuski lub niemiecki pod względem konserwatyzmu nie ustępuje junkrom pomorskim. Co się zaś tyczy zabobonów, to są one również może rozpowszechnione wśród ludu litewskiego, jak np. w południowych Niemczech, we Francji, w Hiszpanji, zwłaszcza zaś we Włoszech, że pominiemy wszelkiego rodzaju kręcenie stoliczków i spodków praktykowane w warstwach najwyższych.

Nie mam zresztą zamiaru kreślić ogólnej charakterystyki ludu naszego, jakkolwiek przedstawia on bogaty materiał do studjów, zarówno dla etnografa jak i dla badacza naszej przeszłości.

Chciałbym tylko w tym pobieżnym szkicu zwrócić uwagę na te objawy czynności jego władz umysłowych, które możnaby nazwać spekulacjami filozoficznymi, rezultatami myślenia nad zagadnieniami życia, usiłowaniami dochodzenia przyczyn wszystkiego, co się spotyka w życiu.

Pojęcia te, ogromnie jeszcze pierwotne, rzec można niemal dziecinne, mające swoją analogję chyba w pojęciach ludów stojących na najniższych szczeblach rozwoju, tak jeszcze niepodzielnie panują w duszy ludu naszego, że stanowią cechę ogólną prawie. Wśród przesądów, zabobonów, wiary w gusła, czary, przeznaczenia etc. niema miejsca dla myślenia logicznego. To też i lud nasz, podlega przedewszystkiem powszechnemu u umysłów ciemnych popędowi, szukania przyczyn wszystkiego co się dzieje na świecie, co spotyka ludzi w najbliższym czasie i otoczeniu, w objawach nie mających nieraz najmniejszego związku z tem, co się zdarzyło, przypisując im, pomimo to, znaczenie decydujące w sprawach ludzkich. Wiara w tajemnicze wpływy sił nadprzyrodzonych jest tu jeszcze tak silną, że przygłusza często sobą pojęcia wypływające z głębokiej religijności, a nawet nieraz staje w sprzeczności zupełnej z tą silnie zakorzenioną wiarą, że „bez woli Boga i włos z głowy spaść nie może“. W zabobonności swojej i przesadach lud dochodzi nieraz wprost do absurdów, wyszukując coraz to nowych przyczyn swoich niepowodzeń, starając się zaasekurować od niepomyślności w walkach ze swą dolą, przez unikanie czynności szkodzących w jego mniemaniu, lub przez inne jakie postępowanie, byle owej doli nie obrazić, nie zwrócić przeciw sobie, lecz zjednać ją.

Następujący fakt jest wyborną ilustracją do charakterystyki zabobonności ludu. Do kościoła w Koleśnikach, w pow. Lidzkim, przynosi pewnego razu gospodarz ze wsi poblizkiej dwa kawały cielęciny: surowej i gotowanej i kładzie na ołtarz. Zaciekawiony niezwykłością ofiary proboszcz miejscowy ks. Rudzis, pyta owego gospodarza, w jakim celu to czyni? „A to proszę ojcieńku, w roku zaprzeszłym przyniosłem na ofiarę cielęciny surowej, ażeby mi się cielęta hodowały, lecz nic nie pomogło, bo wszystkie potraciły się; w roku przeszłym dałem cielęciny gotowanej i tak samo nie było dobrego skutku. W tym więc roku próbuję dać i surowej i gotowanej, może będzie pomocniejsze“.

Nie jest to przykład odosobniony. Niestety, takie skoszlawione wierzenia stanowią tu główny podkład etyki ludu i nie tylko nie ustępują pod wpływem światła usiłujących rozświetlić

mroki zalegające jego umysł, ani się nie tracą po drogach rozwoju, lecz przeciwnie, wzrastają w liczbę, bo dziwacznych „spostrzeżeń“ wciąż przybywa, bogacąc materiał folklorystyczny, a zubażając pojęcie ludu, utrzymując go na poziomie umysłowym średniowiecza. Zwłaszcza wiara w moc „zadawania uroków“, w czarownice, żyjące tylko poto, ażeby ludziom szkodę przynosić — jest tak silną, że w walce z tem urojonem niebezpieczeństwem lud jest zdolny do wszelkich najdzikszych ekscesów, i gdyby nie bojaźń sądu, rozprawiał by się z mniemanymi szkodnikami w sposób najokrutniejszy.

Z różnego rodzaju powściągów, ograniczeń, zastrzeżeń etc. lud stworzył cały kodeks postępowania, będący dla niego w życiu tak niezbędnym, jak czerpana z religii wiara w życie przyszłe. Mając tu jako podstawę, tradycyjnie przechowywane przesady, dopełnia on swój kodeks coraz to nowymi paragrafami, ze spostrzeżeń czynionych nad objawami zmieniających się ustawicznie warunków życia. Więc w zbiorze takich przesądów, guseł i zabobonów, łączno dają się odróżnić rzeczy tradycyjnie przeszłe z pokolenia w pokolenie, od nowych naleciałości. Pierwsze odznaczają się treścią mającą podstawę w wierzeniach starożytnych, w obrządkach niegdyś zachowywanych lub nawet w kulcie pogańskim; drugie już noszą niewątpliwe cechy wpływu chrześcijaństwa. Tak np. istnieje zwyczaj, zachowywany przy sprzedaży zboża, że gospodarz odsypuje trzykrotnie po garści zboża do opróżnionego zasieka, „ażeby zboże z nasienia się nie sprowadziło“. Jest to bezwątpienia echo powszechnego za czasów pogańskich zwyczaju odlewania trzykrotnego napoju na cześć bogów. Do tej samej kategorii należy też odnieść zwyczaj gaszenia pożaru wzniesionego przez piorun, mlekiem krowy białej, lub zapalanie stosów drzew ogniem wzniesionym przez tarcie, dla przekroczenia zarazy. Również wiara w „Nocnice“ odbierające sen niemowlętom, dające się odstrząść przez wrzucenie rzeczy ostrych do garnka postawionego pod kołyską — sięga bezsprzecznie doby pogańskiej, kiedy to duchy dobre i złe zapełniały świat cały, wpływając bezpośrednio na losy ludzi. A znów wiara w czarownice, zdolne czynić różne szkody ludziom, rzucać uroki, zwłaszcza w dzień św. Jana czyli pogańskiej Kupały, taką tchną pleśnią wieków, jakby dopiero co z głębin przeszłości wydobyte.

Ten sui generis kodeks, kierujący postępowaniem ludu naszego, rozciąga swoje prawidła na wszelkie przejawy życia, zarówno rodzinnego jak towarzyskiego, ucząc postępowania i zachowania się we wszelkich możliwych wypadkach, unikania niepowodzeń w gospodarstwie, zapewnienia sobie pomyślności w życiu i t. p. Wszystkie przeto paragrafy owego kodeksu, dają się

ugrupować w działy, obejmujące główniejsze epoki z życia naszego włościanina, od urodzenia, do śmierci.

W takich działach, przedstawiam ten zbiorek przesądów, wierzeń, guseł i zabobonów. Jest on niejako dopełnieniem zbioru, drukowanego w „Wiśle“ (t. XVII), obejmującego 432 numerów. Przytem muszę nadmienić, że oba te zbiory, są zaledwie nieznaczną częścią ogólnej liczby najprzeróżniejszych przesądów, grasujących jeszcze powszechnie prawie wśród ludu. Z czasem, gdy promienie światła wiedzy przenikną ciemnie tych umysłów pierwotnych, zginą i owe widziadła dawno minionej i zapomnianej przeszłości, jak giną opary nocne pod działaniem wschodzącego słońca. Tymczasem, obowiązkiem naszym jest zbierać te plody ducha ludu jako cenny materiał dla przyszłych etnologów.

Inny rodzaj wytwórczości ludowej przejawia się w przechowywanych tradycyjnie podaniach i legendach. Tu wychodzi na scenę dużo pierwiastków szczerzej fantazyji, ubierającej niewyszukaną pomysłowość w szaty cudowności, tak łatwo dostrzeganej przez umysły pierwotne, w najzwyczajniejszych nawet przejawach życia. Co się tyczy treści owych wytworów wyobraźni ludowej, to można je podzielić na oparte na jakichś niejasnych lub wykształwionych wspomnieniach z przeszłości, oraz na plody czystej fantazyji.

Wogóle jednak można rzec, że lud nasz, zwłaszcza Białorusini, mało jest wrażliwym na piękno, to też i nie umie go odczuć w swej duszy. O Litwinach tego powiedzieć nie można. Wytworzyli oni tyle przepięknych legend, że zdałyby się jako podkład do najśliczniejszych poematów. Dość wspomnieć jedną legendę o Juracie, tę cenną perłę fantazyji poetyckiej, ażeby się utwierdzić w tem przekonaniu.

Jeszcze fantastyczniejszym, chociaż może nie posiadającym takiego polotu poetycznego utworem ludowym, jest przytoczona poniżej legenda o Janku bohaterze. Temat tej legendy najprawdopodobniej jest odbiciem odległych wydarzeń, jakichś walk toczonych przez Litwinów z nacierającymi na nich wrogami, odbiciem które przełamane kilkakrotnie w pryzmach czasu i ozdobione pierwiastkiem cudowności, wyolbrzymiały w kształty nieprawdopodobne, nabrały cech istnej bajki z tysiąca i jednej nocy.

Inna legenda o węźu kamiennym jest zatartem w tradycji ludu wspomnieniem czasów wprowadzania chrześcijaństwa na Litwie, które wywoływało niejednokrotnie reakcyjne dążności, przywiązane do wierzeń dawnych ludu.

Ciekawe też podanie lud przywiązuje do niektórych kamieni stojących, w rodzaju menhirów uznając je za skamieniałe postacie narzeczonych lub małżonków, przeklętych w złą chwilę, przez

zagniewanych rodziców. Może być, że jest to wspomnienie jakiegoś zwyczaju zachowywanego w odległej przeszłości, może obrządku zaślubin dokonywanych przed takim kamieniem. Na ten domysł naprowadza ta okoliczność, że w niektórych okolicach Niemiec lud dotychczas nazywa kamienie megalityczne: „narzeczony“, „pan młody“, „kamienie ślubne“ „Brutkoppeln“, „Briddehoog“, utrzymując, że przy nich odbywały się niegdyś zaślubiny. Jest wielce prawdopodobnem przeto, że za tło temu fantastycznemu podaniu służyła tradycja o istniejącym niegdyś owym obrządku.

Poza tem, można rzec, iż lud nasz żadnych faktów, nawet najwybitniejszych, z dziejów kraju swego wcale nie zachował w pamięci. Widocznie nie interesowały go żadne, choćby najgwałtowniejsze przewroty, a burze, tak często wstrząsające naszą ojczyznę, przechodziły dla niego „stronami“, nie pozostawiając w pamięci głębszych śladów. Jedyne co można z mętów bezładnych opowiadań wyłowić, to jakieś niejasne wspomnienia o królowej Bonie, o Szwedach, Tatarach, carowej Katarzynie i Francuzach. Królowej Bonie przypisują zwykle wszelkie ruiny starożytnych zamków, a nawet w ogóle budowli większych murowanych. Szwedzkiemi okopami zowią się starożytne grodziska, cmentarze zaś przedhistoryczne zawsze są „tatarskimi“. Pewien włościanin, chcąc mi zepewne zaimponować swoją erudycją, opowiadał o pewnem cmentarzysku w okolicy Zabłocia w pow. Lidzkim, że powstało ono po bitwie królowej Bony z Katarzyną.

Z tego widać, że włościanin nasz w ogóle mało się interesował tem wszystkiem, co się w około niego działo. Widział on jedno, że dola jego, w takich lub innych warunkach, będzie jednakowo ciężką zawsze, więc zasklepił się w ciasnym kole swego nędznego bytu, nie odważając się nawet wzrokiem sięgnąć w dalsze horyzonty. To się odbiło na jego podaniach. Akeji dalej od jego środowiska rozegrywających się, nie umiał on nietylko powiązać w logiczną całość, lecz nawet nie zapisał ich w swojej pamięci. Jedyne jakieś niewyraźne echa wydarzeń, snują się w głuszy wspomnień ludu, wytwarzając istny chaos w pojęciach.

Natomiast na kanwie wydarzeń z jego szarych jednostajnie dni życia, z ciasnego obrębu spraw codziennych, umie on tkać wzorzyste nieraz obrazy, pełne fantazji w najprostszym wprowadzie gatunku, lecz niemniej bujnej.

* * *

Winienem tu poświęcić choć krótkie wspomnienia tym, którzy mi w zebraniu tych legend, jak również przesądów, wierzeń i zabobonów niżej podanych pomogli. I tak, legendy 4-tą, 8-mą, 9-tą i 13-tą znalazłem w papierach po nieboszczyku Władysławie

Abakanowiczu, o którym wzmiankę umieściłem był w t. XVII „Wisły“, podając wiązkę materiału folklorystycznego. Pochodził on ze szlachty szaraczkowej pow. Trockiego. Żył więc z ludem blisko, a że interesowało go wszystko, co było wyrazem pojęć, etyki i tradycyjnych wierzeń tego ludu, więc notował skrzętnie co usłyszał, chaotycznie może, lecz wiernie odtwarzając obraz umysłowości prostaczey. W ten sposób zgromadził cenny materiał, którego część znaczną zużytkowałem.

N-ra 5, 6, 7 i 11 legend, a także wiele z podanych niżej wierzeń i przesądów ludowych, podyktowała mi przedwcześnie zgasła moja córka Wanda Narbuttowa, zamilowana w folklorze. Pamięć miała wyborną, więc odkładała spisanie, aż śmierć przecinając młode życie przeszkodziła dobrym zamiarom...

Resztę spisywałem z opowiadań przygodnych od księdza Suzidela, p. Orlickiego, Szymona Kałana ze wsi Prawdy gm. Koniawskiej i Urbanowiczowej ze wsi Majaków gm. Raduńskiej pow. Lidzkiego.

Podania, legendy i opowieści cudowne.

1. Dzwon w ołtarzu.

W m. powiatowem Lidzie, w farze, w ołtarzu lewej nawy, znajduje się obraz N. P. Marji cudami słynący. Podanie mówi, że gdy kraj lub miasto mają nawiedzić kleski, w tym obrazie daje się przedtem słyszeć dźwięk, jakby dzwonu. Opowiadają, że słyszano dzwonienie przed pożarami Lidy w piątym dziesiątku XIX-go w. i w r. 1891, a także przed rokiem 1863.

2. P. Bóg karmi wilki.

Za pewnym człowiekiem, pędziły się wilki i już, już miały go dopaść i rozszarpać, gdy nagle przed nimi spadło coś szarego, jakby kawał chmury z nieba. Wilki rzuciły się na to i pożarły z chciwością a następnie poszły sobie spokojnie w strone.

Człowiek ów, który był się schronił przed pogonią na drzewo i widział co się stało, po odejściu wilków zszedł i począł pilnie szukać, azali nie znajdzie choć kawałeczka tej masy niebieskiej. Rzeczywiście, znalazł kawałek wielkości grochu, więc przez ciekawość wziął go do ust i wnet poczuł taki smak i taką sytość, że przez trzy dni nic już jeść nie mógł.

To Pan Bóg w taki sposób karmi wilki, bo są to bestje tak zarłoczne, że niepodobna byłoby od nich uchować żadnego stworzenia, gdyby nie ta pomoc z nieba.

3. Dusza w postaci robaka.

Na łakach przy jeziorze Pielasie (gmina Koniawska, powiat Lidzki) nieopodal istniejącego tu pilkarnia ze śladami jakiejś starożytnej budowli, według Narbutta — zamku Witoldowego — kosiło dwóch gospodarzy, z sąsiedniej gminy Zabłockiej. Znużeni skwarem dnia, legli obaj w cieniu zarośli i jeden z nich zaraz usnął. Drugi, któremu sen nie kleił powiek, patrzy, aż u śpiącego towarzysza ukazuje się jakby jakaś piana z ust, a następnie wypelza robak duży, stoczył się na ziemię i pełzie po trawie. Zaciekawiony co z tego będzie, człowiek ów postępuje za robakiem i widzi jak ten dopelził do stojącej opodal olbrzymiej sosny, i przez otwór wygniliły u jej spodu wsunął się do środka. Po chwili znów się ukazał i tą samą drogą powrócił do ust uspiętego.

Była to jego dusza. Lud wierzy, że w czasie snu dusza ludzka opuszcza ciało i zwiedza różne miejscowości, o których uspiętemu się śni. Po obudzeniu się kosiarz powiada do swego towarzysza: «Gdybyś wiedział jaki dziwny sen miałem! Śniło mi się, że wlażem gdzieś do ogromnej sosny, przez bardzo mały otwór. Ciasno mi tam było, ale na spodzie pod korzeniami widziałem garnek pełen złota». Wówczas towarzysz jego opowiedział co widział. Poszli więc obaj do owej sosny, a wyrabawszy otwór, rzeczywiście znaleźli cały garnek pełny złotych starych monet. Podzielili się sumiennie tym skarbem i stali się najbogatszymi gospodarzami w okolicy.

4. Kara za nieuświęcenie niedzieli.

Gdzie dziś przelewają się fale wód jeziora Korwie (w pow. Wileńskim) tam przed laty stała ludna i zamożna wioska, którą Bóg pokarał zatopieniem, za grzechy jej mieszkańców. Jakie to były grzechy — opowieść o tem nie wspomina, wiadomo tylko, że katastrofa stała się dla błażej na pozór przyczyny. Widocznie przepełniony już był kielich cierpliwości nieba i lada kropla spowodowała wylanie się sprawiedliwego gniewu.

Rzecz się tak miała.

W jednej z chat w środku wioski stojących, w izbie pod ławą wyrastała osobliwsza «trzcina odrostka», która w żaden sposób wypełnić się nie dawała. Pewnej niedzieli, w czasie sumy, córka gospodarza tej chaty zamiatała izbę, a chcąc choć raz oczyścić chatę od niepotrzebnej ozdoby, chwyciła za trzcinę obiema rękami i zakławszy zaczęła ciągnąć z całej siły. Przekleństwo wprawdzie poskutkowało, bo trzcina została wyrwana z korzeniem, lecz z tego miejsca buchnął tak silny strumień wody, że w kilka pacierzy nietylko ta chata, lecz cała wioska została zalana. Wszystko co żyło wówczas w wiosce zginęło, za wyjątkiem tych jej mieszkańców, którzy udali się byli do kościoła na nabożeństwo. Tylko jednej krowie udało się jakoś wypłynąć z toni. Ukazała się przez chwilę na powierzchni, zaryczała i znów pograżyła się w głębie. Ona to dała nowopowstałemu jezioru nazwę Korwie (krowa) przeinaczoną później na Korwie.

5. Koń upiór.

U pewnego gospodarza zdechł koń. Zdjął z niego skórę, a że to było koło Gromnic, kiedy to wilki stadami chodzą, wyciągnął go na przynętę za stodołę, a sam w nocy siadł ze strzelbą pod ścianą i czeka. Ponieważ księżyc dość jasno przyświecał, po jakimś czasie, może około północy, ujrzał ów gospodarz, że coś około trupa konskiego się porusza. Sądząc, że to wilki podeszły, przypatruje się uważniej i widzi że to ów koń podnosi głowę, dźwiga się zwolna, sunie po ziemi, powstaje i kłapiąc zębami zmierza wprost w tym kierunku, gdzie on był ukryty. Zrazu zdumiał się nie wierząc swoim oczom, lecz widząc, że koń widocznie ma złe względem niego zamiary, zaczął umykać co sił ku domowi. Koń za nim, kłapiąc ustawicznie zębami. Gospodarz wpadł do sieni, i po drabinie na strych, wciągając drabinę za sobą. Koń za nim: stanął pod ścianą i kłapie zębami i parska, ale wdrapać się na strych nie może. Dopiero gospodarzowi duch odszedł. Przypomniawszy sobie modlitwy, więc zaczął je co rychlej odmawiać, żegnając raz po raz konia. Wtem i kur zapiał. Nim głos przebrzmiał, koń ryknął strasznym głosem: «Szczęście twoje!» i padł martwy. Koń już drugi raz nie powstał, ale gospodarz ze strachu długo potem chorował.

6. Mąż odwiedza swą żonę po śmierci.

Pewna kobieta, straciwszy męża ukochanego, w taką wpadła rozpacz, że przez długi czas nie mogła znaleźć ukojenia. Ustawicznie płakała i przyzywała nieboszczyka, pragnąc choć we śnie ujrzeć go raz jeszcze.

Pewnego razu, około północy, zawodząc z żalu nieutulonego i kołysząc dziecko, spojrzy — aż mąż jej stoi przed nią! Zrazu rozradowała się jej serce, że już chciała rzucić się mu w objęcia, lecz wyraz twarzy męża był taki jakiś smutny i straszny zarazem, że onieśmielona, przelekła, nie zdając sobie sprawy z tego co robi, zostawia dziecko w kołysce i ucieka na piec, mówiąc w głos pacierze jakie tylko na myśl jej przychodziły. Z pieca odważyła się dopiero spojrzeć i widzi, że mąż siedzi na jej łóżku i kołysze dziecko. Tak mówiąc pacierze i drżąc ze strachu cała, doczekała świtu i wówczas dopiero odważyła się spojrzeć na chatę poraz wtóry. W chacie nie było już nikogo, tylko w tem miejscu, gdzie mąż siedział, widniała czarna, wypalona plama, a zamiast dziecka, w kołysce osmalony karcz.

7. Słup kosmaty.

Pewien gospodarz udał się do miasta odległego o mil kilka i miał powrócić późno. W domu pozostała tylko żona z małym dzieckiem. Około północy, słyszy ona dobijanie się do drzwi i znany jej dobrze głos męża: «Maryla, atczyni!» (Marylo otwórz). Nie podejrzewając żadnego podejścia, odmyka, aż tu do izby wtacza się twór dziwny, bez rąk i bez nóg, niby słup, wysoki pod sufit, cały kosmaty i tylko przy wierzchu ma coś niby głowę, a dwoje oczu jak węgle świeca. Zlekła się okropnie kobieta, uciekła kędy stała kołyska z dzieckiem, a porwawszy je na ręce, jęła zasłaniać się niem przed straszylem. To

ją uratowało, bo wiadomo, że do niewinnych istot złe przystępu nie ma. Kilka razy wprawdzie krzyknął: «Kiń dzicia!» (rzuć dziecię!), ale na tem się i skończyło: kobieta nie usłuchała, a gdy kur zapiał, widmo znikło.

8. Złota socha.

We dworze, w Mejszagole, położonym o 4 mile od Wilna, przy trakcie Wilkomierskim, w ogrodzie, znajduje się góra sypana (pilkalnis), którą lud zowie «Olgiardową». Podanie głosi, że przed 80 mniej-więcej laty, jakiś poszukiwacz skarbów rozkopał tę górę w części i znalazł sochę, o wiele mniejszą od zwyczajnej, zrobioną ze szczerzego złota. Zaciekawiony znalazca rozpytywał najstarszych mieszkańców okolicy, czy nie jest im wiadomo, co by ta socha znaczyć miała? Rzeczywiście, znalazł się między nimi staruszek, mający sto lat z górą, który opowiedział, że słyszał o tem od swego dziada, również stuletniego starca. A rzecz się tak miała:

Kiedy powietrze morowe grasowało na Litwie, lecz jeszcze do Mejszagoly nie doszło, mieszkańcy tej wsi, jak również wielu pobliskich wiosek, w celu niedopuszczenia zarazy, idąc za radą pewnego bardzo mądrego starca, złożyli się między sobą i kazali ulać złotą sochę. Do tej sochy zaprzężono parę wołów, bliźniat, a człowiek z bliźniat oborał nią jedną bruzdą pola wszystkich wiosek należących do składki. Gdy zaraza ustała, złożono sochę w miejscu skąd zaczęto orać, i usypiano nad nią rękami i czem kto mógł górę.

9. Skarb zaklęty w zamku Trockim.

Przed wielu laty, żył był w Trokach słynny złodziej nazwiskiem Czerepowicz. Był on istną plagą spokojnych mieszczan i okolicznych gospodarzy, bowiem tak się zręcznie zawsze urządzał, że nigdy na gorącym uczynku złapać się nie dał. A chociaż czasem na zasadzie jawnych poszlak przyzywano go do sądu, to zawsze umiał sianem się wykręcić i uniknąć zasłużonej kary.

Zniecierpliwieni tem niepowodzeniem Troczanie, gdy nie mogli jawnie za swoje krzywdy sprawiedliwości otrzymać, postanowili sami złemu zaradzić. Pewnej przeto nocy, zebrawszy się duża gromada, otoczyli dom Czerepowicza, pochwycili go z łóżka i związanego jak barana zawieźli do zamku na wyspie. Tam go rzucili do lochu, którego tajemnicze czeluście czarnym otworem widniały jeszcze wówczas wśród ruin zamku Kiejstuta. — Gdy to spełnili, zarzucili otwór kamieniami i gruzami, zacierając tym sposobem wszelki ślad swojej zbrodni.

Lecz nad Czerepowiczem czuwała widocznie Opatrzność i ustrzegła go od złamania karku, a następnie i od śmierci głodowej w owym strasznym grobie, dając tym sposobem czas do powstania z grzechów.

Gdy przyszedł do przytomności po doznanym wrażeniu i okropnym upadku, po jakim dziw, że mu kości pozostały całe, bo od otworu do dna lochu była znaczna wysokość — Czerepowicz wstał, a uwolniwszy się jakoś z pęt, choć nie widział w ciemnościach, i nie wiedział gdzie się obrócić, począł zwolna posuwać się, macając rękami ściany. Jak długo tak szedł — sam nie wiedział. Dość że po jakimś

czasie, ujrzał w oddali mdle światelko. Ucieszony tem zjawiskiem, sądząc, że mu ono wyjście z lochu wskazuje, podchodzi bliżej. Wtem staje zdrtwiał, bo widok, jaki się jego oczom przedstawił, mógłby najodważniejszego przyprawić o dreszcze. Oto widzi osobę całą w bieli, klęczącą z książką w rękę, przy dużej sztabami okutej skrzyni, na której przykutą na łańcuchu pies-olbrzym leży i w łapach świecę trzyma.

Czerepowicz przejęty trwogą, chce się cofnąć niepostrzeżenie, lecz pies go zoczył i ujadając wściekle, zaczął się rwać ku niemu. A tu i osoba owa powstaje. Skinieniem dłoni uspakaja psa i głosem grobowym zapytuje Czerepowicza:

«Skąd i pociąg tu przyszedł?»

Nawpół umarły ze strachu, drżąc i szczękając zębami, opowiada Cz. wszystko, co się z nim stało i za co został ukaranym.

«Masz szczęście, żeś mi prawdę szczerą wyznał — rzecze widmo — zato dam ci nagrodę. Oto w tej skrzyni są skarby nieprzebrane: bierz, ile tylko zdołasz unieść» — «Kiedy nie mam do czego wziąć» — ośmielił się przebąknąć Cz. «Zdejm choć spodnie, zawiąż je, i bierz kiedy ci daję.» To mówiąc, usuwa psa i podejmuje wieko. Aż ahnął na chwilę Cz. ujrawszy taką moc złota. Zrobił przeto tak, jak mu widmo radziło, a gdy nasypał ile tylko unieść zdołał, widmo rzekło doń: «Idź i nie kradnij więcej!» Następnie kazało psu wyprowadzić go z lochu.

Po długim krążeniu doszli do olbrzymiego kamienia, który pod uderzeniem łapy psa usunął się i przepuścił Cz. na świat boży. Gdy wyszedł z lochu, głaz zapadł napowrót, a on się znalazł naprzeciw klasztoru Bernardynów (dziś więzienie) w odległości 1½ kilometra od wyspy. Podziękowawszy więc Bogu za cudowne ocalenie, wrócił do domu. Część otrzymanego skarbu oddał na kościół, za resztę zaś pobudował domy i stał się zamożnym i uczciwym człowiekiem.

10. Góra Dergasa (Derga Kałnas).

Na połowie drogi między stacją kolei Warsz. Petersb. Marcinkańce, a wsią Menczegiry w powiecie Trockim, wznosi się dość wyniosła góra, ciekawa z tego względu, że znajduje się na niej dużo głazów, wielkich nieraz rozmiarów. Może leżą one tu od epoki lodowcowej, a może służą jako zewnętrzna oznaka grobów przedhistorycznych — nikt tego dokładnie nie wie, bo nikt tu nie prowadził żadnych badań. Tylko podanie krążące między ludem, zdaje się wskazywać na łączność tej miejscowości z jakimś wypadkiem większego znaczenia, który wyraźniej zaznaczył się w pamięci ludu i dziś przeznaczony doszedł do nas odległym echem.

Podanie jest następujące:

Przed wiekami, żył w tych stronach wielki wojownik, wódz litewski, nazwiskiem Dergas, który nie tylko siły ziemskie, lecz i piekielne moce miał na swoje usługi, t. j. był zarazem wielkim czarownikiem. Zdarzyło się pewnego razu, że nieprzyjaciół, rozumie się Szwedów, najechał jego kraj, pustosząc wszystko po drodze ogniem i mieczem. Dergas zaskoczony znienacka, nie mógł zebrać dostatecznej siły dla dania należytego odparcia, schował się więc z nieliczną drużyną na tę górę. Ale nieprzyjaciół i tu go znalazł, i pierścieniem wojsk otoczył

prawiać nabożeństwa, kropić wodą święconą i egzorcyzmować, co na tyle pomogło, że wąż zapadł pod ziemię. Nie mógł się jednak cały tam zmieścić, więc został na powierzchni jego ogon, który i dziś z ziemi wygląda.

13. O Janku Bohaterze.

Było to bardzo, a bardzo dawno; dość wam powiedzieć, że w owym czasie, gdy jeszcze Pan Bóg chodził po ziemi. Z kijem, w siermiedze, jak wieśniak jaki, chodził po świecie z kraju do kraju, i uczył ludzi zajęć wszelkich: jak orać rolę, jak ją zasiewać, a przytem uczył wiary i cnoty.

I tak obchodząc ludów dziedziny, zaszedł nad Niemna brzegi uroczyste, i nad Wiliją, po wsiach nocował, wszędzie roznosząc wiedzę i wiarę, wszędzie witany jak gość najmilszy.

Raz zaszedł kędy chatka uboga, pośrodku świeżej trzebieży stała. Mieszkał w niej rolnik z żoną i synem. Żył on uczciwie i w ciągłej pracy, lecz nie mógł powstać z biednego stanu, bo koło roli w polu, czy w lesie, sam tylko w pocie czoła pracował. Miał wprawdzie syna lat siedemnastu, żadnej zeń jednak nie miał pomocy, bo syn urodził się niedołęgą, i tylko leżał a spał na piecu, nie mogąc nawet za próg przestąpić.

Wszedł tedy Pan Bóg do owej chatki, lecz nie znajduje w izbie nikogo, tylko kaleka stęka na piecu. Usiadł więc sobie w kącie za stołem i rzekł do chłopca: «Daj mi pić, proszę.» Jakże ci dam — ten mu odpowie — kiedy ja chodzić całkiem nie mogę? «Nic to — rzekł Pan Bóg — zleż tylko z pieca». Usłuchał młodzian i zlązi z pieca, a taką siłę wnet w sobie poczuł, jak gdyby nigdy nie był kaleką. Poszedł, zacerpnął kwasu chlebnego — «Masz pij staruszk» — do gościa rzecze. Lecz Pan Bóg mówi: «Ty sam pij wprzód». Co gdy uczynił, Pan Bóg go pyta: «Jakże się czujesz, czy lepiej teraz?» «O — rzecze młodzian — tak mi jest dobrze, jakbym na nowo na świat się zrodził!» «Więc przynies kwasu i wypij jeszcze». Gdy wypił, Pan Bóg pyta go znowu: «Czy wielką siłę uczuwasz w sobie?» «Taką mam siłę — młodzian odpowie — że gdybym znalazł słup tak wysoki, co jednym końcem w niebo by sięgał, to bym przewrócił niebo i ziemię». «O to za wiele! — rzecze mu Pan Bóg — musisz raz jeszcze kwasu się napić!» Usłuchał młodzian i tym sposobem, połowę siły swojej utracił.

«Teraz, rzekł Pan Bóg — idź w świat, mój synu, i siły swojej użyj na dobro; idź zło wytepić, co się tu pleni, zasiane ręką mocy piekielnych, a ja cię w pracy pobłogosławię i przygotuję w niebie nagrodę. To rzekłszy wyszedł i znikł w oddali. Wówczas to poznał chłopak zdumiony, że to był Pan Bóg.

Sśród leśnej głuszy, rodzice chłopca zajęci byli uprawą roli, którą karczować, a potem kopać z trudem musieli. Już słonko dobrze wzniosło się w górę, więc się zbierają by wrócić do dom, spożyć śniadanie i spocząć trochę. Wtem patrzą — zdala ktoś ku nim kroczy, niesie dzban spory i bochen chleba. Zrazu sądzili, że to ktoś obcy mimo na swoje pole pośpiesza. Lecz, gdy się zbliżka jemu przypatrza, stają zdumieni nie wierząc oczom, bowiem w tym pięknym, dzielnym młodzieńcu, chorego syna swego poznają.

«Tyżeś to Janku?» — ojciec zawoła. Ten mu się do nóg rzuca

wzruszony, a potem matce w objęcia pada, całuje, płacze z radości i o «Staruszk» im opowiada. Dziwią się wielce tej opowieści, lecz widząc jawne oznaki cudu, klękają społem i wznosząc dłonie, dziękczynne modły ślą ku niebiosom.

Gdy już spożyli skromne śniadanie, rodzice Janka usiedli w cień, ażeby chwilę zdrzemnąć po trudzie, on zaś z zapalem wziął się do pracy. Odwieczne drzewa zginał ku ziemi i jakby jakie wiatle krzewiny, rwał z korzeniami ścieląc jak snopy. Takim sposobem, w ciągu godziny ogromny kawał lasu oczyścił. Potem rodziców swoich obudził, uściśnął czule i tak im rzecze: «Rodzice mili! patrzcie do czego syn wasz jest zdolny. Więc się nie dziwcie, że was porzucę, bo mi tu ciasno! Pójdę w świat, zwalczać nieczyste siły, co tyle złego czynią wśród ludzi. Dajcie mi przeto konika swego, bo to jest rumak, koń bohaterski i błogosławcie syna na drogę!»

Zrobił łuk, strzały, miecz wykuć kazał taki ogromny, że go najwięksi siłacze z ludu ruszyć nie mogli. Tak uzbrojony padł ojcom do nóg, a otrzymawszy błogosławieństwo, ruszył przed siebie z otuchą w sercu.

Jedzie dzień, tydzień, miesiąc, rok może, gór siedem minął, siedem rzek przebył, aż się zatrzymał gdzie sine morze, brzegi dziewiczej puszczy podmywa. Ziemią tą władał okrutny Świstun. Był to wielkolud olbrzymiej siły, co gwizdał z taką piekielną mocą, że gdy ku morza gwizdnął obszarom, wnet fale groźnie pod niebo trysną, ryczą spienione, o brzegi tłuką i setki statków rybackich chłoną. Gdy zaś na lasy gwizdnął szumiące, gną się stuletnich dębów konary, a zwierz wszelaki, również i człowiek martwy upada. Miał on swój pałac cudnej budowy, z drogich kamieni srebra i złota, lecz zwykle na trzech siadywał dębach, które opodal w jeden rząd rosły, bo z nich mógł objąć okiem szmat świata i dojrzeć zali mu co nie grozi.

Tego olbrzyma Janek Bohater naprzód ze świata zgładzić zamierzył. Wjechał więc w puszcę ciemną, straszliwą i śmiało kroczy kędy w oddali świst i ryk straszny lasem potrząsa. Przeczul znać Świstun, że rycerz taki, na jego życie nastawać jedzie. Więc zebrał całą swą moc piekielną i gwizdnął prosto w Janka Rycerza. Ten aż się zachwiał na swym rumaku, lecz się nie uląkł i rusza dalej. Świstun raz wtóry gwizdnął straszliwie, aż się las cały pokotem ściele i Janka pośród powału grzebie. Gdyby nie jego niezmierna siła, jużby tu znalazł kres swego życia. Lecz on strząśł z siebie stuletnie sosny, jakby to były leszczyny krzaki i jednym susem dzielnego konia, wprost przed obliczem olbrzyma staje. Czując śmierć swoją, Świstun wznosił dłonie i zmiłowania u Janka prosi. Janek nie słucha, lecz łuk naciąga. Zwinęła strzała i wskrósł przeszyty, olbrzym legł u nóg swego zwycięzcy. Ten go swym mieczem pociął na części i każdą w inną rozrzucił stronę. Wnet każda cząstka cudowną władzą zmienia swe kształty, porasta w pierze i wkrótce w miłą postać słowika, śpiewaka wiosny się przeobraża.

Gdy to uczynił Janek Bohater ku pałacowi zwrócił swe kroki, tam pozabijał Świstuna dzieci, a pałac zburzył i zrównał z ziemią. Następnie w dalszą puścił się drogę. Jedzie znów tydzień, miesiąc, rok może, przebył rzek siedem, siedem gór minął, aż w środku drogi spotkał rycerza. W zbroi, z miedzianym hełmem na głowie, w rękę niósł taką ciężką buławę, że pewno ze sto pudów ważyła. Pyta go Janek: «Skąd idziesz, panie?» Ten odpowiada: «Od Obzartucha». Jest to okrutnik szeroko

znany, nigdy krwi ludzkiej i lez niesyty, a taki przytem żarłok i pi-
jak, że już kraj własny cały ogłodził i zaczął grabić w sąsiednie kraje.
Chciałem go zabić; walczyłem długo, ale pokonać zbrakło mi siły. Sty-
szałem żeś jest siłacz nielada, więc weź mą zbroję, hełm, weź buławę
i idź zwyciężać tego potwora.»

Janek nasz chętnie się na to zgadza i wżamian konia swojego
daje, miecz, łuk i strzały i w drogę rusza.

Szedł długo jeszcze, aż w końcu staje przed wielkim zamkiem,
w którym panuje olbrzym straszliwy «Żarłokiem» zwany. Wchodzi nasz
Janek śmiało w pokoje, kędy «Obżartuch» za stołem siedzi. Widzi —
na stole, z całego wołu pieczeń się dymi, zaś wkrag pieczeni pierogów,
chleba ilość niezmierna i tuzin wielkich antałów piwa. Wszystko to
olbrzym z kolei zjada i każdy kasek piwem zapija.

«Daj mi jeść z sobą» — Janek doń rzecze. «Czyś ty oszalał Żar-
łok zakrzyknie — toż dla mnie mało tego co widzisz! Wynos się, ra-
dź, dopókiś cały, bo cię tu zaraz na miazgę zgniotę!» Wówczas zdjął
Janek swój hełm miedziany i tak nim w głowę Żarłoka cisnął, że ta
wraz z hełmem ścianę przebiła i gdzieś daleko z nim poleciała.

Następnie Janek potomstwo jego pobił, i wszystko zburzył i zni-
szczył, a gdy dokonał tej ciężkiej pracy, powrócił do dom, do swych
rodziców. I długie jeszcze lata w pokoju i bożem przeżył błogosławień-
stwie, a pamięć o nim i jego czynach, dotąd u ludu żywa została.

NB. Winienem zaznaczyć, że formę opowiadania, wiązaną rytmicznie, zastowa-
łem do tej legendy, dla uwydatnienia fabuły jedynie, bez wprowadzenia jakichkol-
wiek zmian.

14. Kamień z trzema krzyżami.

Niedaleko folwarku Talkuńców gm. Raduńskiej, powiatu Lidzkiego,
znajduje się przy drodze kamień, z wykutymi na nim trzema krzyżami.
O tym kamieniu krąży między ludem miejscowym następująca le-
gienda.

Za dawnych czasów, żyła w tej okolicy krasawica jakich mało,
tak uroczą, że kto ją ujrzał, już przestał być panem swego serca, go-
tów dla niej na wszelką, jakiejby nie zażądała ofiarę. To też nie dzi-
wota, że szaleli za nią wszyscy, a najbardziej dwaj bracia, którzy
poza nią i świata bożego nie widzieli. Pokochali ją całą siłą młodziń-
czego uczucia, a tak gorąco i namiętnie, że gdyby nie wzgląd na zwią-
zek krwi, jużby dawno stanęli naprzeciw sobie z bronią w ręku. Dziel-
czyzna dla obu była jednakowo usposobiona, i jednakowo ludziła ich
wzajemnością, podniecając coraz bardziej miłosne ich zapęły.

Tak jednak wiecznie trwać nie mogło, a prowadzić dalej taką
grę było nawet niebezpiecznie, bo bracia nalegali o wybór, grożąc, że
ją i siebie pozabijają. Wezwana do rady matka, gdy dla rozstrzygnię-
cia sporu nie mogła znaleźć wskazówek w sercu swej córki, poradziła
całą sprawę na los szczęścia. Kazała córce pójść do owego ka-
mienia przy drodze, stanąć na nim i kazać dwóm braciom biec ku
sobie z jednakią odległości. Kto wprzód dobieży — ten niech zostanie
mężem. Uczyniła tak jak jej matka radziła, lecz i w tym razie los jej
nie usłużył: obaj bracia stanęli jednocześnie przy kamieniu. Co gorzej
niepowodzeniem rozjutrzeni błyskają ku sobie nienawistnym okiem, go-
nieni powodem rzucić się na siebie. Gdy tak dziewczyna stoi

zalekniona wobec gronej postawy obu braci, nie wiedząc zgoła, co czy-
nić — w tem pada piorun z jasnego nieba i zabija wszystkich troje.

Sąsiedzi trupy pozabijanych pochowali pod tym kamieniem i na
wieczną pamiątkę trzy krzyże na nim wykuli.

15. Miłosierny Pan.

Żyłoby raz sobie małżeństwo bogate. Wszelkiego dobra mieli
wśród, więc żyli dostatnio sami i mogliby wiele jeszcze dobrego lu-
dziom czynić, gdyby nie to, że mąż pojmował swoje względem bliźnich
obowiązki inaczej, a żona inaczej. Mąż był człowiekiem ludzkim, uczyn-
nym, radby się z bliźnim dzielić ostatkiem, żona zaś skąpa i nieużyta,
dla siebie tylko wszystko zgarniała, nie dając nigdy nic i nikomu,
choćby w jej oczach bliźni marł z głodu. Starala się nawet powstrzy-
mywać od dobrych uczynków męża swego, ale ten nie dawał się spro-
wadzić z drogi obowiązku.

Miał on zwyczaj, że każdego biedaka, ktoby nie zaszedł do jego
dworu, zapraszał, karmił i gościł mile, a nazajutrz hojnie obdarowane-
go wyprawiał. Zzynała się żona na to, że nieraz przy wieczerzy mu-
siała koło obdartusa siadać, a nawet mu usługiwać, ale w tym wzglę-
dzie wola męża była niezłomną więc posłuszną być musiała.

Pewnego razu zachodzi do dworu staruszek jak gołąb siwiuteński
i o gościnę prosi. Przyjmuje go pan z radością i jeszcze serdeczniej
niż innych ugaszcza i hojniej obdarza, więc, gdy już nadeszła pora roz-
stania, staruszek dziękuje mu czule i wzajem do siebie w gościnę za-
prasza.

«Gdziesz mam cię szukać, staruszk?» pyta pan.

«Nie troszcz się o to — ten odpowie — gdy przyjdzie czas, uj-
rzesz przed swoim gankiem rumaka, na którego bez obawy siadaj, a on
cię do mnie drogą prosta zaniesie.»

Stało się rzeczywiście, że pewnego ranka, oznajmują panu, że ja-
kiś koń śliczny, a nieznaný stoi przed dworem. Wyjdzie pan i widzi,
u słupa przywiązany koń, mile na niego spogląda i jakby na grzbiet
swoją zaprasza. Przypomniawszy sobie obietnicę staruszka, więc nie
namyślając się długo, wskakuje na siodło, a koń rusza prosto przed
siebie. Jada tak długo, bardzo długo, przez okolice całkiem nieznane
i dojeżdżają do prześlicznej łąki. Ogromna przestrzeń tak bujna, kwie-
cistą trawą pokryta, że rumak w niej po brzuch brodzi. Na łące tej
pasą się całe stada owiec, lecz tak strasznie chudych, że chociaż ob-
fity pokarm dławiać się lykają, kości tylko u nich z pod skóry ster-
czą. Dziwi się pan, lecz że nie miał u kogo o przyczynę chudości owych
owiec się rozpytać, rusza dalej. I znów wjeżdżają na łąkę. Tu w prze-
ciwienstwie do poprzedniej, na gruncie skalistym, jałowym, zaledwie
gdzieniegdzie trawka nędzna się pokazuje, a zresztą mech i suche ba-
dyle pokrywają całą przestrzeń. I tu pasą się owce, lecz — o dziwo —
tak tłuste, że zaledwie która od niechęcia trawkę skubnie, zwykle
zaś tylko leżą lub igrają wesoło. Zdumiewa się nasz podróżny, lecz
koń go dalej niesie, a po drodze ukazują się nowe dziwowiska. Oto
dwóch ludzi ciska wzajem do siebie kulę rozpaloną do białości. Co
który chwyci ją do rąk, to mu one ogniem buchają, więc coprędzej
rzuca napowrót — i tak bez ustanku. Dalej dojechali na brzeg rzeki
płynącej wodą czystą jak kryształ; wśród niej stoi człowiek zanurzony

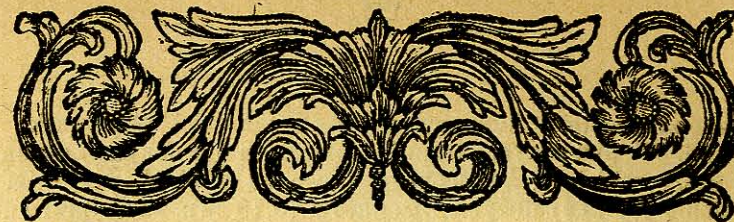
po szyję. Woda mu koło samych ust przepływa, a on dreczony nieugaszonem pragnieniem, napróżno usiłuje chwycić ustami choć kropelkę — co się nachyli, woda opada. Odwrócił oczy nasz podróżny od tego straszego widoku i jedzie dalej. Aż oto przeraziła go jeszcze bardziej taka scena: widzi niby przedsionek piekła, a w nim żonę swoją otoczoną djablami. Ci ją chcą ciągnąć w głąb piekielnych czeluści, a ona krzyczy wzywając ratunku i rękami czepia się za wyrastającą gdzieś ze szczeliny skały nać cebuli. Mąż ręce wyciąga by ją wyrwać z tych opalów — lecz koń unosi go dalej i dalej. Stanęli wreszcie u bram olbrzymiego gmachu. Wtem otwierają się podwoje, i nasz podróżny widzi, aż oto naprzeciw niego wychodzi ów staruszek, którego niedawno u siebie podejmował, lecz w takim blasku i boskim majestacie, że mimowoli padł na kolana i głowę ze czcią pochylił, bo zrozumiał, że to jest chyba sam Pan Bóg. Gdy tak w bojaźni i uwielbieniu kłęczy — usłyszał nad sobą głos: «Za to, żeś nie pogardzał ubogimi, dozwolę ci za życia przyjść przed obliczność moją tu w niebie. Lecz wrócisz jeszcze na ziemię, by opowiedzieć wszystko coś widział i usłyszał, ku zbudowaniu ludzi.

Więc ci wszystko wytłumaczę. Owe chude owce na pięknej łące, to bogacze, którzy byli nieczuli na niedolę ludzką. Zato dziś głód nienasycony ich wnętrzności pożera, chociaż strawy mają obfitość! Owce tłuste na łące jałowej — to ludzie ubodzy, którzy jednak, w miarę swojej możności, pomagali biedniejszym od siebie. Ludzie ciskający ustawicznie ku sobie kulę rozpaloną — to dłużnik, który należności nie oddał i wierzyciel, który się o nią nie upomniął. Zato obaj cierpią jednaką karę. Ów człowiek, stojący w wodzie i wiecznie łaknący, był bardzo zamożnym gospodarzem we wsi. Na jego podwórzu była jedyna na całą wioskę studnia, z czego on nieuczciwie korzystał, nie pozwalając nikomu brać wody, jak tylko za opłatą. Dziś musi wieczne pragnienie znosić. Co do twojej żony, to wiesz dobrze, jaką ona jest niełitościwą kobietą. Raz tylko pozwoliła ubogiemu urwać naci cebuli i ta nać wstrzymuje jeszcze ją od potępienia wiekuistego, lecz nie wstrzyma, jeżeli się nie poprawi. A teraz wracaj na ziemię i głos co widziałeś».

Gdy po jakimś czasie, nie słysząc więcej głosu, pan ośmielił się podnieść głowę — nie było już przed nim nikogo: wszystko znikło, a on stoi przed swoim gankiem.

Uznając to swoje widzenie za wyraźną wskazówkę nieba, opowiedział je żonie i sąsiadom, ku zbudowaniu i poprawie.

Wandalin Szukiewicz.



Zabytki przedhistoryczne gub. Kowieńskiej.

Przed kilku laty staraniem pułkownika Massalitonowa w gub. Kowieńskiej zbadanych zostało kilkanaście cmentarzyk przedhistorycznych. Jakkolwiek prace te prowadzone były dorywczo przez p. M., który bawił w tych stronach właściwie dla pomiarów topograficznych, dzięki jednak wytrwałości i szczeremu zamiłowaniu rezultat przedstawia się niewątpliwie bardzo poważnie. Ogółem zbadanych zostało około tysiąca kurhanów. Dość okazały zbiór, który powstał w ten sposób, nabyty został od p. Massalitinowa przez redakcję „Kwartalnika litewskiego”.

Dzięki uprzejmości kierownika tego wydawnictwa udało mi się poznać ten zbiór i zająć się jego opisem. Ze względu na pierwszorzędne znaczenie tych wykopalisk dla poznania odległej epoki kraju, posiadającego ongi niewątpliwie bogatą kulturę, zbyt mało dotychczas zbadaną przez naszych archeologów, pragnę w krótkości podzielić się swemi spostrzeżeniami na stronicach wydawnictwa, poświęconego specjalnie zabytkom przeszłości tego kraju *). Niniejsza praca — to treściwe sprawozdanie o tym zbiorze; w następstwie zamierzam wydać bardziej wyczerpujące studjum, szczegółowo opisać wszystkie okazy, analizując je typologicznie i chronologicznie, przyczem postaram się wyjaśnić związek między kulturą danego kraju a kulturę stref sąsiednich. Wobec tego artykuł niniejszy ma charakter pracy przedwstępnej nad zabytkami epoki odległej, lecz ciekawej ze względu na swą wielowiekową, oryginalną kulturę.

Szczegółowych danych o rozkopanych kurhanach — ciałopalnych czy szkieletowych? — o charakterze mogił, ani też o porządku w jakim znaleziono wykopane przedmioty — nie posiadamy.

Ograniczyć się musimy do następujących krótkich wiadomości, które czerpiemy z dorywczych notatek skreślonych ręką p. Massalitinowa;

*) Niniejszy artykuł, napisany specjalnie dla „Kwartalnika litewskiego” przez wytrawnego archeologa rosyjskiego p. Makarenko zamieszczamy w przekładzie na język polski z rękopisu rosyjskiego. (Przyp. Red.).

I.

Rozkopano cztery kurhany w okolicach wsi Bojaryszki, gub. Kowieńskiej. W pierwszym kurhanie, obłożonym ogromnymi kamieniami, odkryto ślady szkieletu, zwróconego głową na wschód, przy nim znaleziono: fibulę (spinkę) dużych rozmiarów (0,18 m); naszyjnik z odgiętymi na zewnątrz, znacznie grubszy końcami; dwie cienkie blaszki brązowe z otworami pośrodku i brzegiem roboty ażurowej (p. tabl. № I u góry *); dwie szpile, z główkami w kształcie krzyża; jednaście bransoletek; łom żelazny; dwie kopje również żelazne. Prócz tego okrągła blacha brązowa, kształtu dużego guza lub spinki, stożkowata pośrodku, z czterema ażurowymi przyrostkami po brzegach (p. tabl. № I u spodu). W drugim kurhanie znaleziono naszyjnik, bransolety, fibule, kopje, łomy. Dwa pozostałe kurhany puste.

Na północ ztąd natrafiono na cmentarzysko «26 pustych kurhanów».

II.

W pobliżu miasteczka Pokonie, gub. Kowieńskiej, w cmentarzysku na północ od wsi, znaleziono przedmioty wyobrażone na tabl. № II; piękna spinka z długimi łańcuszkami; ozdoba w kształcie naszyjnika, składająca się z sześciu łańcuszków zakończonych szpilkami; paciorki; naszyjnik; dwie bransolety; łom żelazny zwykłego typu; dwie kopje i nóż żelazny w kształcie sierpa.

III.

W cmentarzysku znaleziono czaszkę i garnek gliniany, oraz bryłkę brązu stopionego. (Garnek wyobrażony na tabl. № VII).

IV.

W pobliżu m. Wawiszki pow. Wilkomirskiego, gub. Kowieńskiej, w majątku p. Hopena, w lesie, na brzegu rzeki Święty, znaczna ilość kurhanów, w nich znaleziono wyłącznie topory i kopje żelazne.

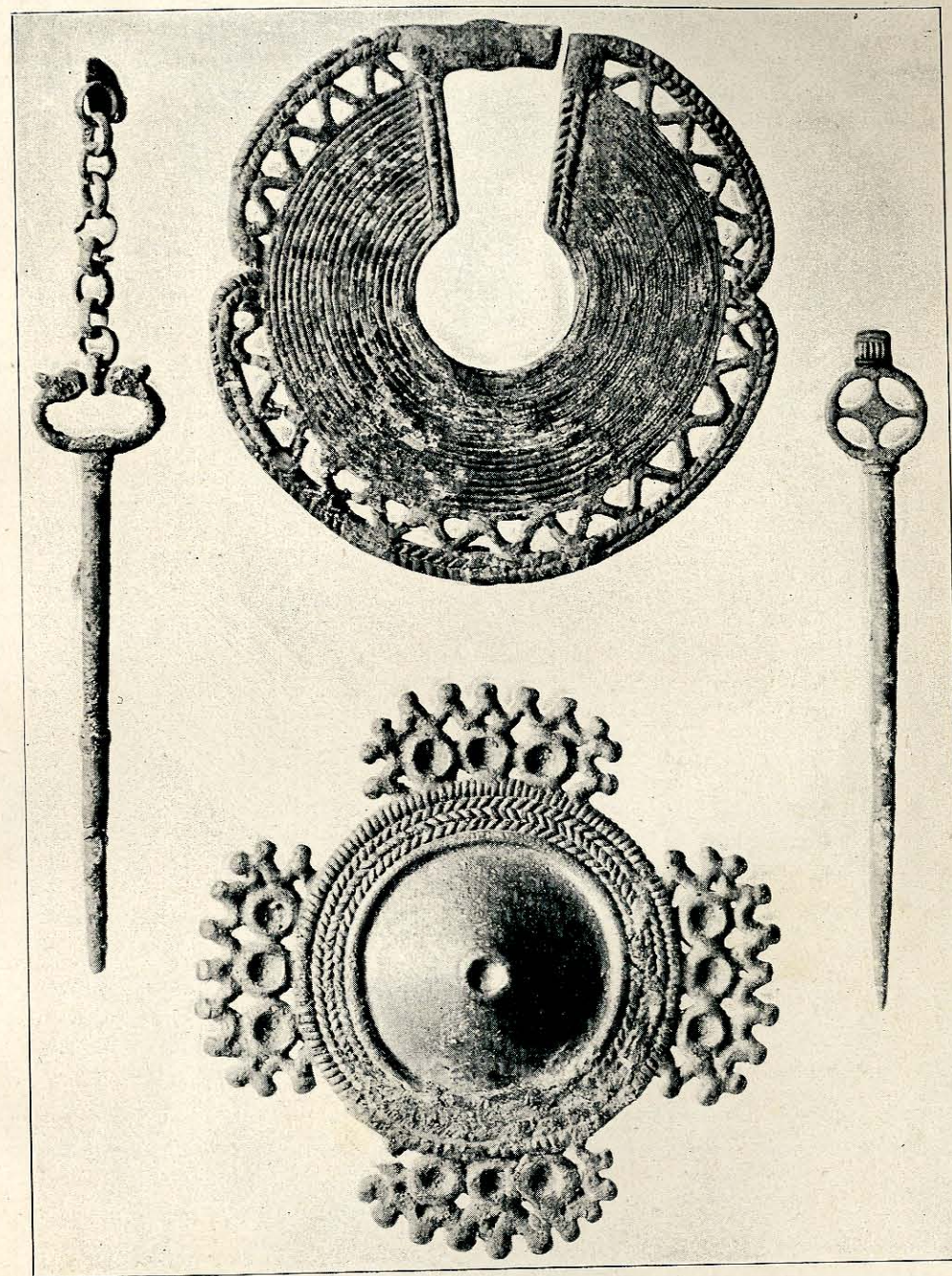
V.

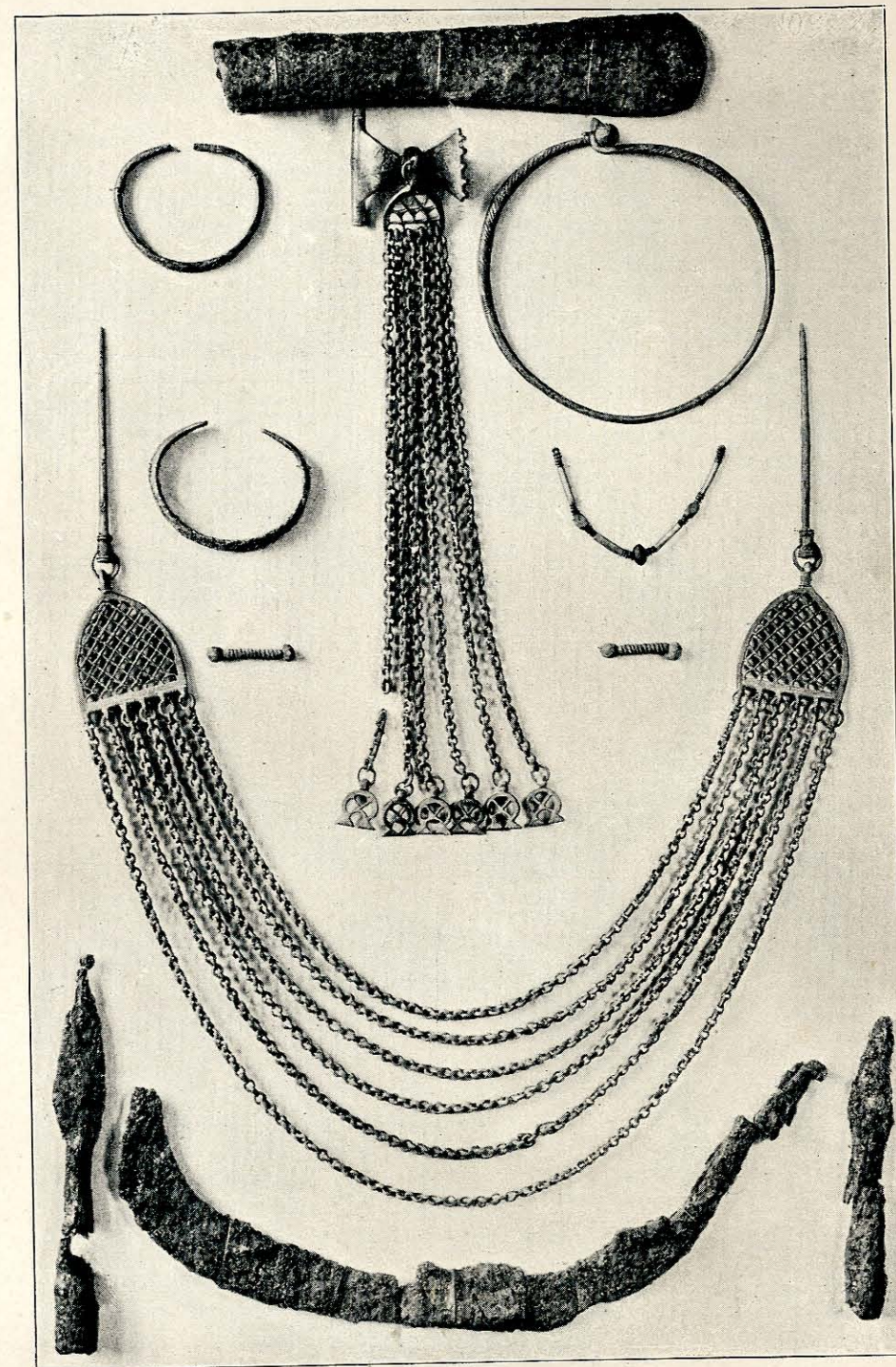
Okolo m. Podubis dużo kurhanów. W jednym z nich znaleziono osiem bransoletek (jedna z nich wyobrażona na tabl. № III; średnia); resztki łańcuszka z wisiorkami kształtu półksiężyców; dwa naszyjniki; szpilki (p. tabl. № I nalewo).

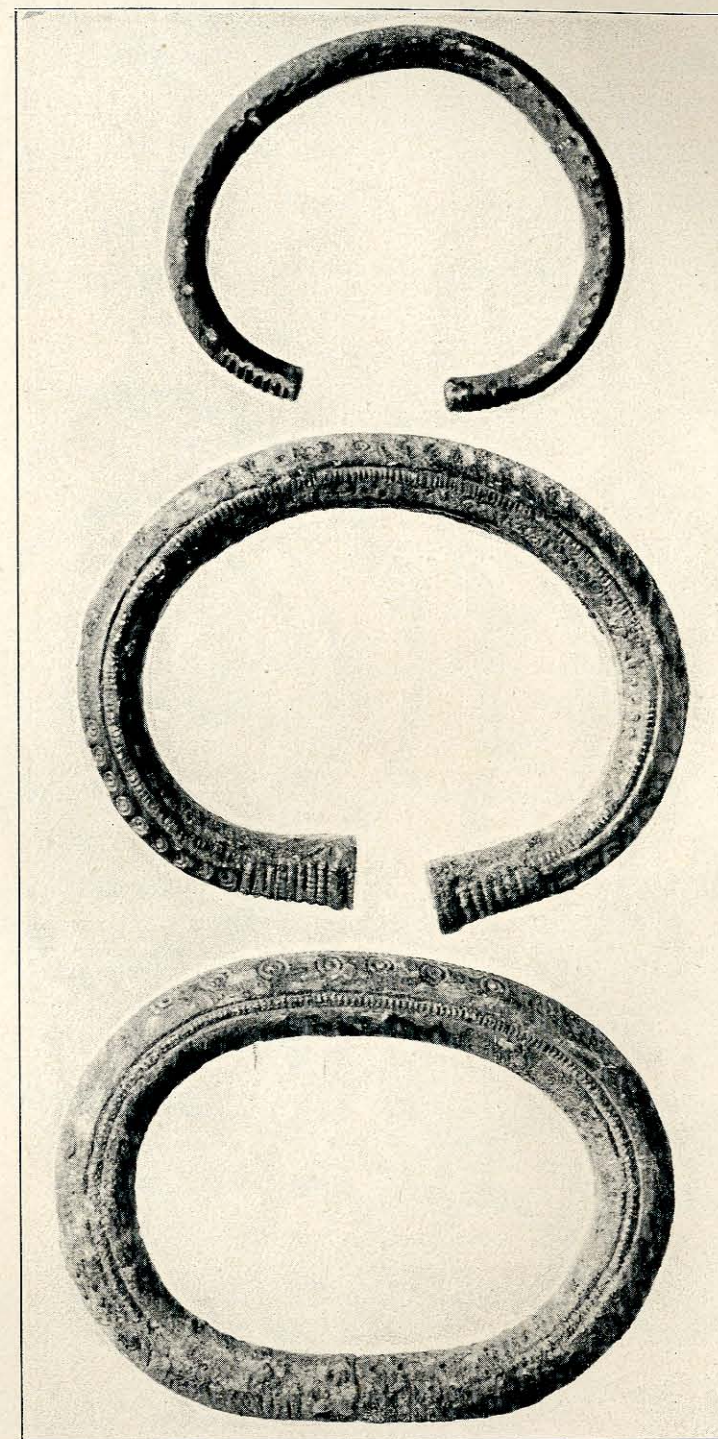
VI.

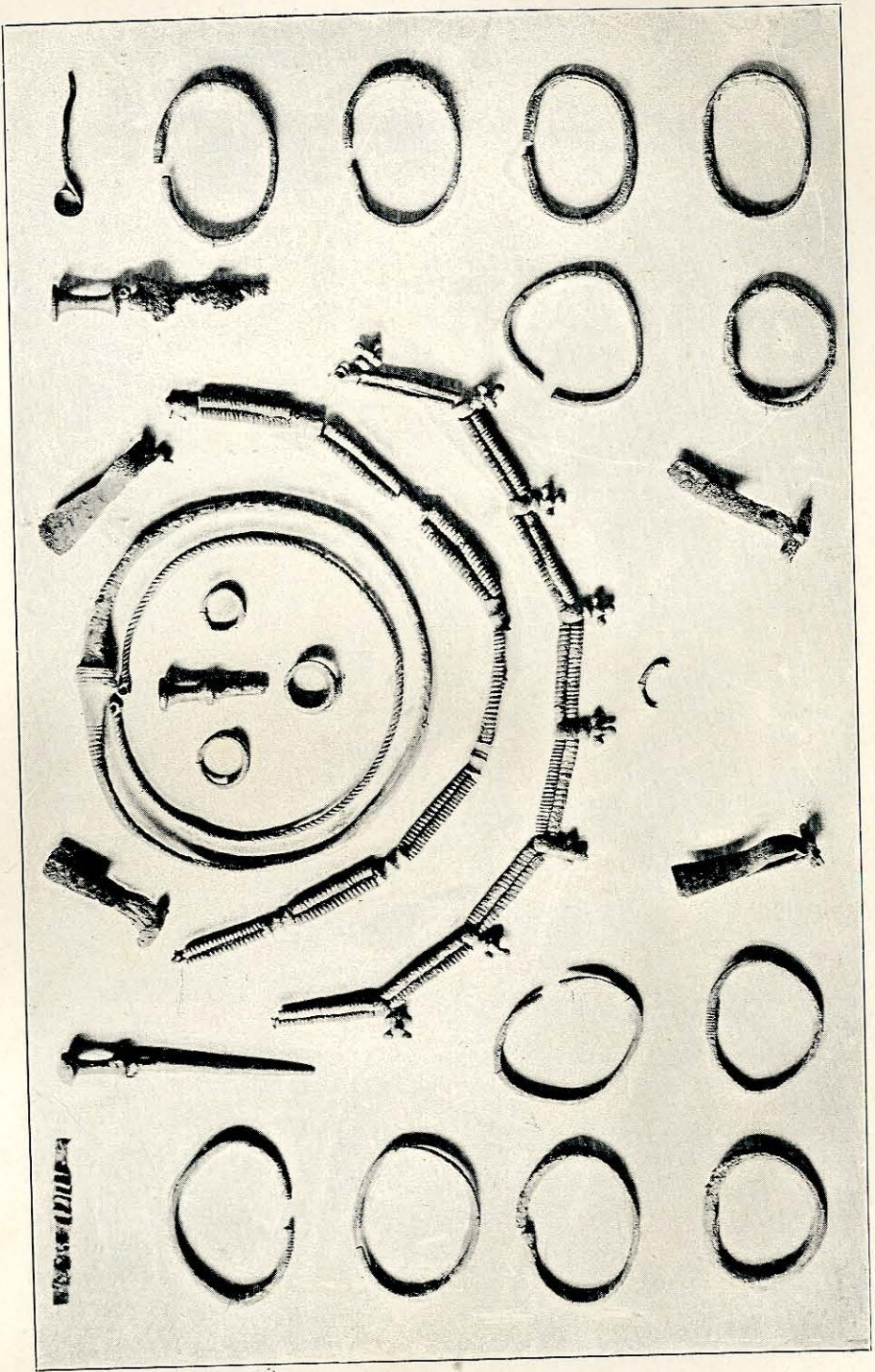
Gub. i pow. Kowieński. Miejscowość bliżej nie określona. Rozkopano znaczną ilość kurhanów, w nich znaleziono: naszyjnik typu zwykłego; dwie ozdoby na szyję z miedzianych, rurkowatych pierścieni, jedna z nich z wisiorkami w kształcie krzyżyków (p. tabl. IV.); cztery

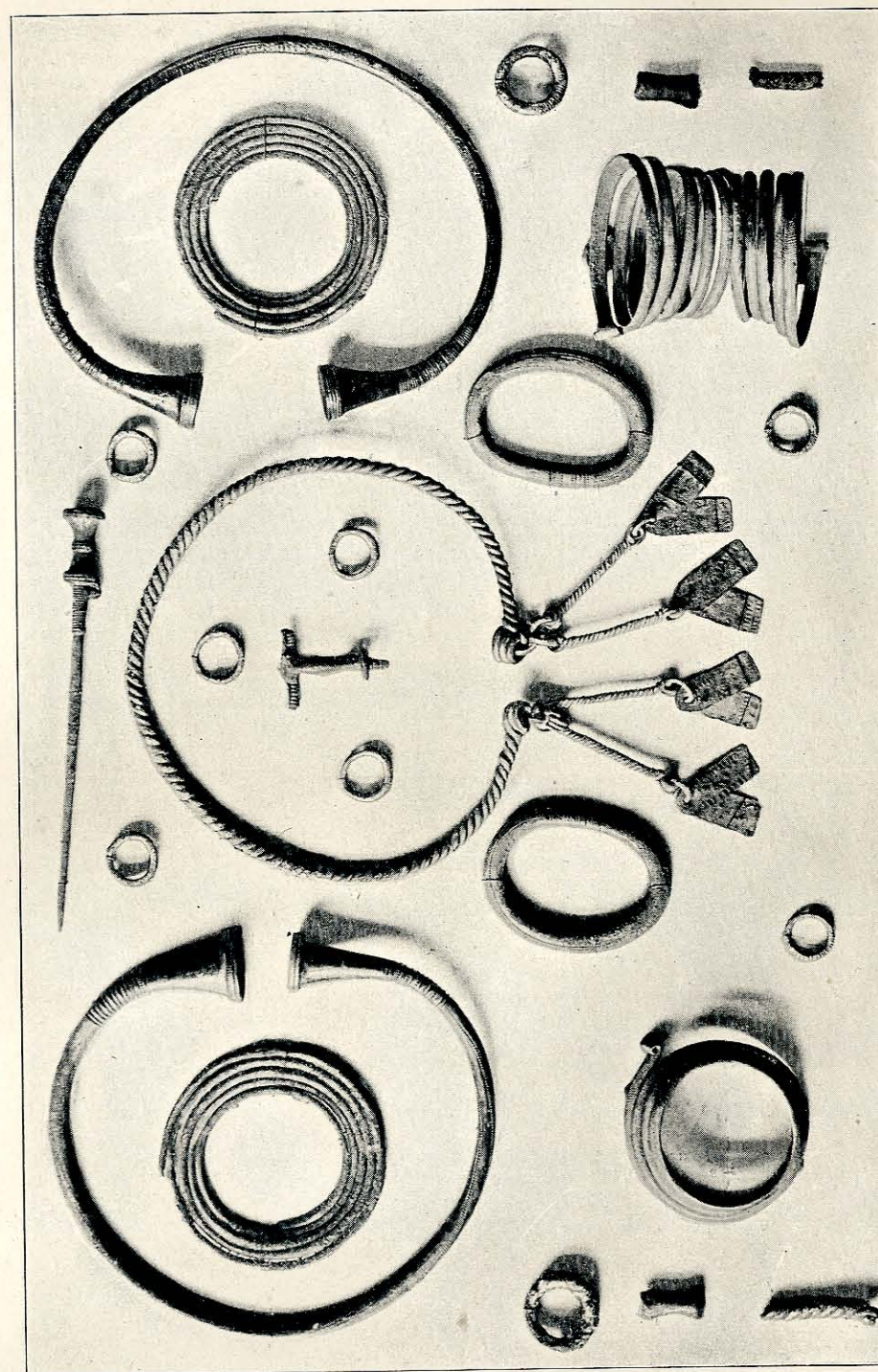
*) Ilustracje nasze przedstawiają tylko małą część zbioru, na który ogółem składa się przeszło 300 numerów. Oczywiście wybieraliśmy dla reprodukcji najbardziej charakterystyczne okazy. (Przyp. Red.).



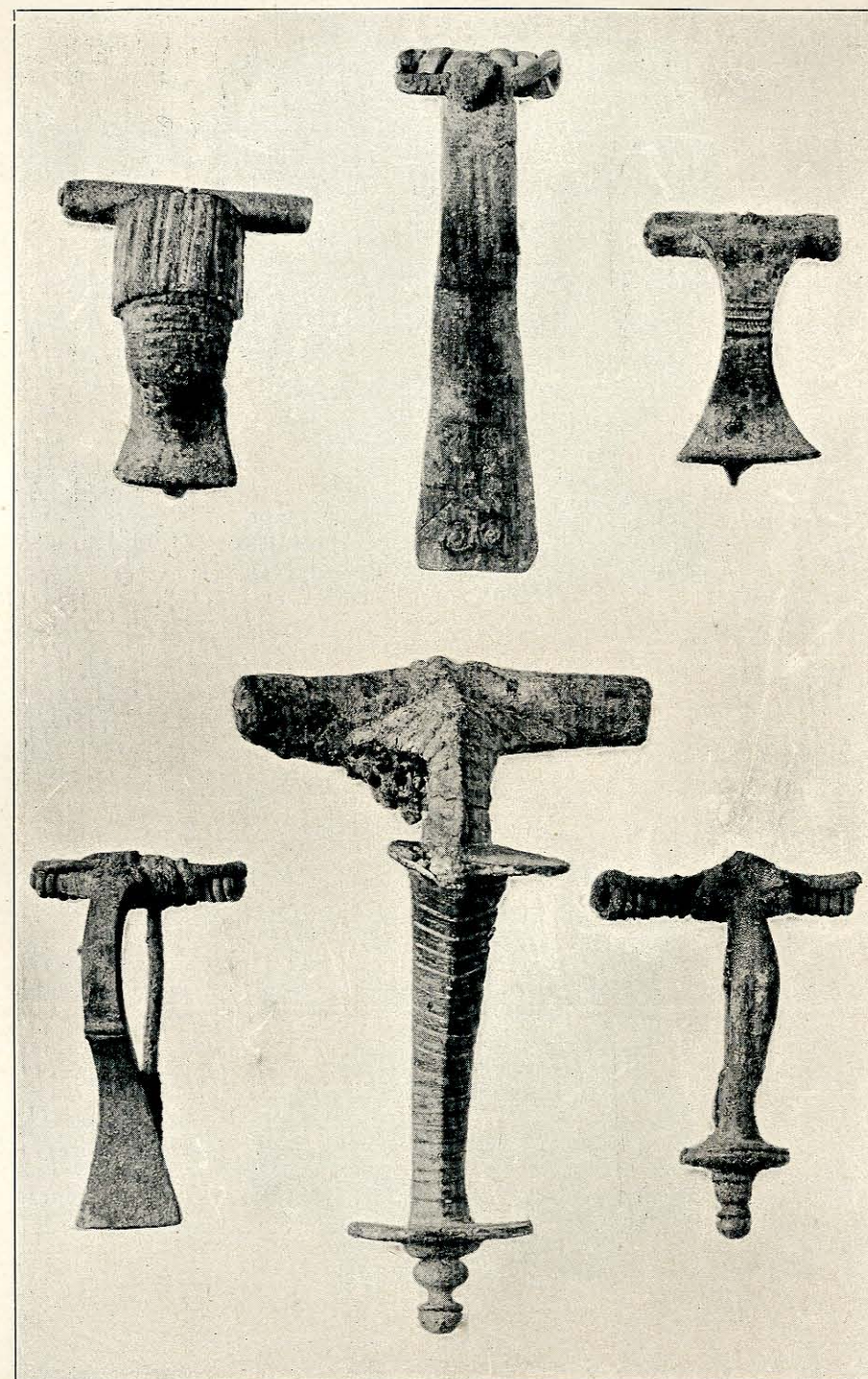


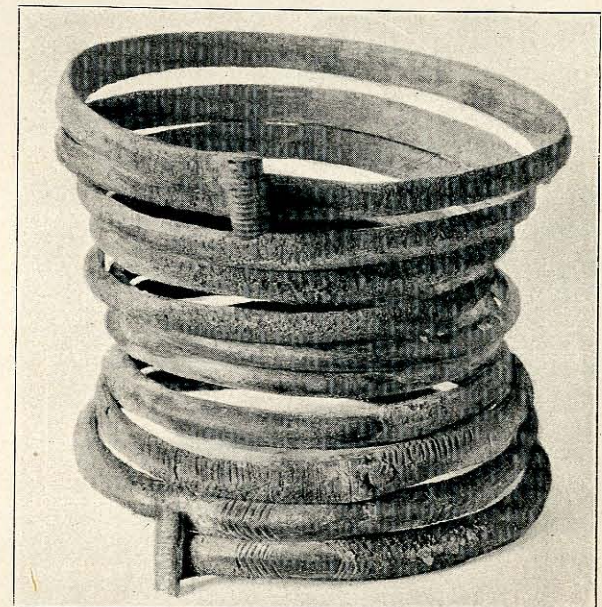
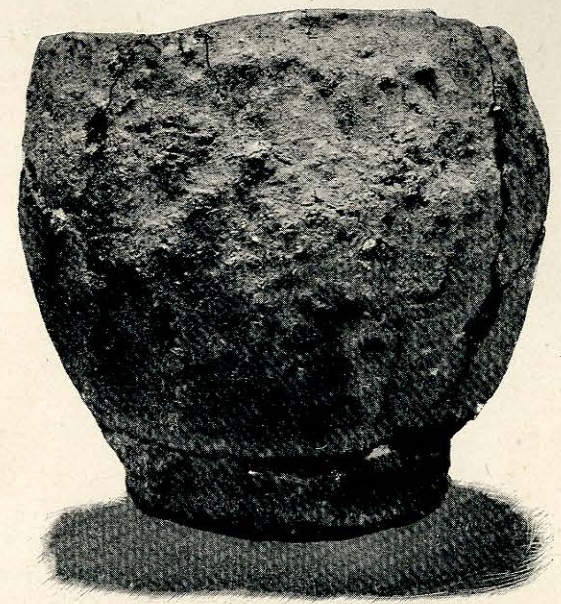






Tabl. VI.





fibule; dwanaście bransoletek po części spłaszczonych, z zaokrąglonemi końcami, po części z okrągłego, masywnego prętu brązowego, ze zwykłym ornamentem; trzy szpile i bransoleta spiralna. W pobliżu cmentarzyska, w piasku, na brzegu rzeki, znaleziono fibulę. (Przedmioty te wyobrażone na tabl. № IV z wyjątkiem bransolety spiralnej i fibuli.).

VII.

Pomiędzy m. Kiewnary i m. Kurtowiany, nad rzeką Dubissą, w pobliżu wsi Jakminiszki, w dużym cmentarzysku znaleziono naszyjnik, uwity z prętów brązowych, z czterema parami wisiorków (p. tabl. № V pośrodku); dwa naszyjniki masywne (ibid. u góry z boków; dwie bransolety spiralne (ibid. u spodu i osobno na tabl. № VII); dwie spiralne, druciane bransolety; dwie bransolety z grubego pręta, ozdobionego ornamentem z krążków i równoległych, podłużnych brózek; dziewięć niewielkich drucianych pierścionków, różnej wielkości; długa szpila; fibula, typu tak zw. rzymskich fibul i dwa odłamki brązu. (Wszystkie przedmioty wyobrażone na tabl. № V; szczegółowe ich opisanie poniżej).

VIII.

Tamsamo znaleziono przy szkielecie dziecka naszyjnik z końcami haczykowato zagiętymi; cztery bransolety; dwie szpile i gładko obrabiony, owalny kamień.

IX.

Tamsamo w innym kurhanie znaleziono trzy naszyjniki z masywnego prętu, grubszego na końcach; cztery bransolety z grubego prętu z ornamentem z podłużnych, równoległych brózek i krążków, z dółkami po środku; z kańczastego prętu, ozdobiona kwadratowymi dółkami; bransoleta spiralna z grubego drutu brązowego; cztery fibule; dwie szpile i kopja.

X.

W pobliżu m. Kiejdany «znaczna ilość kurhanów», w sześciu z nich znaleziono: cztery naszyjniki, w tej liczbie dwa z grubego pręta, o rozszerzonych końcach, ze zwykłym ornamentem z kresek i punktów; dwie z cienkiego drutu, zakończone haczykami, z małymi półkulistymi gałeczkami na końcach; naszyjnik z miedzianych krążków i drobnych paciorków; osiem różnych bransolet, w tej liczbie siedem płaskich i jedna z kańczastego pręta z dółkami (tabl. № III u góry); cztery fibule zwykłego typu i dwie szpile.

XI.

Niedaleko od m. Komaj, gub. i pow. Kowieńskiego, przy folwarku Skrabiszki, znaleziono w cmentarzysku dwa łęgowato zgięte, miedziane przedmioty, kształtu ostrogów.

XII.

W pobliżu m. Szakele w cmentarzysku: bransolety; fibule; szpile.

Przystępując z kolei do opisu grup poszczególnych, musimy zauważyć, że wszystkie przedmioty, objęte tym zbiorem, posiadają typ całkiem ustalony pod względem stylu, kształtu, ornamentu, z czego wnosić można, że były to wyroby przeważnie miejscowe, mało lub wcale nie dotknięte wpływami zewnętrznymi.

Pierwsze miejsce pod względem ilości okazów zamuja ozdoby stroju kobiecego. W znacznie mniejszej liczbie znajdujemy przedmioty, które służyły celom wojennym i myśliwskim, jak również narzędzia domowe.

Zaczynając od ozdób kobiecych, nader bogato — jak się rzekło — reprezentowanych w niniejszym zbiorze, wymienimy przedewszystkiem **naszyjniki** (tak zw. torques).

Najpospolitsze z nich, nader charakterystyczne dla danej kultury, są to naszyjniki z grubego, miedzianego, okrągłego pręta, który rozszerza się na obu końcach stożkowato. Te masywne zakończenia ozdobione są ornamentem z poprzecznych bródek, podczas gdy wzdłuż pręta również biegną brózdki, zaś w przestankach między niemi kółka z dółkami pośrodku. Ornament taki utworzony z kombinacji kresek, kółek i punktów powtarza się na wszystkich naszyjnikach tej grupy i przyznać trzeba, że się pomysłowością nie odznacza.

Wszystkie niemal naszyjniki są w stanie wybornym, pokryte prześliczną patyną. O ile sądzić można z techniki, nieco prymitywnej, lecz solidnej i ustalonego całkiem typu, są to wyroby miejscowe — rezultat wielowiekowej być może, oryginalnej kultury ludu, osiadłego w tych okolicach.

Następny typ naszyjników, tem się różni od poprzedniego, iż obydwie końce prętu tworzą gałeczki półokrągłe, lub nieco spiczaste, kształtu pączka, zagięte są haczykowato w przeciwną stronę i ozdobione ornamentem z kresek krzyżujących się.

Inne znowu naszyjniki tego rodzaju z prętu cienkiego, który ku obu końcom nieznacznie nabrzmięwa i tu nosi ornament sznurkowaty, z równoległych, obiegających wkoło spiralnie kresek (p. tabl. № II). Takie naszyjniki dość pospolicie znajdujemy na północy wśród wykopalisk fińskich z VIII—XI w.

Trzeci nareszcie rodzaj naszyjników należy do tego typu, który napotykamy zarówno w cmentarzyskach fińskich, jak też w kurhanach w północnej i północno-zachodniej części Rosji. Są to naszyjniki uwite z dwóch, trzech i więcej prętów bronzowych, cieńszych lub grubszych a zakończonych pętlą w kształcie kółka, do którego przyczepiano wisiorki. Jako przykład służyć może piękny okaz znaleziony w pobliżu Jakminiszek (Por. tabl. № V, naszyjnik środkowy).

Jak wiadomo, naszyjniki nie były wyłącznie ozdobą stroju

kobiecego, nosili je także mężczyźni. Co się tyczy naszyjników znajdujących się w zbiorze naszym, niestety nieposiadamy pewnych danych, czy są to wyłącznie ozdoby kobiece, czy też znajdowano je przy szkieletach męzkich. Znaczna ich ilość w każdym razie świadczyć zdaje się, że stanowiły one niezbędny niemal dodatek do ówczesnego stroju ludu, zamieszkującego ten kraj.

W zbiorze naszym znajduje się spora liczba bronzowych spirali, kształtu podługowatych rurek, służyły one prawdopodobnie także jako ozdoba dla szyi. Podobne okazy napotykamy również dość pospolicie w wykopaliskach fińskich, jako też w cmentarzyskach kraju Północno-Zachodniego np. w ludyńskim (gub. Witebskiej).

Nareszcie do rzędu naszyjników zaliczyć musimy łańcuszek z przyczepionymi doń w równych odstępach bronzowymi wisiorkami, kształtu półksiężyców, rożki tych półksiężyców rozszerzają się i tworzą drobne trójkąci.

Najciekawszą niewątpliwie grupę w niniejszym zbiorze tworzą **fibule**, czyli spinki, rozmaitych typów.

Podobnego kształtu i stylu fibule znajdujemy wyłącznie w północno-zachodnim i zachodnim pasie państwa rosyjskiego, w wykopaliskach z wieku VIII naszej ery i wcześniej; ich prototypu atoli szukać trzeba w Niemczech, zwłaszcza zaś w Prusach. Fibule nasze przeważnie są bardzo prostej konstrukcji, składają się z pręta, zgiętego na kształt znaku zapytania, z poprzeczką na końcu. Czasem poprzeczek tych jest kilka, nieco krótszych, u spodu zaś znajduje się długa igła, zakończona sprężynką spiralną. Są to fibule typu tak zw. rzymskiego. Znaczna ich ilość zdaje się potwierdzać przypuszczenie, że stanowiły one niezbędną część ubioru zarówno kobiecego jak męskiego ówczesnych ludzi.

Z dużej liczby fibul, które zbiór nasz obejmuje, dwie zwłaszcza zwracają uwagę, zarówno swym kształtem, jak też niezwykle mi rozmiarami. Długość tych fibul równa się 0,18 m. Znaleziono je w kurhanie koło wsi Bojaryszki gub. Kowieńskiej. O ile nam wiadomo, fibule tego typu dotychczas należą do wielkich rzadkości.

Na tem miejscu wymienić musimy także fibulę, która zasadniczo od innych się różni; podczas gdy tamte, niezależnie od ich wielkości i kształtu, stanowiły — jak się już wyżej rzekło — niezbędną część ubioru, ta ma przeciwnie wszelkie cechy ozdoby luksusowej (p. tabl. № II). Jest to spinka małych rozmiarów, z płaskiej blaszki bronzowej, zaopatrzona w pętelkę i kółko, do kółka przyczepiono sześć długich, spadających łańcuszków, zaś każdy łańcuszek zakończony blaszką brązową, misternej, ażurowej roboty. Tego kształtu ozdobę znaleziono w kurhanie koło w. Po-

Oprócz wyżej wskazanych, znajdzie czytelnik rozmaite typy fibul wyobrażone na tabl. № VI.

Niektóre przedmioty miały cel podwójny: praktyczny i zarazem dekoracyjny, do takich należą też **Szpile**. Że grały one rolę jako ozdoby ówczesnego stroju, o tem świadczą ich główki kształtu przeważnie krzyżyków, ozdabiane ornamentem z kółek, kresek i punktów.

Prócz opisanych powyżej spotykamy szpile z główką kształtu kółka z krzyżykiem wewnątrz (np. znaleziona w pobliżu wsi Jakminiszki; p. tabl. № I po prawej stronie), lub zwykłego kółka (p. ibidem po stronie lewej, znaleziona koło Podubis) nareszcie nie mniej pospolite są szpile z główką kształtu szpulki, jaką widzimy na tabl. № V, która pochodzi z cmentarzyska koło wsi Jakminiszki. Wszystkie te szpile posiadają u góry uszka, do których przymocowywano bądź to łańcuszek, bądź też zwykły sznurek, lub rodzaj tasiemki.

Prześliczna niezaprzeczenie jest ozdoba, znaleziona w pobliżu m. Pokonie i wyobrażona na tabl. № II. Składa się z dwóch szpilek połączonych z sobą 6 rzędami długich łańcuszków. Szpile służyły prawdopodobnie dla podtrzymania szaty, zapinanej na plecach po obu stronach szyi, podczas gdy łańcuszki spadały malowniczo na piersi.

Jak bardzo rozwinięte było poczucie piękna już za onych odległych czasów, wnosić można z wielkiej ilości **bransolet**, które znajdujemy w naszym zbiorze. Jak wiadomo, bransolety były w użyciu u różnych narodów i w różnych epokach, nosili je mężczyźni narówni z kobietami.

Lecz przypatrzmy się bransoletom, jakie obejmuje zbiór niniejszy. Nadzwyczajna masywność — oto pierwsza i ogólna prawie ich cecha, która na pierwszy rzut oka każdego uderza. Co się tyczy ornamentu i tu jest on nader prymitywny, wciąż te same kółka i kreski, a jednak jakże do serca przemawia właśnie dzięki tej naiwnej prostocie. Pierwsze miejsce należy się tu niewątpliwie bransoletom z grubego prętu brązowego. Są one całkiem pokryte ornamentem, składającym się z podłużnych brózek paralelnych, oraz, w przestankach między niemi, kółek koncentrycznych. Prawie zawsze są te bransolety kształtu owalnego, mają końce albo spojone, czasem zaś nieodknięte. Obydwa rodzaje przedstawia tabl. № III.

Podobnie jak wyżej opisane naszyjniki, tak i bransoletki tego typu stanowią charakterystyczną cechę, właściwą kulturze ludu, który ongi zamieszkiwał ten kraj, i te i tamte bowiem posiadają kształty całkiem ustalone, jak widać pod wpływem wielowiekowej, oryginalnej tradycji. Lecz gdzie szukać należy ich prototypu?

Wielce prawdopodobnem wydaje nam się, że sięgają one czasów wędrówki ludów, której fale i tu prawdopodobnie się odbiły.

Odmienny nieco typ bransolety, znalezionej w pobliżu miasteczka Kiejdany, przedstawia tabl. № III (u góry). Bransoleta ta z pręta czworograniastego, nieco cieńszego ku końcom, zamiast zwykłego ornamentu, ozdobiona dołkami kwadratowymi, wyciśniętymi wzdłuż ostrych kantów.

Niepodobny zgoła do poprzednich, lecz niemniej pospolity jest typ bransolety spiralnej, znalezionej koło wsi Jakminiszki (p. tabl. № V oraz VII). Bransoleta ta zrobiona z długiego, płaskiego prętu, czy wstęgi brązowej, zgiętej spiralnie, na podobieństwo sprężyny, w ten sposób, że po środku jest węższa i rozszerza się na obu końcach. Bransoleta ta liczy jedenaście obrotów, wysokość jej wynosi 0,15 m. Zewnętrzna strona wstęgi ozdobiona ornamentem kreskowym, kształtu „jodełki”. Niezmiernie charakterystycznym jest szczegół, iż nasza bransoletka już za dawnych czasów złamana była w dwóch miejscach i wtedy jeszcze niezmiernie starannie za pomocą miedzianych blaszek złutowana, czego ślady dotychczas są widoczne. Okoliczność ta świadczy, jaką wartość posiadał na ówczas podobny przedmiot w oczach swego właściciela.

Do tego samego typu zaliczyć należy dwie bransolety, znalezione koło Jakminiszek, kręcone spiralnie z drutu brązowego, które widzimy na tabl. № V. Obecnie są one całkiem płaskie, przy użyciu prawdopodobnie rozciągały się lejkowato.

Prześliczna blaszka, kształtu dużego guza, o wypukłości stożkowej pośrodku, otoczona misternym ornamentem, imitującym sznurek, służyła niewątpliwie jako **sprzączka** dla spinania bądź to tkanin, bądź skór zwierzęcych, które stanowiły ubiór ludzi ówczesnych, jednocześnie zaś, obok zadania praktycznego, miała charakter wybitnie dekoracyjny. Dodać należy, że podobne okazy znajdowano dotychczas niezmiernie rzadko. Zbiór nasz posiada jeden taki, znaleziony koło Bojaryszek, doskonale zakonserwowany, podobiznę jego podajemy na tabl. № I u dołu.

Na tejsamej tabl. № I, u góry, znajdzie czytelnik podobiznę przedmiotu dość zagadkowych kształtów. Zbiór nasz posiada takich parę, znaleziono je również w cmentarzysku koło Bojaryszek. Są to cienkie blaszki brązowe, pośrodku posiadają otwór kształtu dziurki od klucza, po brzegach ozdobione koronką roboty ażurowej, oraz obwódką, naśladującą sznurek złożony we dwa rzędy. Blaszki te służyły wyłącznie jako ozdoba, przyczepiano je po obu stronach głowy, koło uszu. Zaznaczyć wypada, że podobne ozdoby, chociaż odmiennego kształtu, napotykamy w wykopaliskach słowiańskich.

Z liczby przedmiotów drobnych wymienić należy **pierścionki**; są one dwójakiego typu: z grubego okrągłego prętu, z końcami zachodzącymi jeden za drugi, posiadają w średnicy rzadko więcej niż 2 cm. (p. tabl. № IV i V) oraz pierścionki z cienkiego drutu, zgięte kilkakrotnie w kształcie spirali. Pierścionki podobne dość pospolite są zwłaszcza w wykopaliskach fińskich, zdarzają się atoli i w słowiańskich kurhanach.

Niezbędną ozdobą stroju kobiecego u wszystkich niemal ludów owych czasów są **paciorki**, w różnych odmianach, o jaskrawych często barwach. Dziwnem przeto wydać nam się musi, że w zbiorze niniejszym prawie całkiem ich nie napotykamy. Trudno brak ten przypisać jakim bądź okolicznościom przypadkowym, które nie pozwoliły kierownikowi wykopalisk wydobyć takowych na powierzchnię. (Zwłaszcza wobec znacznej ilości zbadanych kurhanów. Przyp. Red.) Raczej przypuścić należy, że ten gdzieindziej tak rozpowszechniony typ ozdób kobiecych, tutaj dla jakichbądź warunków miejscowych — bądź to handlowych, bądź innych — mało był używany. Kilka okrągłych, żółtych paciorków, kilka, spłaszczonych, błękitnych, koloru ultramaryny, dalej nieco szklanych, podługowatych, graniastych i owalnych, wiśniowych — oto wszystko co znajdujemy.

Pozostaje jeszcze wymienić dwa okazy, których znaczenie nie jest nam wiadome. Są to brązowe pręty, zgięte w kształcie łuku czy podkowy, z końcami zagiętymi na zewnątrz i ozdobione gałeczkami. Po środku mają otwory na wylot, przez które przechodzi drążek żelazny.

Na tem kończymy pobieżny przegląd tych okazów, które stanowiły bądź to niezbędną część ubioru, bądź to jego ozdobę.

Narzędzia domowe i myśliwskie bardziej jeszcze są jednostajne, wciąż bez końca powtarzają się te same okazy. Szczególnie pospolite są tak zw. „**łomy**“. Jest to ostrze żelazne, nieco skośne, podobne do topora, z otworem lejkwatym u góry zamiast obucha, do którego to otworu wbijano drzewce (pat. tabl. № II u góry).

Od ujścia Wisły, wzdłuż wybrzeży bałtyckich, na całym obszarze północnym Rosji aż do Uralu i na południe aż do gub. tambowskiej włącznie, napotykamy ten sam typ, w cmentarzyskach fińskich są one również pospolite jak w kurhanach w kraju północno-zachodnim. Widocznie podobne warunki bytu, te same potrzeby życiowe, wymagały też takich samych narzędzi, które rozpowszechnione były na olbrzymiej przestrzeni.

Niemniej pospolite są także **żelazca do dzid**. Spotykamy je różnej wielkości i różnych kształtów, czasem ostrze jest długie i wąskie, czasem krótkie i szerokie (p. tabl. № II u dołu). Dzidy

takie służyły oczywiście przedewszystkiem do łowów i dla walki z dzikimi zwierzętami, napastującymi człowieka w niezmiernych, błotnistych puszczech.

Tutaj wymienić należy także **topory**. Są one różnych odmian, masywne, jedne mają ostrze szerokie, inne znowu węższe, te są zazwyczaj dłuższe, mają kształt klinu. Wszystkie te typy toporów spotykamy w wielkiej ilości we wszystkich cmentarzyskach fińskich, gdzie stanowią one niezbędną niejako część inwentarza.

Oprócz powyższych sprzętów domowych posiada zbiór nasz narzędzie żelazne, kształtu dużego **sierpa**, z końcem ostrym, zagiętym pazurkowato. (P. tabl. № II).

W jednym kurhanie znaleziono kamień płaski, owalny, bardzo starannie obrobiony.

Wyroby garncarskie bardzo słabo reprezentowane. Mamy tylko jeden garnek nieduży, stłuczony, wypalony z gliny czerwonej, prymitywnej, ręcznej roboty. (p. tabl. № VII) Niewiemy czy w kurhanach wcale nie było garnków, czy też one z biegiem czasu całkowicie uległy zniszczeniu.

Na tem zamykamy opisanie niniejszego zbioru. Zaznaczyć wypada, że nie po raz pierwszy spotykamy się z okazami tej kultury. Na wystawie, podczas zjazdu archeologicznego w Rydze r. 1896, zgromadzono liczną pokazną wykopalisk tego typu, pochodzących z różnych okolic kraju nadbałtyckiego (por. „Katalog der Ausstellung zum X archäologischen Kongress in Riga 1896“).

Następnie znane są wykopaliska pani Butrymowej, również z gub. Kowieńskiej, koło wsi Pakalniki. Część tych wykopalisk została opisana w wydawnictwie periodycznym, poświęconem archeologii p. t. „Światowit“ (Tom II str. 92—103), druga część tego zbioru została naukowo zbadana przez najpoważniejszego archeologa rosyjskiego A. A. Spicyna, który pracę swą opublikował w „Извѣстіяхъ Императорской Археологической Комисіи“ zeszyt II, tabl. 4, 5, 6“.

Szereg kurhanów został zbadany naukowo przez specjalistę, archeologa wileńskiego Th. Pokrowskiego, rezultat swych prac ogłosił on p. t. „Археологическая карта Ковенской губерніи“, „Къ изслѣдованію кургановъ и городищъ на восточной окраинѣ современной Литвы“, „Труды Виленскаго археологическаго съѣзда“ oraz inne. Bałtyckie wybrzeże oraz przyległe kraje nad dolnym biegiem Niemna, nad Wilją i Dźwiną były w czasach zamierzchłych widocznie gęsto zaludnione (oczywiście — stosunkowo, jak na owe czasy), to też historyczna ta ziemia we wnętrzu swem kryje znaczną ilość pamiątek, które świadczą o minionem życiu, o bytowaniu ludu, zamieszkującego te okolice i o jego kulturze. Otóż te zabytki odległej przeszłości, staną się nieocenionym ma-

terjałem dla badaczy owej wielostronnej i ciekawej kultury, która niegdyś panowanie swe rozciągała nad tym krajem puszczy, jezior i moczarów.

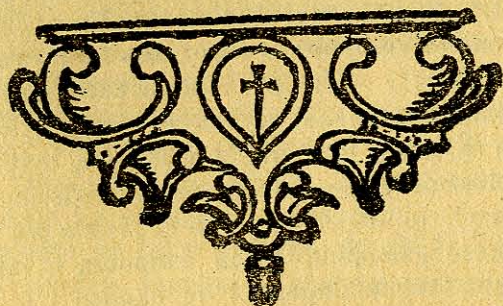
Niestety wszelkie odnośne badania są dotychczas w stadium początkowym i nauka nie może jeszcze odpowiedzieć z pewnością na takie kardynalne pytania: jaki lud zamieszkiwał ten kraj, posługiwał się temi oto narzędziami, stroił się w te ozdoby, które obecnie po wielu wiekach ujrzały światło dzienne. Nie możemy także ściśle oznaczyć z jakiego pochodzą czasu.

Plemiona słowiańskie z jednej, fińskie z drugiej strony pierścieniem okalały ludność tubylczą, litewską, zamieszkującą ujścia Wisły, Niemna i Dźwiny. Jakie były wzajemne stosunki tych ludów i wpływ obustronny na rozwój kultury miejscowej—to z czasem tylko uda się wyświecić na podstawie bogatego materiału archeologicznego.

Kwestją pierwszorzędnej wagi byłoby porównanie naszych materiałów z wykopaliskami pruskimi, może w ten sposób udało by się wyjaśnić pochodzenie tych form i typów, których nienapotykamy ani u Słowian, ani też u Finów. Po zatem jednak niewątpliwie największy wpływ na ukształtowanie się życia w tym kraju wywarła kultura fińska, jako też z drugiej strony zabytki fińskie wykazują widoczne ślady wpływów kultury nadbałtyckiej.

Co się tyczy czasu, z jakiego pochodzą opisane przez nas wykopaliska — najbardziej prawdopodobnym wydaje nam się wiek VIII naszej ery, chociaż pewne wahania w tę lub drugą stronę są możliwe, w każdym razie wiele okoliczności zdaje się za tem przemawiać, że pochodzenie ich jest raczej starsze niż późniejszej daty. Wobec dzisiejszego stanu wiedzy archeologicznej należy po prostu przestać na takim określeniu, dopóki nowe, szczegółowe dane nie rozstrzygną ostatecznie tej kwestji. W końcu wypadła jeszcze zaznaczyć, iż opisane przez nas wykopaliska pochodzą z kurchanów powstałych najwyraźniej w różnych epokach.

Mikołaj Makarenko.



Mickiewicz i Goethe.

Piotr Chmielowski w swej kapitalnej pracy o Mickiewiczu poświęca oddział osobny pobytowi wieszcza naszego w Weimarze u nestora poetów niemieckich, ośmdziesięcioletniego naonczas Goethego. Jakkolwiek wizyta ta nie wywarła wyraźnego i bezpośredniego wpływu na dalszej twórczości Adama, niewątpliwie pamięć tych chwil niezatarty ślad zostawić musiała w umyśle naszego poety, albowiem być przyjętym przez Goethego, widzieć go na własne oczy, słyszeć słowa z ust jego — stanowiło naonczas zaszczyt o jaki dobijały się tysiące, którego dostąpili tylko — wybrani.

Dziś, gdy w rosnącej coraz perspektywie czasu, różnica, która dzieliła w onczas wielkiego starca od młodego gościa, nieznanego przybysza z dalekich, północnych stron, kurczyć się i zacieierać zdaje, gdy postać Mickiewicza wyolbrzymiała, wyrosła ponad szary tłum, i świeci w blasku nieśmiertelnej chwały — owo spotkanie dwóch największych umysłów, jakich wydały dwie rasy — germańska i słowiańska — nabiera w oczach naszych szczególnego znaczenia, to też wyjaśnienie nawet drugorzędnych szczegółów tego spotkania wydaje nam się nie pozbawionem interesu.

Gdy chodzi o dane biograficzne dotyczące tej epoki życia naszego poety, nieocenionem źródłem są „Listy z podróży“ Odyńca, na nich też przeważnie oparł Chmielowski opis pobytu Adama w Weimarze. Jak ostrożnie i krytycznie traktować należy relacje nawet świadków naocznych, tego dowodzi błąd, powtarzany za Odyńcem przez wszystkich biografów, który w niniejszej pracy postaramy się wyjaśnić i sprostować.

Oto w krótkim streszczeniu są główne momenty pobytu Mickiewicza w Weimarze:

Dn. 17 sierpnia 1829 r. wieczorem Mickiewicz z Odyńcem zjechali do Wejmaru i stanęli w rynku w hotelu „pod Słoniem”. Mickiewicz miał od Szymanowskiej listy polecające zarówno do samego Goethego, jak i do jego synowej Otylii. Udał się naprzód do tej niższej instancji. Przyjęciem był zachwycony. Pani Otylia zaprosiła Mickiewicza i jego towarzysza na wieczorną herbatę, obiecując przesłać list Szymanowskiej Goethemu, który latem mieszkał za miastem, gdzie miał dom własny z ogrodem.

Wieczorem o ósmej nasi podróżni udali się do salonu Otylii, w którym zastali jej męża, Augusta, przyjaciółką panną Pappenheim, oraz dwu przyjaciół domu, głośnego swemi rozmowami z Goethem Eckermanna oraz Peucera. W ciągu wieczoru przyszedł list Goethego do Otylii, w którym zawiadomił, że poetów polskich przyjmie nazajutrz w południe.

Dn. 19 sierpnia elegancki powozik Otylii, przysłany po gości z powodu deszczu, zawiózł ich do willi Goethego. Przyjęcie było nadzwyczaj uprzejme, o ile szczere — wątpić należy, jeżeli się porówna list Goethego do Zeltera, w którym narzeka gorzko na stratę czasu spowodowaną nieustannymi odwiedzinami „dobrych i kochanych przyjaciół, którzy nic nie przynoszą ani nic nie unoszą z sobą”.

Tegoż dnia na obiedzie u Otylii siedział Mickiewicz między gospodynią domu a wielkim poetą, prowadząc z nim rozmowę.

Przez dni siedm podróżni nasi byli jedynymi gośćmi u synowej Goethego; przyjmowano ich więc i bawiono. Mickiewicz chciał wprowadzić przyspieszyć wyjazd, ale dał się Otylii namówić do zostania przynajmniej na 28 sierpnia, w którym miała być obchodzona 80 rocznica urodzin Goethego.

Już 24 sierpnia rozpoczął się napływ gości do Wejmaru. W dniu tym Mickiewicz poznał się z dwoma francuzami: Dawidem d'Angers, rzeźbiarzem i młodym literatem Wiktorem Pavie.

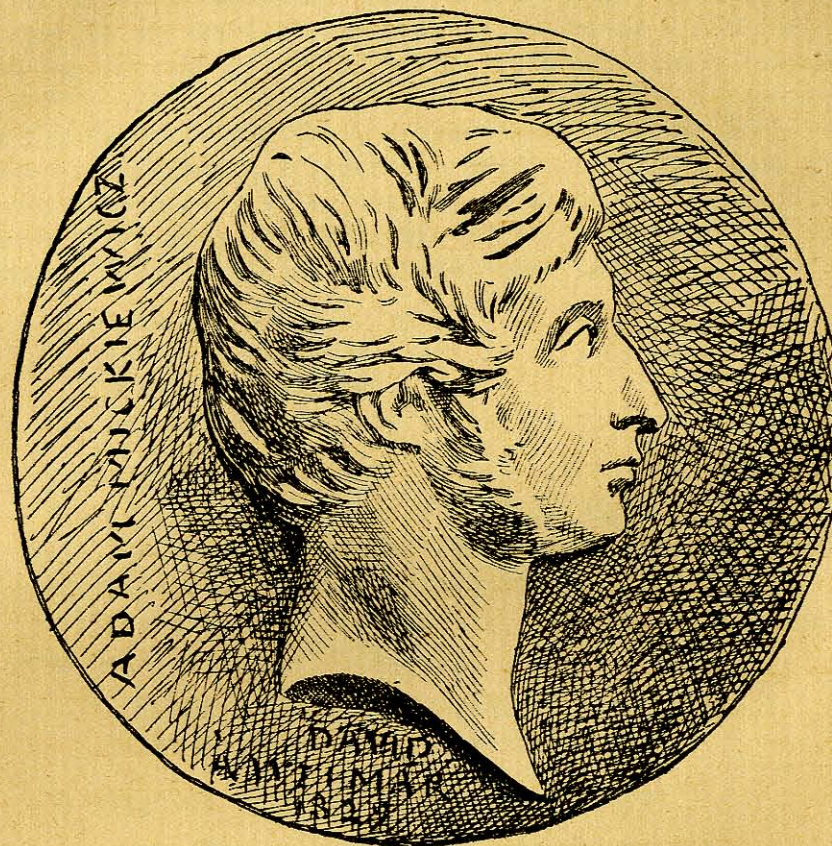
Tegoż jeszcze wieczoru zaproszeni byli wszyscy do Otylii, gdzie znajdował się znowóż sam Goethe.

Nazajutrz był obiad na cześć Davida. Goethe był na nim; w ogóle przeniósł się do miasta, ażeby się oddać całkowicie przyjmowaniu napływających gości. Mickiewicz obecny był zarówno na tym obiedzie jak i na późniejszych wieczorkach.

Dn. 28 sierpnia grono przybyłych gości z Mickiewiczem udała się do mieszkania Goethego dla złożenia mu powinszowań.

W dniu następnym był obiad u Goethego, zaproszono nań tylko cudzoziemców a więc i naszych podróżnych. Wieczorem było przedstawienie „Fausta” poczem wieczór u Otylii.

Dn. 31 na wieczorze u Otylii nastąpiło pożegnanie. Na tym wieczorze dla uczczenia odjeżdżających gości podano szampana.



ADAM MICKIEWICZ

z medaljonu wykonanego przez rzeźbiarza francuzkiego Davida w czasie pobytu wieszcza w Wejmarze 1829 r.

„Papa Goethe przyszedł po ósmej i bawił około dwóch godzin. Ośmielony jego łagodnem spojrzeniem — pisze Odynec — odważyłem się przedłożyć mu sam prośbę, którą już przedtem Adam porucił był pośrednictwu pani Otylii, to jest prosić go o własnoręczny podpis jego imienia i o dwa zużyte pióra. Uśmiechnął się, skinął czołem... Odchodząc wziął Goethe świecę ze stołu i stanawszy już we drzwiach, odwrócił się raz jeszcze i jakby od ust ręką ku nam skinął... W 10 minut, wnuk jego starszy przyniósł nam dwie złotobrzeżne kartki, jak do sztambucha, z napisanym już dawniej (sic), jak widać, czterowierszem *na każdej* (sic), charakterem niemieckim, z podpisami: Goethe, na których data tylko dzisiejsza świeżo napisana, oraz dwa pióra, odarte z pierza i starannie w kształcie igły, cieńszym końcem w rozczepiony środek włożone. Czterowiersz na kartce mojej jest taki:

„Diese Richtung ist gewiss,
Immer schreite, schreite,
Hinderniss und Finsterniss
Bleiben dir bei Seite!“

Tyle Odynec.

P. Chmielowski natomiast twierdzi, że kartki były drukowane (sic) „na kartce Mickiewicza były 3 strofy sześciowierszowe, w których Goethe wysławiał dobroczynny wpływ przyjaźni“.

Wł. Mickiewicz w „Żywocie“ II, 47 przytacza ten wiersz w przekładzie Seweryny Duchńskiej.

„Wątek dni naszych dziwnie się mota;
Jutra niepewne skarby żywota i t. d.“

W oryginale wiersz ten zaczyna się od słów:

„Des Menschen Tage sind verflochten,
Die schönsten Güter angefochten,
Es trübt sich auch der freiste Blick... i t. d.“

Wiersz się kończy zdaniem że:

„Wohlwollen unser Zeitgenossen
Das bleibt zuletzt erprobtes Glück“.

Ogółem liczy ten poemacik 18 wierszy i był napisany przez Goethego „dla przyjaciół“ akurat na trzy lata przed przyjazdem Mickiewicza do Wejmaru, 28 sierpnia 1826 r.

Co się tyczy czterowiersza ofiarowanego Odyńcowi, jest to pierwsza strofa poematu „Neugriechische Liebe - Skolien“

Pierwotnie brzmi ona nieco odmiennie:

„Diese Richtung ist gewiss,
Immer schreite, schreite!
Finsterniss und Hinderniss
Drängt mich nicht zur Seite“.

Nie trzeba zbyt wielkiej przenikliwości, aby wykazać, jak niezgodna z prawdą jest relacja Odyńca. Nieprawdopodobnem się wydaje, aby starzec - Goethe, który przedewszystkiem umiał cenić czas, tak rozrzutnie by go trwonil na... przepisywanie swoich wierszów (zwłaszcza tak długiego jak „Des Menschen Tage sind verflochten...“). Również niemożliwem jest, aby przepisał obydwa wiersze w ciągu kilku minut, które upłynęły od chwili gdy pożegnał naszych podróżnych, aż do chwili gdy wnuk jego wniósł do salonu owe dwie złoto-brzeżne kartki. Odyńec zaznacza wprawdzie, że wiersze napisane były „już dawniej“, zapomina jednak, że pożegnanie odbyło się u Otylii, Goethe miał w Weimerze własne mieszkanie, jeżeli więc nawet przypuścimy, że przygotował owe dwa bilety wcześniej, niezrozumiałem wydać się musi, jaką drogą trafiły one do mieszkania jego synowej.

Dla tego bardziej prawdopodobna jest wersja podana przez Chmielowskiego, że kartki owe były drukowane. Rzeczywiście wyjaśnionem zostało przez biografów Goethego, że wielki mistrz z Weimaru oblegany przez rzeszę wielbicieli i historyczne zbieraczki autografów (zwłaszcza angielski), wydrukować kazał zwrotkę powyższą „Die Richtung ist gewiss“ oraz wiersz napisany „dla przyjaciół“ „Des Menschen Tage sind verflochten“ na złoto-brzeżnych kartkach, którymi w chwilach dobrego humoru uszczęśliwiał swych przygodnych znajomych. Spory zapas tych biletów posiadała także Otylja, która hojnie szafując niemi starała się wynagrodzić zawód tym wszystkim, którzy nie dostąpili zaszczytu widzenia Goethego.

Nie mamy powodu wątpić, iż Odyńec obdarzony został taką właśnie kartką, co do Mickiewicza, śmiemy stanowczo twierdzić, że otrzymał on owego wieczoru przy pożegnaniu *własnoręczny* wiersz Goethego, dla niego specjalnie napisany.

Co skłoniło Odyńca milczeniem pominąć ten właśnie najciekawszy szczegół — domysleć się nie trudno. Powód mógł być dwójaki: albo Adam, widząc że przyjaciel otrzymał tylko drukowaną kartkę, kierowany właściwym sobie taktem, zataił swą, albo też zraniona miłość własna autora „Listów z podróży“ w ten sposób kazała mu zatrzeć różnicę, jaką Goethe zaznaczył między nim a Mickiewiczem.

Dziwnem natomiast wydać się musi, że tak sumienny biograf, jakim niezaprzeczenie jest Piotr Chmielowski, błędnie przedstawia

ten epizod, gdy dla wyjaśnienia prawdy potrzeba było właściwie tak niewiele... wystarczyło dokładnie przejrzeć wiersze okolicznościowe w któremkolwiek z kompletnych wydań Goethego, tam znalazł by niezawodnie następujący:

An Madame Szymanowska

mit einer angeschriebenen Feder.

Dem Dichter widm'ich mich, der sich erprobt
Und unsre Freundin heiter—gründlich lobt.

Że powyższy dwuwiersz, błędnie przez wydawcę pośmiertnych prac Goethego przypisany Szymanowskiej, jest właśnie tym, który Goethe ofiarował Mickiewiczowi przy pożegnaniu u Otylii dn. 31 sierpnia 1829 — to udowodnić jest zadaniem niniejszego artykułu. Dla tego musimy zwrócić się nieco wstecz, by wyjaśnić te okoliczności, które skłoniły Goethego do napisania tej drobnostki, nie odznaczającej się zresztą polotem poetycznym.

Jeżeli raz jeszcze przywołamy sobie na pamięć niektóre szczegóły z pobytu Mickiewicza w Weimarze, mimowoli uderzyć nas musi pewna dwulicowość i niekonsekwencja w postępowaniu Goethego. Po za plecami gorzko narzeka wobec zaufanych przyjaciół na owych gości, którym „musi robić honory“, którzy odrywają go od pracy „nic nie przynosząc ani nic nie unosząc z sobą“. Osoba Mickiewicza tak mało go interesuje, że nie spamiętał nawet jego nazwiska, notując w dzienniczku swoim krótko „Die beiden Polen“. W oczy zaś jest niezmiernie uprzejmy, podczas obiadu sadza Mickiewicza obok siebie, wyróżnia go widocznie, w końcu ofiaruje mu własnoręczny wiersz. Pani Otylja dzielnie mu sekunduje, zaprasza codziennie podróżnych naszych, wprowadza ich w koło swoich znajomych, zwiedza z nimi osobliwości Weimaru oraz okolice miasta, w razie deszczu ofiarowuje im własny powóz, jest niezmordowana w okazywaniu gościnności. Przyjęcie musiało mieć wszelkie pozory szczerej serdeczności, inaczej tak ambitny młodzieniec jakim był Mickiewicz nie potrafił by zadowolnić się rolą natręta i to w ciągu niemal dwu tygodni.

Ta niezwykła uprzejmość Goethego i jego rodziny wobec Mickiewicza dziwną nawet wydać nam się może, jeżeli zważymy, że wieszcz nasz liczył na onczas dopiero 30 lat i nazwisko jego mało znane było po za granicami kraju. Dodajmy jeszcze, że mistrz z Weimaru w przeciwstawieniu do innych poetów niemieckich: Szyllera, Uhlanda, Lenaua, Körnera, wcale nieprzychylnie usposobiony był dla naszej narodowości. Nie wszystkim może wiadomo, że naród „der Dichter und Denker“ swemu największemu poecie zawdzięcza także pierwszy projekt antypolski: Było to po drugim kraju rozbiorze, po wcieleniu ogromnej polaci

aż po Wisłę rdzennie polskiej ziemi do królestwa pruskiego: Goethe, nie widząc w tem zresztą pogwałcenia czyichkolwiek praw, zainteresował się tym faktem i wtedy już uznał za konieczne, celem ścisłego i trwałego zespolenia nowych prowincyj z Prusami, jaknajprędsze, całkowite zniemczenie ludności polskiej. W tym celu nie posuwa się wprawdzie do tych konsekwencji do jakich dziś doszedł rząd pruski pod wpływem hakatystycznej propagandy, projektów swych nie opiera na środkach gwałtownych, wykluczając na razie przymus, natomiast doradza rządowi stworzenie szeregu wędrownych trup teatralnych, które objeżdżając kraj zdobyty urządziłyby we wsiach i miasteczkach darmowe widowiska. Repertuar tych teatrów ma być specjalny, sztuki jakkolwiek grywane w języku niemieckim, dzięki wyrazistej mimice mają być zrozumiałe dla ludu polskiego. Goethe szkicuje nawet w rysach najogólniejszych treść takiej sztuki: ma ona przede wszystkim wykazać wyższość kultury niemieckiej nad barbarzyńską kulturą polską, zarazem zaś wykazać jakie korzyści każdemu Polakowi zapewnić może znajomość języka niemieckiego. Bohaterem sztuki ma być Polak zniemczony, który strojem i obyczajem dodatnio różni się od ciemnego i śmiesznego tłumu swych rodaków i w końcu dzięki swej umiejętności języka niemieckiego zyskuje bogactwa, stanowisko wpływowe i t. p.

Jak widać tendencja nieprzynosi zaszczytu autorowi Egmonta.

Przytoczyliśmy nawiasowo ten szczegół, aby scharakteryzować stanowisko Goethego wobec Polski i Polaków.

W oczach Goethego Mickiewicz był niczem więcej jak przygodnym wędrowcem, młodzieńcem bez nazwiska, który podobno niezłe pisywał wierszyki w mowie obcej, barbarzyńskiej... Jeżeli mimo to uważał za konieczne w ciągu dwu tygodni robić honory „Polakowi“, podejmując go na równi z Davidem, Pavie, Caudray'em, Hummelem, Holteiem, Queteletem i innymi wybranymi gośćmi, których nazwiska na on czas głośne były na zachodzie, miał niezawodnie ku temu ważne powody.

Takim powodem, aż nadto wystarczającym, by zapewnić Adamowi jaknajlepsze przyjęcie w Weimarze, był list polecający, skreślony ręką Marji Szymanowskiej. Wiadomem jest o ile „radca tajny“ i „minister“ von Goethe dbały był o względy możnych tego świata, o tyle wielki poeta do końca życia potrafił zachować cześć prawdziwie rycerską dla płci nadobnej. Jakże więc mógłby odmówić prośbie osoby tak blizkiej sercu jego jaką była Szymanowska, tembardziej że uważał Mickiewicza za... rywala swego i następcę... szczęśliwszego, bo młodego. Nieprzyjacień go więc, lub przyjaciel ozięble mogło być poczytywanem za oznakę bez-

silnej zazdrości—na to nie pozwalała duma mężka ośmdziesięcioletniego starca.

Znajomość Goethego z Marją Szymanowską *) datuje z roku 1823. Było to w Marjenbadzie, siedmdziesięcio czteroletni na onczas Goethe, złamany utratą młodzieńczej bo 19 letniej zaledwo Ulryki von Levetzov, dla której wielkie serce poety zapłonęło młodzieńczym ogniem, niespodzianie spotyka na drodze swej anioła-pocieszyciela w osobie głośnej na onczas pianistki, 28-mioletniej Marji Szymanowskiej (ur. Wołowskiej). Wysoce utalentowana artystka stara się goić rany serdeczne początkowo czarem muzyki, niebawem stosunek staje się poufny, wtedy to Goethe w prześlicznym wierszu poświęconym Szymanowskiej opisuje swe cierpienia i przejścia serdeczne oraz odrodzenie pod wpływem nowego uczucia.

Drobne to arcydzieło, wyśpiewane z głębi duszy, jakkolwiek ogólnie znane, nie wahamy się przedrukować, albowiem znakomicie charakteryzuje położenie i dopełnia całokształt obrazu.

An Madame Marie Szymanowska.

Die Leidenschaft bringt Leiden!—Wer beschwichtigt
Beklommnes Herz dich, das zu viel verloren?
Wo sind die Stunden, überschnell verflüchtigt?
Vergebens war das schönste dir erkoren!
Trüb ist der Geist, verworren das Beginnen;
Die hehre Welt, wie schwindet sie den Sinnen!

Da schwebt hervor Musik mit Engelsschwingen,
Verflucht zu Millionen Tön'um Töne,
Des Menschen Wesen durch und durch zu dringen;
Zu überfüllen ihn mit ew'ger Schöne:
Das Auge netzt sich, fühlt im höhern Sehnen
Den Götterwerth der Töne wie der Thränen.

Und so das Herz erleichtert merkt behende,
Dass es noch lebt und schlägt und möchte schlagen,
Zum reichsten Dank der überreichen Spende
Sich selbst erwiedernd willig dar zu tragen,
Da fühlte sich — o das es ewig bliebe! —
Das Doppleglück der Töne wie der Liebe.

Poeta niedwuznacznie wyznaje, że muzyka była niejako wyrazem innego, głębszego uczucia, była przedśionkiem do świątyni

*) Por. Czesław Jankowski «Przyjaciółka Poetów» «Kraj» 1899 r. № 32.

— miłości. Czy sędziwy lecz pełen jeszcze zapału wieszcz i młoda artystka przekroczyli próg tej świątyni by złożyć wspólną ofiarę na jej ołtarzach — to pozostało nazawsze tajemnicą.

Ogół nasz miewał zawsze katońskie usposobienie, a raczej może przesadnie rozwinięte poczucie burżuazyjnej przyzwoitości, to też Szymanowska, by nie wywołać zgorszenia wśród swoich, wolała w późniejszych latach zachowywać dyskretne milczenie o swej marjenbadzkiej idylli. Inaczej w Niemczech; tam każda kobieta na której bodaj przez chwilę „spoczął z upodobaniem wzrok Olimpijczyka“ uważana była za wybraną i przez to samo ponad wszelkie posądzania wzniesioną, to też Goethe, nie obawiając się narazić ukochanej osoby na płaskie i niegodne zarzuty, otwarcie mógł wyznawać swoje sympatje i jeżeli w tem co pisał była może *licentia poetica*, to z postępowania jego, z rozmów z przyjaciółmi wynika, iż było to głębsze i szersze uczucie, które mimo prędkiego rozstania się do końca życia we wdzięcznej zachował pamięci.

Nie szczędząc hołdów i kadzidła pani Szymanowskiej, jej talentom i piękności, jednocześnie jak przystało na prawdziwego „kawalera“ Goethe otaczał względami jej siostrę, pannę Wołoską, robiąc jej honory, obsypując komplementami i pisząc do albumu zgrabne wierszyki. Panna Wołoska „młoda, ładna i pełna wdzięku“ jak ją sam Goethe charakteryzuje, miała pewną wadę: lubiła często wspominać o swych cierpieniach, przeważnie urojonych i nawet przepowiadała sobie rychłą śmierć. Gdy z tego powodu pewien znajomy napisał do jej albumu żartobliwy testament, Goethe uzupełnił go następującą zwrotką:

„Dein Testament vertheilt die holden Gaben,
Womit Natur Dich mütterlich vollendet,
Vermächtniss nach Vermächtniss ausgespendet,
Zufrieden jeder seinen Theil zu haben.
Doch wenn Du glückliche za machen trachtest,
So wär es der, dem Du Dich ganz vermachtest“.

Również pannie Wotowskiej poświęcony jest następujący wierszyk:

„Dass man in Güter dieser Erde
Zu teilen sich bescheiden werde,
Singt manches alt und neue Lied.
Und wären's zarte Liebesgaben,
Mit wem wir sie zu teilen haben
Das macht den grossen Unterschied“.

Lato minęło prędko i gdy nadszedł czas wyjazdu z Marjen-



Marija Szymanowska.

Podług lit. Oleszkiewicza. Ze zbiorów „Kwartalnika litewskiego“.

badu Goethe potrafił nakłonić Szymanowską aby się udała do Wejmaru. Chętnie przystała na tę podróż, którą po sześciu latach sądzono było odbyć Mickiewiczowi w towarzystwie Odyńca. Pobyt Szymanowskiej w Weimarze jesienią 1823 r. był szeregiem tryumfów, jak o tem świadczą „Rozmowy z Goethem“ *) spisane przez przyjaciela jego, kanclerza dworu wejmarskiego, Fryderyka Müllera. Sędziwy mistrz na cześć damy swego serca urządzał wykwintne zebrania towarzyskie, wprowadził ją na salony księcia Karla Augusta, osobiście zajął się jej koncertem. Zaś gdy przyszła pożegnania chwila nie zdołał powstrzymać łez. „W milczeniu—pisze Müller—przycisnął do piersi panią Szymanowską i długo wzrok jego przeprowadzał ją znikającą w szeregu komnat“. „Tej nie zrównanej kobiecie—zwierzał się później Goethe przed przyjacielem—zawdzięczam niezmiernie wiele. Znajomość jej i jej talent wróciły mi do życia“.

Wzruszenie, które w chwili rozstania opanowało Goethego jest zrozumiałe—w osobie Szymanowskiej zegnał on ostatnią swą miłość, ostatni, późny przeblask bogatej swej młodości. Wprawdzie w sześć lat potem jeszcze syn poety August twierdził żartobliwie o ośmdziesięcioletnim ojcu „qu'il est capable de s'amouracher encore aujourd'hui“, niewątpliwie chodziło tu o zwykły flirt, który się stał niejako potrzebą życiową, głębsze uczucie nie zawitało więcej w piersi olimpijczyka.

Lżejsze niewątpliwie było to rozstanie dla Szymanowskiej. Podróż, nowe wrażenia, nowe otoczenie i nowe tryumfy zacierały stopniowo w umyśle wrażenia ostatnich miesięcy. Mimo to nie zrywała ona bynajmniej stosunku, podtrzymując do końca ożywioną korespondencję z Goethem, z jego rodziną (zwłaszcza z panią Otylją) oraz ze wspomnianym wyżej Müllerem.

W listopadzie 1827 roku Szymanowska zjeżdża do Moskwy z zamiarem dawania koncertów. W pełnym rozkwicie talentu i kraszy niewieściej 32 letnia naonczas artystka wnet widzi się otoczoną przez młodzież zarówno rosyjską jako też bawiących w Moskwie Polaków. W pierwszym szeregu jej wielbicieli widzimy młodego wieszczą naszego Adama, który na cześć ubóstwianej powszechnie artystki układa prześliczny wierszyk:

„Na jakimkolwiek świata zabłysnęłaś końcu,
Tobie wieszczę, jak Gwebry indyjskiemu słońcu,
Chylą czoła wieńczone w nieśmiertelne liście,
I arf tysiącem Twoje opiewają przyjście... i t. d.“

Stosunek między poetą a uroczą fortepjanistką zawiązuje się

*) «Gespräche mit Goethe» 1895.

niebawem bardzo serdeczny; przerwany chwilowo wyjazdem Mickiewicza do Petersburga, bardziej jeszcze ścisłym i zażyłym się staje po przeniesieniu się Szymanowskiej na stałe do stolicy nadnewskiej, dokąd ją wezwała cesarzowa na nauczycielkę muzyki do swej córki. Najmilszym gościem w domu Szymanowskiej był Adam. Jego przyjaźń serdeczna niewątpliwie schlebiać musiała artystce, za którą jak mogła starała się odwdziaczyć. Z iscie niewieścią zabiegliwością i delikatnością poznała niebawem wszystkie drobne troski poety, jako też jego plany na przyszłość. Dowiedziawszy się, że zamierza wyjechać zagranicę, że pragnie być w Wejmarze, poznać Goethego, obiecuje mu dać listy polecające. Wiedząc atoli jak trudny naogół był przystęp do Goethego postanawia zawczasu przygotować teren. Piszac tedy do Müllera jak gdyby od niechcienia wspomina o młodym genialnym poecie polskim, załącza też kilka drobnych próbek jego poezyj w tłumaczeniu Karoliny Jänisch, młodocianej uczennicy i wielbicielki Mickiewicza. Jakie to były owe „drobne poezje“ z których po raz pierwszy Goethe miał się dowiedzieć o talencie naszego poety — niewiemy, przypuszczamy jednak że między innymi był tam także wierszyk Adama poświęcony pani Marji:

„Na jakimkolwiek świata zabłysnęłaś końcu“...

Całkiem zrozumiała zresztą próżność kobiety i artystki aż nadto tłumaczy taki wybór.

W jesieni 1828 r. Szymanowska ponownie pisze do Müllera, w liście znowu jest mowa o Mickiewiczu, o jego uwielbieniu dla geniuszu Goethego i o tem jakie to szczęście byłoby dla młodego poety gdyby mógł posiadać na pamiątkę od ubóstwianego mistrza pióro zużyte. Obiecuje także niebawem nadesłać w przekładzie większy poemat Mickiewicza, mianowicie Konrada Wallenroda.

Pani Szymanowska niemyliła się przypuszczając, że każde jej słowo dokładnie powtórzone zostanie Goethemu.

Dn. 13 listopada nadeszła odpowiedź od Müllera.

„Si Mr. de Goethe n'a point encore delivré la plume, que Vous avez désirée pour Mr. Mitckiewitz, il ne faut pas en conclure, que de petites, mais charmentes poesies, que Vous avez eu la bonté de me transmettre, n'ayent point obtenu le suffrage de notre Nestor — Poete. Au contraire, la vraie cause de ce retard ne doit être attribué qu'à l'idée qu'il a prise de joindre à la plume quelques lignes de sa main pour l'interresant Poëte et je vous promets bien lui fair executer cette idée à la première occasion. Elle se presentera le plus naturellement du monde, si

vous pouvez me fair passer bientôt la traduction de „Conrad Wallenrod“ comme Votre dernière lettre m'a fait éesperer.“

Dalszej korespondencji Müllera i Szymanowskiej nie posiadamy, musieli jednak niewątpliwie zamienić w tej sprawie jeszcze kilka listów, musiała też p. Szymanowska wysłać zapowiedzianego wcześniej „Konrada Wallenroda“ w tłumaczeniu panny Jänich, a raczej wyjątki z tego poematu, gdyż Goethe podczas pierwszej wizyty Adama wyraźnie o tem wspomina.

Czy wysłał Goethe przeznaczony wiersz i pióro dla Mickiewicza na ręce pani Szymanowskiej? Oczywiście nie; gdyż inaczej Adam nie ponowił by prośby swej w Wejmarze. Widocznie Goethe dowiedziawszy się z późniejszych listów pani Szymanowskiej o rychłym wyjeździe Mickiewicza (opuścił Petersburg 15 maja 1829 r) wolał się wstrzymać, by osobiście wręczyć naszemu poecie ten upominek, to też gdy przy pożegnaniu u pani Otylji Odyniec odważył się przełożyć mu tę prośbę, Goethe nie wahał się ani chwili, gdyż był przygotowany na to niemal od pół roku i niewątpliwie miał już ułożony wierszyk dla Adama.

Jaki był to wiersz? Oczywiście ani wyjęta ze zbioru „Neugriechische Liebeskolien“ strofa „Diese Richtung ist gewiss“, ani też napisany przed trzema laty w dniu urodzin „dla przyjaciół“: „Des Mynschen tage sind verflochten“. Zdaje się nie podlegać wątpliwości iż był to właśnie przytoczony powyżej dwuwiersz:

„Dem Dichter widm ich mich, der sich erprobt
Und unsre Freundin heiter - gründlich lobt“

Co się tyczy nadpisu nad tym wierszem „An madame Szymanowska“, jest to błąd oczywisty, co wynika już z pierwszych słów wierszu „Dem Dichter (sic) widm ich mich“, jako też zdaje się niepodlegać kwestji, że poetą tym był nikt inny tylko właśnie Adam. Błąd ten daje się w ten sposób objaśnić, że Goethe, napisawszy wcześniej swój wiersz, gdy Mickiewicz jeszcze w Petersburgu bawił, zanotował obok adres pani Szymanowskiej, zkaż następnie wydawca wziął asumpt przypisać go naszej artystce. Dodać wypada, że w nowszych wydaniach dzieł Goethego nazwisko Szymanowskiej usunięte zostało, zamiast niego wierszyk figuruje pod właściwym tytułem:

„An den Dichter Adam Mickiewicz
mit einer angeschriebenen Feder 1829“.

Pozostaje wyjaśnić w kilku słowach znaczenie tego dwuwiersza. Tłumaczenie jego dosłowne brzmi: „Polecam się poecie, który siebie wypróbował i przyjaciółkę naszą wesoło a gruntownie umie chwalić (opiewać)“.

Kogo należy rozumieć pod słowem „przyjaciółka“? Pierwotni

komentatorowie niemieccy przypuszczali, że mowa tu o Muzie, której obydwa—Goethe i Mickiewicz—służyli. Znając atoli stosunek Goethego i Mickiewicza do pani Szymanowskiej śmiało twierdzić można, że nikogo innego jeno ją właśnie Goethe miał na widoku. Tembardziej że znać musiał niewątpliwie wiersz Adama napisany dla p. Szymanowskiej:

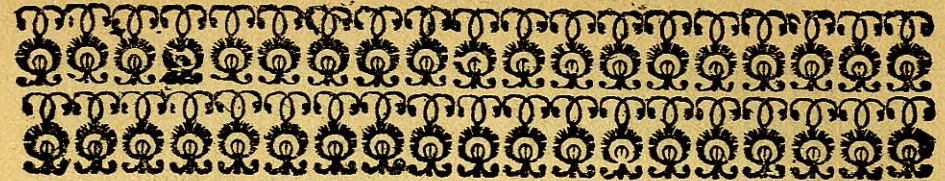
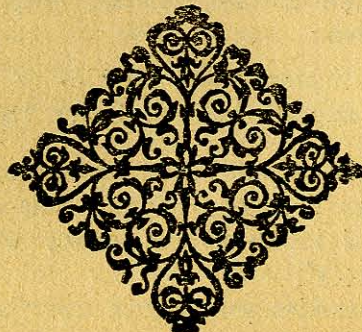
„Na jakimkolwiek świata zabłysnęłaś końcu“.

Pierwsze słowa, któremi sędziwy wieszcz powitał swych gości—Mickiewicza i Odyńca—przybyłych do Weimaru, dla złożenia mu hołdu, były: „Il m'est très agreable de voir les amis de M-me Szymanowska, qui m'honore aussi de son amitié“. Poczem dalej jeszcze mówiąc o niej dodał: „Elle est charmante comme elle est belle: et graciuse comme elle est charmante“. W ostatniem swem pozdrowieniu dla naszego poety podkreślił aż nazbyt może wyraźnie, że szacuje go przedewszystkiem jako barda opiewającego talent i wdzięki pani Szymanowskiej.

Nie chcemy ztąd wyprowadzać żadnych wniosków, wyjaśnwszy jak nam się zdaje dostatecznie sprawę owego wiersza, dodać wypada, że bynajmniej nie przeceniamy tego faktu, nie dopatrując się w tem chluby dla Mickiewicza, dla literatury naszej i narodu. Z drugiej strony nie myślimy robić zarzutu Goethemu, zato, że zajęty obchodem swej ośmdziesiątej rocznicy urodzin, nie chciał i nie mógł poznać się na Mickiewiczu, honorując go wyłącznie przez wzgląd na p. Szymanowską, dla której jak widać niewygasłe jeszcze w piersiach nosił uczucie.

Czas mija, gwiazda Mickiewicza, która wtedy dopiero rozblęśla, dziś jaśnieje w pełnym swym blasku. Muzykalnych tryumfów pani Szymanowskiej nikt zgoła nie pamięta, o wdziękach, któremi wszystkich czarowała, świadczy załedwo kilka litografij, które do naszych czasów się przechowały i stanowią niemal rzadkość. Jeżeli mimo to nazwisko jej przeszło do potomności, to jedynie jako przyjaciółki dwóch największych mężów swego czasu: Goethego i Mickiewicza.

Jan Obst.



SILVA RERUM.

Wiadomość o grobie, pomniku i niektórych szczątkach K. Bekiesza.

Od p. S. Zasztowta zasłużonego badacza starożytności wileńskich i skrzętnego zbieracza, którego stałem poparciem wydawnictwo nasze się szczyci, otrzymujemy nader ciekawy i nigdzie dotychczas nie ogłoszony rękopis Michała Homolickiego następującej treści:

Kasper Bekiesz, niegdyś spółzawodnik Stefana Batorego w ubieganiu się o księstwo Siedmiogrodzkie, a później w Polsce dowódzca zacieężnej piechoty Węgierskiej pod tym walecznym królem, umarł w Grodnie r. 1580, we dwa lata po jego wyprawie przeciw zbuntowanym Gdańszczanom. Ciało Bekiesza, za rozkazem króla, przewiezione zostało do Wilna. Gdy zaś na żadnym emetartzu, z przyczyny, że zmarły był Socyaninem, czyli Aryaninem, a jak niektórzy twierdzą, żadnej nie trzymał się religii, pochowaniem być nie mogło, złożono je na wierzchołku osobnego pagórka piaszczystego nad rzeką Wilenka, który odtąd nazywać poczęto górą Bekieszową. Król uczcił zaś usługi dzielnego wodza w tymże roku 1580 pomnikiem muryowanym, wzniesionym na jego mogile, lub jak drudzy piszą, sklepie grobowym, w kształcie ośmiogrannej, nie zaś okragłej wieżycy sklepionej i dachem namiotowym pokrytej. Pomnik ten, lubo już przed końcem zeszłego wieku pozbawiony dachu i sklepienia, przetrwał jeszcze, bez mała, cztery

pierwsze dziesiątki wieku XIX, ale mu ciągle i coraz większe niebezpieczeństwo obalenia się zagrażało. Wilenka bowiem od pierana ciągle od Bernardyńskiego ogrodu corocznym nasypem gnojów, zasadzeniem krzewów i żywych płotów wierzbowych na lewym jej brzegu, zmieniawszy dawne swoje koryto, za każdą niemal powodzią wiosenną część góry Bekieszowej stopniami podrywała, a stąd i spadziste jej urwisko musiało coraz więcej przysuwać się i przybliżać do samego pomnika. Nakoniec w r. 1838, dnia 17 Maja, około godziny szóstej rannej, nagle oderwała się w podłuż i z wielkim łoskotem upadła największa część, bo $\frac{5}{8}$ wynosząca ośmiogrannej wieżycy Bekieszowej. Wtenczas, to przy uprzątnieniu gruzów, zwalonych u podnoża góry, żołnierze garnizonu Wileńskiego znaleźli i przynieśli do kapitana N *) czapczkę i głowę albo suchą czaszkę Bekiesza, które obecnie są w posiadaniu Eustachego hrabi Tyszkiewicza i zapewne przez niego szczegółowie, z dołączeniem potrzebnych rysunków, opisane ku wiadomości powszechnej zostaną. Powiadają, że wtedy nadto jeszcze znaleziono pod zwaliskami i trumnę ołowianą w drugiej drewnianej zamkniętą, która gdzieby się podziiała, lub jakie w niej mogły się za-

Jana Juchniewicza.

wierać inne szczątki zwłok, odzieży i zbroi Kaspra Bekiesza do-
wiedzieć się nie można. Ostatek
wieżycy Bekieszowej, zaledwie
już $\frac{3}{8}$ jej części wynoszący, nad
samą spadzistością podmytej stro-
mej góry ukośnie pochylony i co
moment obaleniem się grożącej,
runął do szczętu w nocy z dnia
16 na 17 Stycznia 1843 r. bez
wątpienia wskutek ulewnego desz-
czu z wieczora i przez całą tę
noc padającego.

Dnia 5 Stycznia 1853 r.

Michał Homolicki.

Przy tym artykule Profesora
Homolickiego znajduje się dołą-
czony następujący dokument au-
tentyczny:

*Świadectwo o autentyczności cza-
peczki i głowy albo suchej czaszki
Kaspra Bekiesza.*

Roku 1853 dnia . . . Września.
Ja niżej własnoręcznie pisząca się
Ewa z Malewskich Juchniewi-
czowa, Kapitanowa garnizonu
Wileńskiego czynię wiadomo ni-
niejszem pismem mojem, iż gdy
w roku 1838 dnia 17 Maja oder-
wała się w podłuż i upadła z
wierzchołka góry Bekieszowej
nad rzeką Wilenką, największa
część pomnika, albo wieżycy mu-
rowanej, którą sławnej pamięci
król Stefan Batory w roku 1580
kazał być postawić na grobie po-
chowanego tu Kaspra Bekiesza,
dowódcy zaciężnej piechoty wę-
gierskiej w służbie tegoż króla,
żołnierze garnizonu Wileńskiego,
uprzatający gruzy pomnika, zwa-
lone u podnoża góry, znaleźli pod
niemi i przynieśli do męża mo-
jego ś. p. Jana Juchniewicza,
kapitana rzeczonego garnizonu
czapeczkę atlasową koloru palio-
wego, jedwabiami we wzory wy-
szywaną, nie bardzo jeszcze wy-
płowiałą i głowę czyli suchą już
czaszkę, które widocznie i nie-
wątpliwie pochodzą z grobu

Kaspra Bekiesza. Po śmierci wspo-
mnianego męża mojego, kapitana
garnizonu Wileńskiego, stawszy
się prawem sukcesyi dziedziczką
i właścicielką jak innej jego pu-
ścizny, tak i wyżej wymienionych
zabytków, a taraz ustępując ich
na własność J. W. Eustachemu
hrabi Tyszkiewiczowi, b. Mar-
szalkowi powiatu Borysowskiego,
zaświadczam i zeznaję rzetelnie,
uczciwie i sumiennie, że to są
rzeczywiście i niewątpliwie cza-
peczka i głowa, albo sucha cza-
szka słynnego Kaspra Bekiesza
i że w tem zeznaniu i ustępie
zadnego fałszu, podejścia i obłu-
dy nie masz. Jakowe świadectwo,
dla lepszej wiary i pewności,
podpisem własnoręcznym i wy-
ciśnieniem herbowej pieczęci,
stwierdzam.

Dan w Wilnie, jako wyżej.
(M. P.). Ewa Juchniewicz.

Przy wydaniu takowego świa-
dectwa obecny byłem Aleksander
Szytler.

Przy wydaniu niniejszego świa-
dectwa obecny byłem i za upro-
szeniem przez W-ną Ewę Juch-
niewiczową podpisuję się Walerjan
Rusiecki.

* * *

Czapeczka i czaszka, o których
wyżej mowa, znajdowały się ongi
w Muzeum Tyszkiewiczowskim,
mieszczącym się w byłej Auli
uniwersyteckiej. Będąc jeszcze
chłopięciem, widziałem je tam po
stronie prawej, na postumencie,
pod szklanym kloszem, pod nim
popiersie samego Bekiesza w
futrzaney czapecce i długimi zwie-
szonemi wąsami, z napisem u dołu:
«Kasper Bekiesz z obrazu, znaj-
dującego się w galerii przedtem
hr. Sierakowskiego, a obecnie hr.
Wołłowicza. W Wilnie w litogr.
J. Oziębłowskiego». Dziś portret
powyższy, jak i wszystko, co
wyszło z tej litografii, jest rzad-
kością. W teraźniejszym Muzeum

Przewodnik po Wilnie.

Mimo furji niszczycielskiej, któ-
ra oto od szeregu lat systema-
tycznie a wytrwale niszczy wszel-
kie zabytki naszej przeszłości i
ślady kultury dawnej w naszym
kraju, starożytny gród Giedymina
w swych murach kryje dużo jesz-
cze cennych a drogich sercu pa-
miątek, co zaś główne, Wilno,
mimo nowoczesnych przeróbek,
zachowało charakterystyczny wy-
gląd miasta zachodniego, podo-
bnie jak stara Warszawa, Kra-
ków, Poznań, Gdańsk i t. p.

Niestety piękne to miasto zbyt
mało zwiedzane przez podróżnych
z innych kraju dzielnic, niedosta-
tecznie znane i cenione jest przez
własnych mieszkańców, co świad-
czy o zobojętnieniu dla świętych
zabytków przeszłości, zobojęt-
nieniu, które porównać się daje
jedynie z moralnem samobój-
stwem.

Posiadaliśmy niegdyś doskonały
przewodnik po Wilnie Kirkora.
Dziółko to oddawna wyczerpane,
i oto kilka pokoleń potrafiło ob-
chodzić się bez takiego podręcz-
nika, który niezbędny jest dla
każdego, kto kocha i ceni swe
miasto rodzinne, swą przeszłość.

Dopiero dziś, wobec budzącego
się ruchu umysłowego i humani-
stycznego, palącej potrzebie stało
się zadość: w roku bieżącym wy-
szły naraz aż dwa «przewodniki.»
Autorem jednego jest zasłużony
badacz i monografista katedry
wileńskiej dr. Zahorski; drugi
wyszedł z pod pióra archiwarju-
sza m. Wilna p. W. Gizberta-
Studnickiego.

Nie wdając się w szczegółową
ocenę zaznaczyć musimy, że oby-
dwie prace doskonale się dopeł-
niają. Podczas gdy dziółko d-ra
Zahorskiego niewątpliwie wyższe
jest pod względem poważnej tre-
ści historycznej, p. Gizbert-Stu-
dnicki potrafił lepiej zachować

naprawdę byśmy szukali tych
zabytków, zapewne zostały usu-
nięte, wraz z wielu innymi przez
Komisję, ustanowioną w r. 1865
z rozkazu Murawjewa dla zreor-
ganizowania Muzeum Tyszkiewi-
czowskiego i wysłane do Muzeum
Rumiancowskiego w Moskwie, lub
też zniszczone, jako przedmioty
«nie mające naukowej wartości».

Ludwik Zasztowt.

Mundur municypalny.

*Ustanowiony w Wilnie w 1792
r. na pamiątkę konstytucyi 3-go
maja 1791 r.*

W protokole sesyjnym Ma-
gistratu wileńskiego znajdujemy
pod dniem 27 kwietnia 1792 r.
zapisane:

«Magistrat główny miasta
Rzptej Wilna żeby chęć i deter-
minacya gorliwa zajmująca serce
każdego obywatela była i ze-
wnętrznie jawna do lożenia zdro-
wia, majątku i życia na obronę
praw wolności Ojczyzny i dosto-
jenstwa Króla, pana naszego mi-
łościwego, autora szczęścia po-
wszechnego, z tej pobudki przed
następującym Świętem Narodo-
wem 3-go Maja na uczczenie tego
sławnego Festynu a razem na
pamiątkę wskrzeszonej wolności
dla obywateli miejskich Magi-
strat główny Rzptej Miasta wol-
nego Wilna dla obywateli
wszystkich tegoż miasta z cyrku-
łami mundur municypalny uchwa-
la i obiera taki: kontusz czarny
i wyłogi czarne z guzikami ma-
łymi żółtymi, wypustki u wyło-
gów i kołnierza ponsowe, kołnierz
stojący czarny z tryplikami pon-
sowemi. Żupan ponsowy i rękawy
u kontusza tymże ponsem podszy-
te. O takowym mundurze, ażeby
WW. Ich Mościowie Panowie Woj-
towie cyrkulów wszystkich obywa-
telom ogłosili (Magistrat) zaleca».

Z Archiwum m. Wilna № 307
str. 24 i 25 podał *We. St.*

typowy układ «Przewodnika», na wzór najlepszych podobnych wydawnictw zagranicznych.

Książeczka pana Studnickiego wielkie usługi oddać może każdemu podczas zwiedzania zabytków Wileńskich, podczas gdy dziełko dr. Zahorskiego polecamy najgoręcej tym wszystkim, którzy pogłębić pragną i uzupełnić swe wiadomości. Niepospolite to dziełko daje w zwęższej formie, i świetnem opracowaniu bogactwo materiałów historycznych, dlatego niezbędnem jest jako podręcznik dla każdego, kto się interesuje przeszłością Wilna. Obydwom książeczkom życzymy jaknajszerszego rozpowszechnienia.

Do Czytelników.

Zeszyt niniejszy «Kwartalnika» wychodzi niestety ze znacznym opóźnieniem. Przepraszając najmocniej Czytelników naszych, uważamy za konieczne przyczyny tego w krótkości wyłożyć:

Przed kilku miesiącami nabyliśmy od jednego ze znanych i cenionych literatów naszych, zarazem skrzętnego zbieracza zabytków przeszłości «Dyarjusz Moskiewskiej Wojny 1666 r.» z poleceniem na piśmie, że ciekawy ten dokument jeszcze nigdzie drukiem nie był ogłoszony. Przeznaczaliśmy go do № II «Kwartalnika», oczem w dziale ogłoszeń № pierwszego była osobna zapowiedź.

«Erare humanum est» przysłowie to sprawdza się nawet na tak niepospolitych znawcach naszej literatury historycznej, jakim niewątpliwie jest ten od którego nabyliśmy rzeczony «Dyarjusz». Kiedy rękopis był już złożony i

w druku, ilustracje przygotowane, przypadkiem dowiedzieliśmy się, że dokument ten był już raz ogłoszony drukiem przez Augusta Podgórskiego, w dziele «Pomniki dziejów Polski wieku siedemnastego» (Wrocław, nakładem Zygmunta Schlettera 1840 r.).

Po sumiennem skonfrontowaniu rękopisu z dyarjuszem ogłoszonym ongi przez Podgórskiego, stwierdziliśmy niestety, że obydwa teksty są całkowicie identyczne, a co zatem idzie powtórne ogłoszenie drukiem tego dokumentu byłoby pozbawione wartości naukowej.

Mimo więc znacznych strat materialnych postanowiliśmy rękopis wycofać.

Pozostała wielka trudność, czem zapełnić powstałą w ten sposób lukę. Z pomocą pośpieszył nam szczerzy przyjaciel wydawnictwa naszego, zasłużony badacz p. Michał Federowski, ofiarując nam wielce ciekawy pamiętnik Leona hr. Potockiego o Świsłoczy, Dereczynie i Różanie, którego część pierwszą zamieszczamy. «Wspomnienia» obok wielkich zalet literackich i historycznych nie są pozbawione pewnej aktualności po strasznym pożarze, który niedawno zniszczył magnacką niegdyś siedzibę.

Gdy ostatnie zabytki naszej promiennej przeszłości, naszej kultury, troskliwej zapobiegliwości i cnoty naszych ojców znikają z powierzchni, stając się łupem pożarów i niemniej zgubnych instynktów niszczycielskich nowoczesnych Wandalów, niechaj choć pamięć ich w naszych sercach odżyje, niechaj nas krzepi w ciężkich warunkach bytu naszego.

R.

Leon hr. Potocki.
(„Bonawentura z Kochanowa“).

WSPOMNIENIA

0

Świsłoczy Tyszkiewiczowskiej, Dereczynie i Różanie.

Podał do druku oraz przedmowę i życiorys skreślił
Michał Federowski.

.....



WSTĘP.

Istotny ruch około wydawania pamiętników wszczął się u nas w połowie ubiegłego wieku. Opublikowane po dziś dzień utwory z tej dziedziny literatury, przedstawiają po większej części fakty obyczajowo-historyczne, ze schyłku XVIII-o oraz pierwszej połowy wieku XIX-o, z życia Korony i bodaj że w równej mierze Podola, Wołynia, Ukrainy, zwłaszcza w zakresie kulturalnym tych trzech południowo-wschodnich b. Rzeczypospolitej prowincji. Uderzająco są natomiast skąpe, z doby tej, wspomnienia, dotyczące Litwy, a koncentrujące się przeważnie około Wilna tylko (życie uniwersyteckie w epoce mickiewiczowskiej), i radziwiłłowskiego z nieodstępnym Ks. Karolem „Panie kochanku“ Nieświeża. Wprawdzie przysłowiowo rozumna, skrzętna i zapobiegliwa Litwa mniej od żyznej Rusi magnackich liczyła rezydencji, ale stanowczo więcej od niej posiadała jednostek inteligentnych i kulturalnych placówek. Dziwny ten na pozór fakt, nie jest takim dla tego, kto zna Litwy wieku XIX krwią pisane karty. W ziemi Mickiewiczów i Kraszewskich, ludzi piszących nie brakło nigdy, lecz nierównie więcej niż na Rusi miecz w niej hulał i pustoszył ogień. I częściej tu niż na pustych stepach odzywał się złowieszczy w noc głuchą dzwonek przelatującego Feldjegra a na odgłos jego opróżniały się szuflady biurów, sekretery stare i szły z dymem wraz z plikami listów wspomnienia przeszłości tudzież cenne nieraz utwory myśli i natchnienia. Trwogą niestety, rozum nie kieruje, z gorączkowym tedy pośpiechem, bez namysłu i zastanowienia niszczone wszystko: zbroje pradiadowskie, pamiątki narodowe, świętości, a przedewszystkiem zabytki piśmienne; pierwsze najczęściej woda pochłaniała, drugie ogień trawił. I co najsmutniejsze, że z tej stuletniej strawy pieców, kominów litewskich, nawet samowarów, (tak!) nic a nic w głowach ludzkich nie zostało prawie. Ostre nożyce lat porewolucyjnych i popow-

staniowych, przecięły mocne dotąd nici ojczystych tradycji i to, co się mieściło w wygnańczej pamięci, zatechłych więzień pleśń przykryła lub tajg syberyjskich zasypały śniegi...

Z tych strasznych lat wstrząśnień i nieustannej zagłady, pół wieku przeleżawszy w bezpiecznym ukryciu, na szczęście, cało jeszcze wyszły niniejsze „Wspomnienia“, powiększając szczupłą liczbę pamiątek, Litwę nieszczęsną najbardziej obchodzących.

Wspomnienia te na schyłku bardzo obfitego w przygody życia, drżącą już ręką skreślił syn chrzestny i ulubieniec ks. Józefa znany w literaturze naszej hr. Leon Potocki, prace swe podpisujący kryptonimem „L. P.“, bądź też używający pseudonimu „Bonawentura z Kochanowa“.

Oryginał tych wspomnień, stanowi własność ex-proboszcza parafji Świsłockiej a obecnie plebana w Kundzinie ks. Konstantego Kości. Zacny ks. Kości otrzymawszy go w podarku od ks. Heleny Połubińskiej, odpis z niego jaknajstaranniej przez się sporządzony, raczył ofiarować, ogłaszając piśmienne na ogłoszenie przyzwolenie: „Szczelnemu marymontczykowi p. Zdzisławowi Bitnerowi“, przez którego, z kolei, niżej podpisany, będąc tym szacownym ks. Kości odpisem obdarowany, ma zaszczyt pisać się szczerze obowiązany i na zawsze wdzięcznym zięciem.

Cenny rękopism hr. L. Potockiego, zawiera ze schyłku XVIII-o i pierwszej ćwierci wieku ubiegłego wspomnienia, dotyczące trzech na Litwie położonych rezydencji magnackich, z których jedna ¹⁾ była w posiadaniu rządnych i światłych Tyszkiewiczów, dwie zaś inne ²⁾ zostawały we władaniu całą niegdyś Litwą wraz z Radziwiłłami trzesących Sapiehów; ztąd i cała ta księga pamiątek rozpada się na trzy działy, a mianowicie: „I“ p. n. „Świsłocz Tyszkiewiczowska“, „II. Dereczyn“ i „III. Różana“. W tym ostatnim znajdzie czytelnik garść interesujących wspomnień o „niezdobytych“ ongi Lachowiczach i pobliskim Nieświeżu.

Ściśle biorąc „Wspomnienia“ niniejsze, stanowią ciąg dalszy pamiątek Potockiego, wydanych w Poznaniu przez Żupańskiego, w lat już kilkanaście po zgonie autora (R. 1876). Ciekawe to a dość już rzadkie dziełko, wyszło p. n. „Urywek ze wspomnień pierwszej mojej młodości“. W nim, jak sam tytuł objaśnia, autor umieszcza wrażenia swe z lat pacholących, spędzanych przeważnie w Warszawie i naprzemian w Jabłonnie u ks. Józefa, tu zaś mamy jego wspomnienia z czasów młodzieńczych, dosięgających już owej burzy dziejowej, która go wraz z tysiącami innych wkrótce porwać miała.

„Wspomnienia Świsłoczy, Dereczyna i Różany“ nie są, jakby ktoś mylnie z tytułu mniemał, suchą monografią geograficzno-historyczną, piszący bowiem zlekka tylko potrącając o miejscowości i związane z niemi wypadki dziejowe, przeważnie krąży około osób, z którymi w zażyłości był lub w pokrewieństwie pozostawał. Z prawdą i wiernie odsłania codzienne ludzi tych przyniosły i wady, zabiegi i obyczaje, szczegółowo opisuje ich rezydencje, życie publiczne i prywatne, wreczcie ich zabawy, uczty, zjazdy, polowania.

Zaraz w pierwszej części, przedstawia się nam, niby rylcem zdolnego czyłera uwypuklone, sympatyczne rysy referendarza Wincentego Tyszkiewicza wraz z konterfektem jego nieczulej a wiecznie rozbawionej małżonki oraz ich sług, rezydentów i całego otoczenia. Podobnie, niemniej żywo malowane raz wraz przesuwają się przed wzrokiem czytelnika postacie: to Karpińskiego drażliwego ze światłym Sniadeckim, to przesiąkniętego „tężyzną“ Dominika ks. Radziwiłła, to znów bohaterskiego, „bez skazy i zmazy“ generała Tadeusza Tyszkiewicza oraz wielu a wielu jeszcze innych osób. Tu również znajduje się obszerny opis, założonej przez referendarza słynnej szkoły świsłockiej, która dla Rusi Litewskiej takim samym była rozsądnikiem kultury naszej jak liceum krzemienieckie dla Rusi południowej.

W następnej części „Wspomnień“ Potockiego, z ogromną plastyką występuje nie tak wprawdzie tajemnicza postać jak współczesnego Emira Rzewuskiego, ale niemniej oryginalna i niemniej od Emira żadna wrażeń i wiecznie poszukująca przygód, (tylko innych i w innej, wprost przeciwnej stronie kontynentu), postać rozbajronizowanego estety, dziedzica Różany i Dereczyna, ks. Franciszka Sapiehy. I tu, autor, opisuje nam umiłowaną jego rezydencję, pełną dzieł sztuki i drogich pamiątek, jego otoczenie, festyny i cały tryb życia; obok tego, cytuje cały szereg faktów, dowodzących o olbrzymim zapasie nieustannie przez księcia ze szkoda kraju i rodziny wyladowywanej energii: jego ciągłe wojazę, miłostki i gry harazdowe, słowem wartki prąd życia magnata odbija się tu w całej szerokości jasno a wyraziście, jak w weneckiem najczystszej zwierciadle. W ostatniej wreszcie zamykającej „Wspomnienia“ części, obok ks. „Panie Kochanku“, uwydatnia się postać słynnego skapca, dziedzica Lachowicz, hetmana ks. Massalskiego, oraz obłąkanego jego syna, Józefa, podczaszego, żonatego z nieszczęśliwą ks. Katarzyną Sapieżanką. Gdy do tego dodamy, że Potocki, charakteryzując te i inne osoby, wszędzie przed czytelnikiem roztacza tradycje rodzinne, opisuje ówczesne towarzystwa, stosunki sąsiedzkie i stosunki magnatów litewskich do ludu i otoczenia, następnie, że w tok opowiadania wplata czę-

¹⁾ Świsłocz w pow. Wołkowyskim.

²⁾ Dereczyn i Różana, w pow. Słonimskim.

stokroć całkiem nieznane anegdoty, legiendy i podania, wówczas, „Wspomnienia” jego, rzucające jasny promień światła na epokę nie we wszystkich swoich zarysach należycie nad Niemnem oświetloną, przedstawia się nam wcale zasobną do dziejów obyczajowych i oświaty na Litwie skarbnicą faktów, cennych nieraz i dla historyka a przede wszystkim dla epoki tej malarza.

O stronie literackiej „Wspomnień” należy jeszcze choć w krótkości nadmienić, że autor nadał im charakter opowieści, w której próżnobyś szukał polotu i uniesień Różyckiego, uroku czarującego Odyńca, żywości Ochockiego... Jest natomiast w tem płynnem a spokojnem opowiadaniu sędziwego i już nad grobem stojącego autora-rozbitka jasny objaw wrażeń i uczuć, jest wydatna obserwacja i sąd dojrzały. Obrazy umiłowanych miejsc i ludzi, bez fantazjonowania a la Tripplin lub Kosiński i bez monotonii Konopackiego, Potocki przedstawia w barwach właściwych, tu i ówdzie nawet z pewnym wdziękiem i tkliwą właściwą sobie rzewnością. Chępliwość wreszcie jest mu całkiem obca, nawet mu zarzut uczynić wypada, że przez zbytnią skromność z nadto pozostaje w ukryciu.

Naostatek, nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że przepisując do druku niniejszy rękopism, prócz zmiany pisowni i przecinkowania oraz zamiany w nazwach urzędów głosek wielkich na małe, nic w nim nie usunąłem ani nie dodałem.

M. Federowski.

Warszawa; d. 19. VI. 1910.

Dedykacja.

Do mojej córki Jadwigi.

Kilka stronnic wspomnień tej młodości, która nie wraca, tej przeszłości, którą daleko zostawiłem za sobą, tych krótkich chwil szczęśliwych, które tak prędko minęły, poświęcam Ci, Córko moja!

Wszystko mija, ulata, przechodzi, przywiązanie tylko Ojca dla dziecka trwa od chwili, kiedy je przychodzące na świat wita, do chwili, kiedy je w godzinie śmierci żegna błogosławieństwem Ojcowskiem.

Jeżeli los zagnawszy mnie daleko od domowej strzechy nie dozwolił, abyś pod mojem okiem wzrastała, rozwijała się, wychowywała; gdyś za mną tęskniła, ja Cię myślą ścigałem nie pewny o Twoją przyszłość. Bóg wysłuchał mojej prośby, masz dobrego i pocziwego męża, masz dzieci, które, oby były dla Ciebie tem, czem zawsze byłeś dla mnie! Skoro mnie już nie będzie, odczytując moje wspomnienia, przypomnij sobie Ojca, który w pracy umysłowej znalazł jedyną pociechę i rozrywkę, Ojca obolałego cierpieniem i starganego przeciwnościami życia.

Pisałem w Powermeniu, 12/24 kwietnia, 1859 roku.

Można wody zaczerpnąć w Kastylskiej krynicy,

Podziwiać Argos, Ateny i Troję...

Ja wolę brzegi Niemna, Wisły i Pilicy;

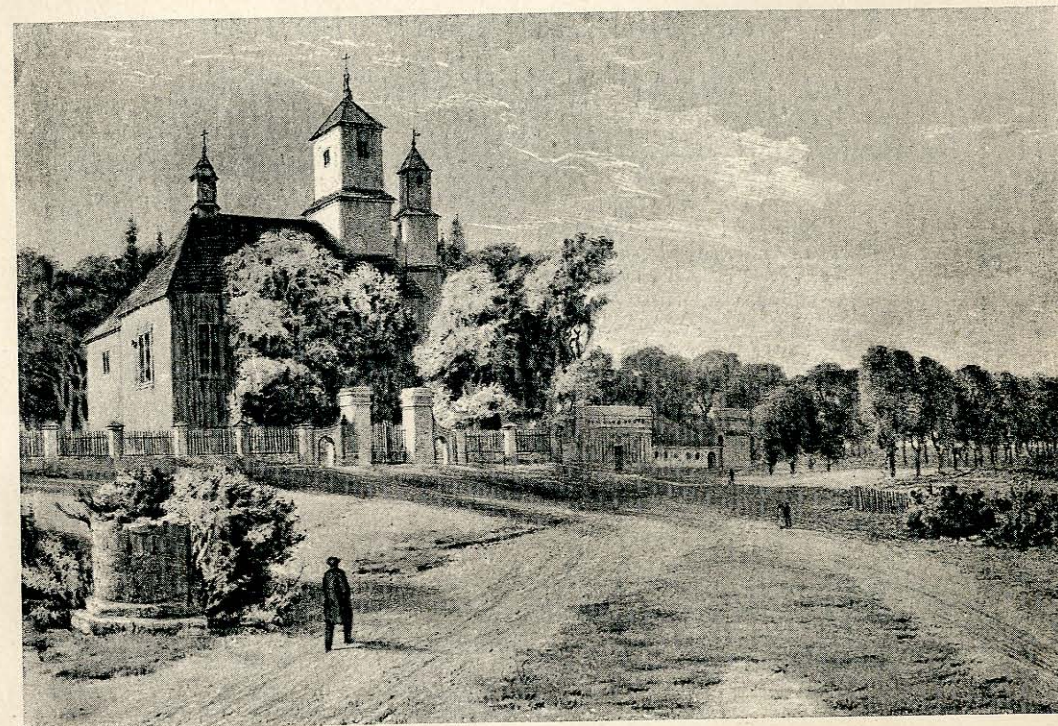
Wolę to wszystko co swoje.

Wolę ubogi dach rodzinnej strzechy,

Gdzie. jeżeli przecierpiał, miałem i uciechy,

I Kościółek drewniany, nad nim krzyż nad wieżą,

I cmentarz kędy kości rodziców mych leżą.



Świsłocz; widok kościoła.
Z albumu Napoleona Ordy.

Świsłocz.

Młoda i piękna osoba, wzbudzająca wszędzie hołd i uwielbienie z przyjemnością zagląda często do lustra, gdy się z niego przekona, że pochwały, któremi ją obsypują, są zasłużone, nie przesadzone, pochlebstwem nie trąca. — Ale cóż jest trwałego na świecie? Lada wiatru powiew może kwiat wiosenny zwarzyć, a piękność jest najpowabniejszym, a zarazem najwątliwym kwiatem! Nadejdzie wnet chwila, w której to samo lustro, coraz rzadziej bierze do ręki, nakoniec odrzuca go od siebie i pozostaje z tą tylko pociechą: „Byłam piękną za młodu!“ Bo czemże jest wspomnienie jeżeli nie lustrem, w którym się przeszłość odbija i przedstawia nam minioną młodość z całą swą ułudą, rozkoszą i powabem! I z jakąż to przyjemnością oglądamy po długim lat upływie miejsca, gdzieśmy się zrodzili, gdzieśmy spędzili młodość naszą, gdzie rodzice nasi miłością i pieśczęcią, radą i nauką, wyprowadzili nas z niemowlęctwa, nauczili o własnych siłach chodzić, być samym sobą. Z jakąż przyjemnością przypominamy sobie nasze dziecinne zabawy i płasy, pokuty i zmartwienia. I ową ławeczkę przed domem, na której, świętej pamięci matka nasza, siedząc letnią porą, pończoszkę robiła, krzesło przy kominie, na którym zimową porą nieboszczyk ojciec drzemał o szarej godzinie. I z jakąż przyjemnością przypominamy sobie wyjazd nasz do szkół, powrót na wakacje do domu, Święto Bożego Narodzenia i Zmartwychwstania Pańskiego; księdza profesora, uzbrojonego zawsze tabakierą, a czasami dyscypliną; pana Józefa, podstarościego, z nieodstępnym boćkowskim za pasem, pannę Scholastykę, klucznicę uwijającą się z pękiem kluczy, karmiacą nas piernikami i śliwkami na rożenkach, księdza proboszcza, sąsiadów, bernardyńskiego kwestarza, Filipa kucharza, Jurka stangreta, Jana lokaja, i naszą szpakowatą fernalkę, i kucyka gniadego, z którego przyszło nieraz zlecieć, Filona szpica faworyta jejmości, Brysia domowego stróża.

Kilka wspomnień mojej młodości puszczam w świat, chociaż wiem, że co jednego obchodzi, obojętnem być może dla drugih, ośmiela mnie jednak do tego myśl, że każdy prawie z czytelników moich zachował w sercu swoim pamięć rodzinnego dachu, domowego ogniska i cmentarza, na którym niejedna z drogich mu osób spoczywa.

Każdy człowiek ma przed sobą otwarte, mniej więcej obszerne pole; i w nim zamyka ów zawód, który się życiem zowie. Ale gdy go jeden odbywa ścieżką, wiodącą po cierniach i skałach, drugi buja po stepie niezmierzonym okiem, inny płynąc po bezdennym morzu, zburzone żywioły zda się do walki wyzywać; szczęśliwy kto, zakreśliwszy sobie niewielkie kółko, nie wychodzi z niego przez całe życie, a skupione w niem promienie światła, rozwidniającego umysł, ciepła ogrzewającego serce, oczekuje spokojnie chwili, w której się doczesność kończy, a wieczność zaczyna.

Do rzędu tej małej liczby wybranych, niezaprzeczenie należał Wincenty hrabia na Łohojsku Tyszkiewicz, dziedzic Świsłoczy, Łohojska i Białopola.

Wincenty Tyszkiewicz, syn hrabiego Antoniego Kazimierza Tyszkiewicza, generała wojsk Litewskich (zmarłego 1778 r.) i Teresy z hr. Tyzenhauzów urodzony w 1757 r. utracił w młodości wiek rodziców, objął po nich znaczny majątek i stał się panem własnej woli. Starożytnego rodu, miał prawo do pierwszych dostojęństw, kilkumilionowa fortuna naznaczała mu znakomite stanowisko w kraju, staranne wychowanie wywoływało go z domowego ukrycia na widownię wielkiego świata; dwór królewski otwierał swe podwoje, senatorskie krzesło zapraszało do zajęcia w niem miejsca, starostwa, orderzy czekały na niego. Choć może podszepty miłości własnej, która się tak łatwo zamienia w dumę, powtarzały mu nieraz: „chciej a otrzymasz, pnij się a dojdiesz“, wymowniejszy głos serca odpowiadał na to: „Bóg ci oddał w opiekę tysiące pracowitego ludu, pozostań z nimi, bądź ich ojcem“, a rozsądek słuchać go kazał.

Panował u nas podówczas Stanisław August Poniatowski, niebogatego w antenaty rodu, potrzebował się koligacji z pierwszymi rodzinami w kraju, aby powiększać sobie stronników i chwytając się tron podeprzeć przybranymi krewnymi. Rodził się wprawdzie z księżniczki Konstancji Czartoryskiej, siostry Augusta, wojewody ruskiego, i Michała kanclerza, i to mu więcej może pomogło do wyniesienia się, niż zasługi obywatelskie, prawosć charakteru i cnoty rycerskie własnego ojca. Jedną z sióstr Poniatowskiego, jeszcze stolnika Litewskiego, wyszła była za mąż za Jana Klemensa Branickiego, hetmana w. koronnego, kasztelana

krakowskiego, druga za Zamojskiego, wojewodę Podolskiego, a tej córka za Mniszka Wandalina, marszałka Koronnego.

Pozostawały dwie synowice królowi do umieszczenia, — że się tak wyrażę. Litwa więcej mu sprzyjała niż Korona, w niej zatem wypadało wyniesieniem i łaską zaskarbić sobie na wszelki wypadek wiernych i obowiązanych zwolenników. Stanisław August rzucił okiem na Tyszkiewiczów, i jedną z synowic swoich, córkę ks. Kazimierza Poniatowskiego, podkomorzego Koronnego, wydawszy za Ludwika Tyszkiewicza, którego niebawem zrobił hetmanem polnym litewskim, dla drugiej Teresy, córki Andrzeja Poniatowskiego, feldmarszałka Austriackiego, wybrał Wincentego Tyszkiewicza. Powracającego z Paryża przez Warszawę młodzieńca zatrzymał, zwabił do dworu, mianował referendarzem litewskim, okrył orderami i niedobrane małżeństwo skojarzył. On się w młodej i pięknej Teresie rozmiłował; ona go niecierpiała; on z ochotą oddał jej serce i rękę, ona z przymusu dopełniła królewskiej woli.

Tam gdzie wzajemny pociąg nie łączy, gdzie nie tylko sprzeczność charakterów, różność zdań, odmienność nawyków zachodzi, tam szczęśliwego pożycia spodziewać się nie można. Po odbytych wspaniałych weselnych godach młoda para wyjechała na Litwę.

Mąż wprowadzając w domowe swe progi ubóstwianą przez siebie małżonkę, mniemał, że z nią w zaciszu wiejskiego ustronia domowego dozna szczęścia, ale pani przyzwyczajona do hołdów, okłasków i ułud wielkiego świata, wnet zateęskniła za niemi i za ledwie rok jeden spędziwszy wśród puszczy litewskich, opuściła je na zawsze i do Warszawy powróciła.

Kiedy wśród wiru zabaw, pustoty i szalu wielkiej stolicy, zapomniiała o powinnościach małżonki, osierocony małżonek przez ciąg całego życia nie przestał ją kochać. Stanisław August z początku starał się pojednać ich z sobą, ale gdy usiłowania jego żadnego nie przyniosły skutku, pani Tyszkiewiczowa pozostała w stolicy. Pan Tyszkiewicz pozostał na wsi otoczony przywiązaniem, szacunkiem i poważaniem całej Litwy.

* * *

Kto się dobrze wytrzymał i nieraz wyrócił po najgorzej utrzymanych drogach w naszym kraju, kto się zapoznał z mieszkańcami złożonymi z walących się domów, tak mało różniących się od chałup chłopskich; kto w żydowskich karczmach doświadczył chłodu, głodu, brudu i niewygody, ten wielce zadziwionym zostanie wstę-

pując w granice Świsłockiej ziemi, a jadąc po gładkim gościńcu, wysadzonym drzewami, opatrzonym barjerami, i wjeżdżając do miasta porządnie i pięknie zbudowanego, czysto i schludnie utrzymanego, zapomni na chwilę, że się w Polsce znajduje i przeniesie się myślą ponad brzegi Elby albo Renu, kędy wędrując powtarzał nieraz z westchnieniem: „Czemu u nas nie jest tak, jak tutaj?..“

Świsłocz leży na piaszczystej równinie; strumień tejże nazwy, biorący swój początek u źródła św. Jana Chrzciciela, tuż za miastem, oddziela je od dworskich zabudowań, płynąc dalej po obszernej krainie wpada do Niemna, o mil kilka od Grodna.

Trakt furmański z Grodna do Brześcia Litewskiego przechodzi przez Świsłocz. Majętność ta należała pierwotnie do możnej niegdyś a dziś już wygasłej rodziny Kryszpinów, wyprowadzającej swój rodowód od Kryszpina Kirszensztejna, rycerza niemieckiego, który mając zasługi u Zygmunta Augusta Króla, otrzymał od niego indygenat szlachestwa i osiadł na Żmudzi. Syn jego, Kryspin cywun Pojurski, za Zygmunta III pisał się dziedzicem na Rawdaniu; jeden z jego potomków, przeniósłszy się na Litwę, był panem Świsłoczy i Moczulnej, dziś należącej do Ołędzkich.

Po nim Świsłocz prawem dziedzicznym, czy też przedaznem stała się własnością Tyszkiewiczów.

Wincenty Tyszkiewicz objawszy Świsłocz po ojcu, małą, nieforemną i brudną miejscinę przebudował zupełnie na nowo, założył ogród w gęście holenderskim, poprzeczynał go kanałami i obszerny zasadził zwierzyńcem; pozostał tylko stary drewniany pałac, jedyna po Kryspinach spuścizna, i daleko starsze od niego lipy, lepsze pono przypominające czasy.

W samym środku miasta był kwadratowy rynek, ozdobiony śpiczastą piramidą, zakończoną długą pozłacaną iglicą. Prowadziły do niego z czterech stron szerokie, pod sznur wyciągnięte ulice, porządnymi domami, pokrytymi gontami, zabudowane: — Grodzieńska Rudawska, Mścibowska, Brzeska i Warszawska. Ulica Grodzieńska i rynek zamieszkane były żydowstwem, Warszawska Tatarami, trudniącymi się wyprawianiem skór, po innych mieścili się studenci do szkół uczęszczający. W samej głębi rynku wznosił się pomiędzy ulicą Mścibowską a Rudawską obszerny gmach czworoboczny murowany z kamienia z 48-u sklepami czyli kramami, przeznaczonymi na walny jarmark, przypadający rok rocznie w m. sierpniu. Za kramami mały kościółek grecko-unicki. W samym rynku pięć austerji: pod *Orłem*, *Jeleniem*, *Wółem*, *Jednorożcem* i *Labędziem*. W jednym rogu apteka w drugim *kafenhauz* czyli traktiernia porządnie utrzymana, z bilardem, dla zabawy przyjezdnych. Naprzeciw kafenhauzu rozciągał się plac wielki, po

lewej jego stronie kościół parafialny z drzewa, z zegarową wieżą, za nim gmachy gimnazjalne, wymurowane dopiero po śmierci referendarza, po prawej stronie teatr z reductową salą, mieszkanie Jacka Krusińskiego, dyrektora gimnazjum, następnie stajnie i wozownie. Za nimi ogród zwany publicznym z huśtawkami, karuzelą i strzelnicą.

Od samego końca placu wiodła do dworu aleja, wysadzana olszyną, pomiędzy ogrodem pałacowym a zwierzyńcem, w którym chowano do stu kilkudziesięciu danieli i kilkunastu jeleni. Ogród rozpoczynał się od kwadratowego stawu z okrągłą wyspą po środku; mógł mieć do dziesięciu morgów obszaru; wpuszczono od niego odnogę do zwierzyńca, przez którą po zwodzonym moście trzeba było przejeżdżać. Dalej szedł lasek brzozowy z obciętymi drzew wierzchołkami, dla odsłonięcia widoku na miasto, za laskiem spacerowy ogród ze strzyżonymi szpalerami i rozmaitych kształtów załamaniami, tworzącymi naturalne, czyli raczej nienaturalne, bo sztuką i nożycami wyrobione salony, a każdy z nich z 4-ma gabinetami po rogach. Ogród ten z pokaleczonymi drzewami, zasłany wprowadzie murawą, ale bez kwiatów, przerywany kanałami, łączącymi się z głównym stawem, obejmowały w swoje ramiona dwie ulice kilkunastowiekowych lip, zdających się spoglądać z politowaniem na to skarłate pokolenie. Ogród kończył się drewnianym budynkiem, w którym mieściła się oranżeria i kilka gościnnych pokoi.

Niedaleko stamtąd, nad samym brzegiem wody, wznosiła się piękna murowana altana. Dziedziniec pałacowy otaczały sztachety, w słupy murowane; niedojeżdżając do niego, dom administracyjny, obok szła droga do gospodarskich zabudowań. Sam pałac stał bokiem do ogrodu, kilka lip ogromnych zdobiło jego dziedziniec; z tyłu ogromne pola niezmierzone okiem, których jednostajność przerywał w oddaleniu niewielki lasek liściasty, przezwany Wieszniowcem.

Od przyjazdu do miasta, z każdej strony kamienna brama, sklepiona u góry, bez wrót, czyli raczej wchodowy otwór. Nie było to zapowiedzią otwartego i gościnnego serca miejscowego dziedzica, który każdemu rad, każdego z równą życzliwością przyjmował? Ulica Brzeska, szersza od innych, miała dwie bramy, pomiędzy którymi stała kaplica poświęcona *Aniołom Stróżom*, w niej się kilka razy do roku odprawiało nabożeństwo. Za Brzeską bramą dworki przeznaczone dla gracyalistów, jeden z nich architektury włoskiej, ozdobiony wewnątrz widokiem Rzymu i Neapolu, nazywał się „Villą“; w nim pan referendarz Tyszkiewicz chciał na starość letnią porę roku przepędzać, do tego jednak nie przyszło, gdyż śmierć zawczesna, przecinając dni tego

dobrodzieja ludzkości, nie dozwoliła mu zamiaru tego doprowadzić do skutku.

Hrabia Wincenty Tyszkiewicz był dziedzicem Świsłoczy w gub. Grodzieńskiej, Łohojska w gub. Mińskiej i Białopola na Ukrainie. Pierwszy z tych majątków czynił rocznego dochodu 10,000 czerwonych złotych, drugi 5,000, trzeci tyleż co pierwszy; dodawszy do tego milion złotych polskich umieszczony na procencie u ks. Radziwiłła, ordynata Nieświeskiego, mógł się więc nazwać bogatym. Intrat swoich nie tylko, że nie wydawał z góry, ale gdy mu je z przeszłego roku przynoszono w całości, zaprzyszłoroczna intrata wchodziła dopiero w rozchód, a jeżeli wtedy z ubiegłego roku pozostawała jaka resztką gotowizny w kasie, póty się turbował, niepokoił póki ją pierwszemu lepszemu co się nawinał nie oddał. Mógł z ulepszeniem gospodarstwa, z powiększeniem cen produktów, powiększyć a nawet podwoić swoje dochody, nigdy się jednak na to nie zgadzał, bo zdawało mu się, że im więcej ziemia czyni, tem większej pracy wymaga, a on się lękał pomnożeniem pracy uciemniać robotników. Postanowiwszy raz numer, ani mniej, ani więcej powinien mu być przy końcu każdego roku rządca majątku oddawać; co było więcej, mógł brać dla siebie, co było mniej z własnej dopłacał kieszeni. Razu pewnego na Ukrainie, handel się otworzył, ceny podskoczyły i komisarz Białopolszczyzny, nie chcąc sumienia swego obciążać przywłaszczeniem cudzej własności, przywiózł 2,000 dukatów więcej nad raz na zawsze postanowiony dochód roczny, nieukontetowany pan z powodu podobnej nieakuratności, wynagradzając wszakże komisarzowi sumiennosc, darował mu przewyżkę, ale go z miejsca usunął za to, że woli jego nie spełnił.

Hrabia Wincenty Tyszkiewicz był charakteru słodkiego, powiem nawet słabego, dodawszy do tego wrodzoną nieśmiałość, nieznanosc ludzi i niedoświadczenie, może z uznanej przez siebie potrzeby wyrobił w sobie upór i nim się uzbroił przeciwko ludziom, wypadkom, przeciwko nawet własnemu sercu, którego kto wie czy się najwięcej nie obawiał, bo czuł jak silnie w piersi jego biło. Chociaż z czasem nabrał doświadczenia, poznał ludzi, ani swej nieśmiałości zupełnie przewyciężyć, ani się całkowicie uporu pozbyć nie zdołał, ani też sercu położyć tamy nie potrafił, dobroczynność stała się dla niego potrzebą życia, a dobre uczynki chlebem powszednim.

W młodym jeszcze wieku nabrawszy wielkiej tuszy, która później do najogromniejszych doszła rozmiarów, tak że rąk swoich nie mógł spoić, i nosił zamiast fraka lub surdata, po kostki kapotę, na małe guziki od góry do dołu zapinaną; dodajmy do tego nadzwyczaj krótki wzrok, a przekonamy się, iż nie był zwa-

szcza przy końcu ruchawym, za to też umysł jego rzadko kiedy odpoczywał, ciągle tworzył, układał, urządzał, poprawiał, doskonalił. Obojętnem okiem spoglądał na obroty ówczesnej polityki i na to co się działo na wielkim świecie, był jedynie zajęty urządzeniem obszernych swych włości, zapewnieniem dobrego bytu poddanym i upiększeniem swej ulubionej rezydencji świsłockiej. Nie zagłębiał się w naukach, chociaż czuł ich potrzebę i wielce je w drugich cenił; żadnych nie miał nałogów, kart do rąk nie brał, innego nie używał napoju prócz wody, i niezachwianą wierność zachował, niezastępowanej podobno na nią małżonce.

Ale najmilszą jego rozrywką czyli raczej słabostką były kobiece plotki, tych chętnie słuchał, co jedna powiedziała, na gorącym uczynku drugiej powtarzał, tym sposobem, nieraz przyjaciółki od serca między sobą poróżniwszy, godzić je potem musiał, a wtedy, dar hojnie ofiarowany jednej i drugiej, bywał najczęściej mocną ręką zawartego przymierza.

Pan referendarz każdą stratę czasu uważał za niepowetowaną, dla tego też regularność i akuratność stały się dla niego drugą naturą i prawidłem postępowania; dzień, miesiąc, rok, życie całe zastosowywał do zegarkowego porządku, każda jego czynność odbywała się o naznaczonej porze, nie spóźnił się nigdy o minutkę, ani z terminem w interesie, ani z dotrzymaniem słowa, ani nawet z zapowiedzianymi w sąsiedztwo odwiedzinami.

Razu pewnego, wyjeżdżając do Paryża, obiecał ks. Franciszkowej Sapieżynie być u niej, w Derczynie, na Św. Pelagję, na obiedzie. Minęło kilka miesięcy, dzień imienin księżny zgromadził w komnatach derczyńskiego pałacu ze sto osób z rozmaitych stron kraju, a pana Tyszkiewicza jak nie widać tak nie widać! Zapomniał, — odzywają się jedni, — zamarudził — powtarzają drudzy, — chyba chory, — napomknął ktoś z boku, — nie przyjedzie — wołają jednogłośnie prawie; — Przyjedzie! — odpowiada na to pani domu, gdyż nigdy nie uchybił słowu danemu.

Godzina trzecia, dzwonią na obiad, od jadalnej sali otwierają się podwoje, i w tejże samej chwili wchodzi pan referendarz, idzie prosto do księżny, komplement prawi, podaje rękę i do stołu prowadzi. Podług niego, odkładanie do jutra było pierwszą oznaką dezorganizacji umysłowej, opieszałość — nadwątleniem sił żywotnych, lenistwo — sparaliżowaniem woli, marudztwo — marnotrawstwem najdroższego skarbu — czasu.

Pomimo, że referendarz był możnym magnatem, miał wstępną do zbytków, odrazę do skąpstwa, nad intratę nic nie wydawał, ale też i nie oszczędzał, wystarczało mu i dla siebie i na dobre uczynki, a nie mając dzieci nie potrzebował zbierać.

Pałac świsłocki raczej stary kryszpinowski dworzec, biało wytynkowany, z łamanym dachem, z przybudowaniami na prawo, na lewo i z tyłu, nie zakrawał na mieszkanie sybaryty XVIII stulecia, lub marnotrawnego syna. Wchodząc do środka, przez sień ogrzaną, miałes po prawej stronie jadalny pokój o dwóch oknach; od niego jedne drzwi prowadziły do ogromnej sali, w której podczas jarmarków do stu osób siadało do stołu, drugie do narożnego salonu błękitnym papierem wyklejonego, za nim dwa maleńkie gabinety. W salonie dokoła ścian kanapki i stołki olchowe na czarno bejcowane, czarną tryką pokryte, u okien białe muslinowe firanki, po środku stół bilardek, długi na dwa łokcie, szeroki na łokieć jeden. Ścienne zegary i portrety rodziny Poniatowskich, pędzla Bacciarellego, były jedynym zbyt kownym wytworem, skromnego apartamentu, tego miljonowego pana. Po lewej stronie sieni kancelarja, za nią sypialnia, a za tą garderoby pana referendarza. W oficynach połączonych z pałacem, mieściły się po jednej stronie służba i kuchnia, po drugiej gościnne pokoje. Ale co przedewszystkiem uderzało na wewnątrz i na zewnątrz świsłockiego dworu, to czystość największa do przesady nawet doprowadzona. W pokojach posadzki woskiem froterowane, szklące, i tak ślizgie, że kto niezwykajny był po nich chodzić, z trudnością mógł się utrzymać. Na meblach nie dostrzegłeś ani pyłku kurzu; u okien szyby choć małego rozmiaru ale ze szkła zwierciadlanego tak przezroczystego, iż Kwestarz bernardyński mniemając, że okno otwarte, razu pewnego na szybę plunął. Przed domem podjazd brukowany, a na dziedzińcu i w ogrodzie barjery i laweczki malowane, drogi przesiewanym żwirem wysypane, murawy gładkie, jak sukno, żaden listek ani gałązka na ziemi, a drzewa ostrzyżone, wymuskane, utrefione, jak peruka ówczesnego eleganty. Dwór składał się z marszałka, koniuszego, kamerdynera, piwniczego, kredencarza, dwóch lokajów liberyjnych, tyluż froterów, kuchmistrza i czterech kucharzy. Marszałek i koniuszy mieli prawo dozoru, namawiania do poprawy, raportowania j. w. panu cokolwiek złego spostrzegli, ale władza wykonawcza nie należała do nich, bo choć ze Świsłoczy do Boćków było nie więcej nad mil dziesięć, nie znano „boćkowskiego“ na dworze pana referendarza. Jemu jednemu pozostawione było prawo karania:—czasami 24-ro godzinnym postem, czasami rekolekcją duchowną, po wymiar której wysyłano winowajcę do miejscowego proboszcza, czasami pieniężnym sztrafem, a najczęściej godzinnem lub więcej kłęczeniem. Zdarzało się, iż przyjeżdżający sąsiad wchodząc do dworu, zastawał jednego lub dwóch służących kłęczących w przedpokoju. Każdy ze służących miał sobie nadane przez pana przezwisko, i tak: Piotra kuchmistrza nazywał — *Pedryllem*, Konrada

kamerdynera — *Konradidim*, Antoniego lokaja — *Antonellim*, Janowskiego kredenciarza „*Janowskoj kaki kakoj*“.

Pan referendarz jadał obiad o godzinie drugiej, wieczerzę o dziewiątej; codzienny obiad składał się z zupy i sześciu potraw, wieczerza z trzech, nic więcej nie dodawano, chociażby się zjechali najpierwsi dygnitarze w kraju. Jedzenie było zdrowe i obfite, gdyż z ogromnych lasów należących do Świsłoczy, a dochodzących do tysiąca włók, dostarczano różnego gatunku zwierzyny, stosownie do właściwej pory roku. Co miesiąc bito na kuchnię jednego łosia, dwie sarny, dwa daniela ze zwierzynca i mnóstwo rozmaitego ptactwa. Ponieważ włościanie mieli sobie darowane działka czyli zsyпки zbożowe, czynsze pieniężne, oraz wszelkie daniny w grzybach, orzechach i miodzie, każda chata obowiązana była dawać do dworu po dwa karmne kapłony do roku, tam więc, gdzie liczba chat do siedmiuset dochodziła, w spiżarni na niczem nie brakło. W dnie postne z licznych i dobrze utrzymanych stawów, na każde zawołanie dostawiano ryb pod dostatkiem.

Do stołu, prócz krewnych pana domu, bawiących czasami po kilka miesięcy, prócz odwiedzających go sąsiadów, codziennymi gośćmi czyli domownikami byli marszałkowiec Bułharyn, dziedzic Rudawki, wsi oddalonej o pół mili od miasta, i drażkowy szambelan króla Stanisława Augusta Komajewski; oba mieli własne dworki we Świsłoczy, w nich mieszkali, ale od obiadu do wieczerzy przesiadywali ciągle we dworze. Co niedziela zapraszano na obiad miejscowego proboszcza, dyrektora gimnazjum i dwóch po kolei profesorów, a podczas egzaminów szkolnych, uczniów odznaczających się pilnością w naukach.

Podczas jarmarków, ze wszystkich stron zjeżdżali się do Świsłoczy obywatele, a ponieważ przypadły właśnie wtedy wakacje, zajmowali wypróżnione dworki po studentach. Jarmark trwał dwa tygodnie; zwykle w rannych godzinach, pan referendarz oddawał damom wizyty i do siebie zapraszał. Codzienny u niego obiad na sto osób zgromadzał wszystkich. Po obiedzie odbywano spacer po jeziorach, lub pływano po kanałach; następował teatr, a po nim jednego dnia publiczna reduta w mieście, drugiego bal na dworze. Podczas gdy przy muzyce tańczono wesoło późno w noc, gościnny ale znużony gospodarz drzemał czasami na krześle, jednak do końca dotrzymywał placu.

Pani referendarzowa Tyszkiewiczowa w czasie krótkiego pobytu swojego we Świsłoczy, urządziła była piękny i gustowny teatrzyk, na którym z dobranym towarzystwem amatorów, grywała francuskie sztuki, język bowiem narodowy w owej epoce wyrugowany z modnych salonów, przechowywał się jedynie po szlacheckich domach. Otworzył mu swoje podwoje na nowo mąż

opuszczony przez żonę, gdy ta odjeżdżając od niego zabrała z sobą co było modnem, obcem, nieswojskiem. Później, ta sama sala teatralna przeznaczoną została dla dramatycznych jarmarkowych artystów.

Nieraz po obiedzie, kiedy się goście przechadzali po lipowych ulicach, przesuwiał się obok nich pan referendarz ukryty w gęstych szpalerach. Wtem odzywa się kukulka. — Zkąd się tu wzięła? — pytają jedni, drudzy potrząsają pieniędzmi na szczęście, wtem słychać szelest pomiędzy gałęziami i wygląda z nich łysa głowa pana referendarza! — a powtórzywszy raz jeszcze — „kuku” — dodaje — „Ptasznik ptaka nie złapał, ale go ptak w pole wyprowadził”.

W roku 1806, świetniejszym był niż zwykle jarmark świsłocki, zwabił bowiem do siebie najpierwsze rodziny w kraju, najszlachetniejsze piękności, najdorodniejszą młodzież.

Księżne Franciszkowa i Mikołajowa Sapieżyny, Radziwiłłowa, Czetwiertyńska, Woroniecka; Hrabiny: Feliksowa, Antoniowa, Janowa Potockie, Choisełowa, łowczyzna Kossakowska, liczne rodziny: Wołowiczów, Jelskich, Mikulskich, Oskierków, Siehniów, Bułharynow, Połubińskich, Bispingów, Olędzkich, Radowickich, a każda z nich osobny zajęła dworek, jedna drugą odwiedza nawzajem do siebie na śniadania lub podwieczorki zaprasza.

Ks. Dominik Radziwiłł, ordynat nieświeski, stanął w karczmie „pod Orłem”. Wyrzucono z niej żydów, izby wybito makatami, wysłano dywanami, meble sprowadzono z Warszawy. Na stajni 40 koni zaprzężnych, 20 wierzchowych. Już to nie jest nasz Ks. Karol, „Panie kochanku”, ale ks. Dominik, jego synowiec! Tamten w kontuszu, karmazynowych hajdawerach, w żółtych butach, w rogatywie aksamitnej na głowie, ten w londyńskim fraku, spodniach jelonkowych, butach ze sztylpami, w kapeluszu kastrowym albo w masztalerskim kaszkiecie. Ks. Karol gdy siadał na koń, niechże zawołał: — „kto kocha Radziwiłła za mną!” — Wołłodkiewiczze, Rejtany, Borowscy, Rupejkowie, byliby za nim wskoczyli w piekło. Ale i Ks. Dominika zauszników rzesza nie byłaby opuściła, gdyby się do niej odezwał: — „kto siebie kocha za mną!” — bo któż nie wie, że stryj hojnie przyjaciółom swoim rozdawał to dzierżawę za bezcen, to korzystny zastaw, to darowiznę — o każdym pamiętał, o nikim nie zapomniął, byleby był karmazynowym szlachcicem; któż nie wie, że jego synowiec przyjaciółom swoim nie potrzebował dawać, gdyż sami zabierali, pamiętali, nie zapominali o sobie. Ks. Karol był w całym blasku i splendorze pełnią, ks. Dominik ostatnią kwadrą Radziwiłłowskiego domu, ale jeden i drugi kochał kraj, był dobroczynnym aż do rozrzutności najpoczciwszego serca. W drugiej obok karczmie, mieściła się

z Morawskich rozwiedziona Starzeńska, która po ukończonym rozwodzie Radziwiłła z Mniszkówną, małżonką jego została. Książę urządził dla niej we Świsłoczy chwilowe mieszkanie w żydowskim wprowadzie domu, ale z wyszukaniem wykwinem i zbytkiem i był ciągle z asystencją swoją na usługi serca swego pani. — Godzi na druga wybiła, a ani Starzeńskiej, ani Feliksowej Potockiej, ani ks. Radziwiłła nie widać, czekają na nich z obiadem, a pan referendarz z orderem Orła białego, wyszytym na sukni, boleśnie dotknięty w akuracności swojej, niecierpliwi się, siada w oknie, wygląda — napróżno!

Wtem zahuczalo po zwodzonym moście i całym pędem czterech angielskich koni zajechała przed ganek ostatniej mody karjolka, wysiadły z niej obie opóźniające się damy, a z koni zeskokczyli ks. Dominik i Łopot, nieodstępny jego faworyt, obydwa za dzokiejów przebrani.

Zaledwo książę miał czas zrzucić z siebie ponsową kurtkę i frak włożyć, referendarz, wychodząc na jego spotkanie: — „Kogo mam zaszczyt w moim domu witac, — zawołał trzęsącym się głosem od gniewu, — czy księcia masztalerzem, czy masztalerza księcia? — Niestety! do czego to przyszło? Niedawno jeszcze przyjaciele Ś. P. ks. Karola nosili radziwiłłowską barwę, a dziś Radziwiłłowie liberję sług swoich przywdziewają!”

Donośny głos marszałka dworu, oznajmujący, że dano do stołu, szczęśliwie położył tamę admonicji, mogącej mieć nieprzyjemne skutki dla stron obydwóch. Pan Tyszkiewicz powrócił czempredzej do salonu, podał rękę pani Starzeńskiej i poprowadził ją i poprosił ją do stołu, reszta kompanji poszła za niemi. Ale zaledwie miejsca swe zajęli, usłyszano z drugiego pokoju przeraźliwy krzyk kobiecy; zerwali się wszyscy, pobiegli na ratunek i ujrzeni rozciągniętą na ziemi panią Potocką zemdloną. Wtedy się w koło niej krzątali wołając: „doktora, felczera, wody, octu, spirytusu!” Pan domu, nie tracąc głowy: „Antonelli, — odezwał się do kamerdynera swojego, — przynieś mi lancet, sam jej krwi upuszczę, jest to zbawienne lekartwo na spazmy!” I już się zabierał do rzeczy, kiedy chora otworzyła oczy, westchnęła głęboko, podniosła się i oparłszy na ramieniu pana referendarza poszła do stołu. Zadziwienie było powszechne, szyderski jednak uśmiech przelatując z ust do ust, mógł przekonać, jak mało dano wiary w rzeczywistość choroby, jak słabe wywołało współczucie. „Przyznaj waćpan — rzekł dobrodusznie szambelan Komajewski do siedzącego obok niego marszałka — że pan referendarz cudownym sposobem kuruje, do zdrowia przywraca.” — „I apetyt przywraca — dodał, śmiejąc się marszałkowicz, — gdyż patrz, jak chora repetuje, żadnej nie opuszcza potrawy!” — Odegrane dwie sceny

różniły się wielce od siebie, druga zatarła przykre wrażenie pierwszej i dramat w krotoczwile zamieniła. Podczas obiadu wszyscy byli w najweselszym humorze. Referendarz kazawszy sobie podać srebrny puchar, drogą spuściznę po Jerzym Tyszkiewicz, biskupie wileńskim, nalał go winem węgierskim i chociaż umoczył w nim tylko usta, wniósł kolejkę za zdrowie Ks. Dominika Radziwiłła, i przyszłej jego małżonki. Reszta kompanii, jeżeli nie szczerzej, to przynajmniej wierniej spełniła ten toast i wypróżniając puchar poszła nie za przykładem dzisiejszego dziedzica, ale antenatów jego. „Czy wiesz wać-pani dobrodziejka dla czego pani Potocka dostała spazmów, mówiąc między nami, modnych? — zapytał pan Tyszkiewicz pani Starzeńskiej, — dla tego, że panią, przed nią w pierwszej parze poprowadził do stołu, a zapomniała że będąc moją bliską krewną, pierwszeństwo ustąpić była powinna gościom moim. Gdybyś pani dobrodziejka kiedykolwiek tej-że samej podlegała słabości, proszę się do mnie udać, recepta moja niezawodna”.

Jeżeli dziedzic Świsłoczy hojnie i popańsku podejmował gości podczas jarmarków, nie zapominał i o tych, którzy żyjąc z przemysłu, zarabiają na kawałek uczciwego chleba; chcę mówić o kupcach. Przyjeżdżającym z całego kraju, a nawet ze stron dalekich: z Petersburga, Odessy, z Kiszyniewa, Astrachanu, rozdawano darmo sklepy, płacili bowiem tylko od każdego z nich po rublu kluczowego, pisarzowi miejskiemu. Ogromne zjazdy obywatelskie zapewniały im znaczny zarobek, a z rządową policją, czyli ze sprawnikiem, asesorami sądu niższego, kluzwojtem, żadnej nie mieli styczności, gdyż stosownie do wyższego postanowienia, całą tę urzędniczą hierarchję, zastępowała miejscowa administracja pod odpowiedzialnością samego dziedzica. Co niedziela zbierali się w kafehauzie przy muzyce na wieczorynki. Kupcom chrześcijańskiego wyznania rozdawano nieraz bilety na teatr, a żydom na szabas udzielano po kilka funtów ryb na każdego.

Pan referendarz Tyszkewich, idąc z postępem oświaty, której tak chwalebny popęd był nadał Stanisław August, w czasie panowania swojego na początku teraźniejszego stulecia wyrobił sobie przywilej na założenie w Świsłoczy gubernialnego gimnazjum grodzieńskiego, przeznaczwszy na ten cel tymczasowo dosyć obszerne zabudowania, przyjął na siebie obowiązek, wyprowadzenia je z muru, a jeżeli śmierć niedozwoliła skutecznie szlachetnego zamiaru, następcą jego i dziedzic znalazłszy w kasie 200,000 złotych, a przy tem znaczne materiały na ten cel przygotowane, święcie dopełnił testatora woli.

W gimnazjalnych budynkach mieściły się klasy, gabinety, biblioteka, sala egzaminacyjna, dyrektor, inspektor, kapelan i kilku profesorów, inni odbierali z dworu pieniądze na najem pomiesz-

kania; a trwało to dopóty, dopóki w nowo ukończonych gmachach wszyscy pomieszczenia nie znaleźli; opał dla całego gimnazjum dostarczano ze świsłockiego dworu. Dla uboższych studentów, referendarz, z własnej kieszeni wynajmował stancje, a wielu z nich całkowicie swoim kosztem utrzymywał. Nie dosyć na tem, starał się zawsze o dobór najlepszych profesorów, metrom zaś prywatnym, języków lub talentów, wielce ułatwiał utrzymanie się w Świsłoczy. Dbał o moralność młodzieży, za pomocą zaprowadzonej przez siebie policji, postępowanie każdego studenta było mu lepiej może wiadomem jak władzy szkolnej; o ukaranie zatem najmniejszego przewinienia domagał się nieraz od inspektora gimnazjum. Często nawet zasiadał na studenckich sądach w kole profesorów.

Ale jeżeli był nienublagany w karaniu przestępnych, uczących się dobrze i przykładnie się sprawujących umiał od drugich odróżnić, sprawiał im niespodzianki, młodszych obdarzał owocami lub cukierkami, starszych czasami dobrą i pożyteczną książką. Co rok na wiosnę wyprawiał studentom majówkę, uczęszczał na egzamina i podczas aktu uroczystego sam nagrody rozdawał. Jeżeli w lat kilka później spotkał się z dawnym uczniem szkół świsłowskich, witał się z nim jak ze swoim i nigdy zasiłku potrzebującemu pomocy lub protekcji nie odmówił.

Pan, dbały również o wzrost, postęp i oświatę, jak o polepszenie materialnego bytu rolnika, zakładał wiejskie szkoły i oddał ich nadzór ustanowionym przez siebie bakałarzom, a opiekę miejscowym proboszczom powierzył. Świsłocz składała się z piętnastu folwarków, w dobrej żytnej glebie, miała łąk pod dostatkiem, obszerne pastwiska i do tysiąca włók puszczy.

Rozsądny dziedzic, uporządkował nasamprzód robociznę, po trzy dni z uprzążą i jednym dniem pieszym z chaty w tygodniu. Dodał do tego cztery włoki, czyli jak je nazywano „gwalty”, w których cała ludność zdalna do pracy wychodzić musiała do sianozęcia i żniwa; prócz tego naznaczył szarwarki do naprawy dróg i mostów. W owym czasie, nie było jeszcze po dworach zaprowadzonych magazynów włościańskich, kiedy wydarzył się rok nieurodzajny, a właściciel zapasy swoje wyprzedał, przymuszony kupować zboże na wykarm ludzi po wysokich cenach, narażony często bywał na zaciągnięcie długu. Z tego więc powodu, referendarz ustanowił u siebie magazyny i na pierwszy zakład darował włościanom świsłockim 500 beczek żyta i tyleż jarego zboża. Przytem znalazł potrzebę otworzenia kasy komunalnej, do której ofiarował od siebie darowizną 3000 rubli srebrnych i od nich od tej-że kasy opłacał procent. Pożyczający z magazynu włościanin na chleb, lub na usiew, obowiązany był przy oddaniu dosypywać garniec jeden do pożyczonej oziminy. Pożyczający pie-

niadze, płacił 5 od 100 procentu rocznego. Ewikeja była pewną, gdyż cała włość solidarnie za pożyczającego ręczyła; a tymczasem magazyny się coraz bardziej napelniały, pomnażała kasa. Gdy się ilość zboża podwoiła, połowę sprzedawano, a suma ztąd wynikała, przechodziła do komunalnej kasy; również do niej wpływały wszelkie pieniężne sztrafy od przekraczających włościan i dziesiąty grosz od propinacji miejskiej na ten cel przeznaczony.

Pan Tyszkiewicz chciał doprowadzić do tego, aby włościanie procentem od własnych pieniędzy zaspakajali skarbowe podatki i zamiast oddawać rekrutów w naturze, płacili za każdego po tysiąc rubli asygnacyjnych, stosownie do obowiązującego prawa; i byłby niezawodnie filantropijny swój zamiysł doprowadził do skutku, gdyby Bóg o lat kilkanaście życie jego przedłużył. Sądy włościańskie ustanowiono po folwarkach i składające się z lepszych gospodarzy, były pierwszą miejscową instancją, na wszelkie przestępstwa i nadużycia; główna administracja dołączała swoje uwagi do każdego zapadłego wyroku, a sam tylko dziedzic zostawiał sobie prawo potwierdzenia go ostatecznie, złagodzenia lub uchylenia zupełnie.

W całej majątności poprzecinanej na wszystkie strony wyprostowanymi drogami, osadzonemi drzewami, zabudowania gospodarskie były porządne i dobrze utrzymane, a każdy folwark miał swoje lokalne przezwanie, i tak: Świsłocz sama nazywała się *«rezydencją»*, — *Raniewicze*, o ćwierć mili od niej, z małym sosnowym borkiem i altaną, — *«Mon plaisir»*; *Synfany* czyli Klepacze, z letnim pałacykiem wystawionym przez panią referendarzawą, — *«Mon Caprice»*, Rudnia, leżąca na samym krańcu Świsłoczyny, przy gościńcu brzeskim — *«Au revoir»*. Prócz tego, folwarki, gdzie były stawy, przybierały nazwę *rybnych*, gdzie gorzelnie, — *wódczanych*; Hrynki zaś nazywał pan referendarz *«Psiarnią pana gienerała»*, bo chociaż sam nie był myśliwym, chował tam przez pamięć dla ojca gieneralskie ogary i pokurcie.

Tak był do systematycznego porządku przywiązany, iż prędzej, malwersację w rachunkach gotów był przebaczyć niż niedosadzone drzewko, popsutą barjerę, niepoprawiony mostek przy drodze płazem puścić; pierwsze przewinienie, ułomnością był uważał, drugie — występkiem być mienił. Razu pewnego, administracja doniosła „J. W. panu“, iż po obliczeniu ekonoma w Klepaczach, okazał się deficyt na parę tysięcy złotych. Natychmiast winnego kazał oddać i na satysfakcję dworu polecił przyaresztować mu pensję i zabrać konie, bydło i ruchomość całą. Na próżno ekonom o przebaczenie i miłosierdzie nad żoną i dziećmi błagał, ani słyszeć o nim nie chciał! W parę tygodni później, pojechał na spacer do Klepacz i ujrzał koło drogi na wzgórku

krzyż, świeżo obsadzony sześciu jodełkami w równej odległości od siebie, a każda z nich pięknie się przyjęła. — Za powrotem do Świsłoczy, zawałał do siebie komisarza i oddalonemu ekonomowi zaległą pensję oraz przyaresztowane konie, bydło, ruchomość oddać kazał przytem udzielić świadectwo następującej treści: „Służył u mnie trzy lata, miał wielkie zamiłowanie porządku, utrzymywał dobrze drogi i przysady, ale ponieważ za posadzone przez niego sześć jodeł przy krzyżu, zapłaciłem mu 2000 złotych polskich, uważając że to za drogo, uwalniam go od służby i życzę szczęścia i powodzenia“.

Pan referendarz „minucista“ w najmniejszej rzeczy, gdzie co położył, powinien był znaleźć. Codzień o tej-że samej godzinie wstawiał, kładł się, jadał śniadanie, obiad, wieczerzę, odbywał przechadzki. W niedzielę, kiedy wchodził do kościoła, w tej-że samej chwili ksiądz ze mszą wychodził; cały dwór na nabożeństwo obowiązany był uczęszczać, a kto tej powinności nie dopełnił bez ważnego powodu, ten później klęcząc przez pół godziny, musiał odmawiać pokutne modlitwy.

Ponieważ pan marszałkowicz nie jadał chleba przy stole, a pan Komajewski nie pił wina, przed jednym kłaść chleba, a przed drugim stawiać kieliszka nie pozwalał. Spostrzegł razu pewnego, że jeden z sąsiadów palcami brał cukier z cukiernicy do kawy, odtąd kazał mu na osobnej miseczce kłaść kilka kawałków, mówiąc: — „Nie żałuję, ale nie brudź własnymi palcami daru bożego“. Pan marszałek Radowicki, nabrawszy wosku ze świecy, robił z niego kulki, ubodło to gospodarza i od tej chwili, ile razy przyjechał pan marszałek, kamerdyner przynosił mu na tacy całą świecę woskową, przy której to ceremonji odbierał zawsze tę samą admonicję: — „Bawić się pozwalam, ale nie psuć, bo to grzech!“.

Byli tacy, którzy referendarza nazywali dziwakiem, gdyż powierzchownie o nim sądząc, spostrzegali dziwaczność a nawet śmieszność tam, gdzie się zawsze ukrywał cel szlachetny, z kąd wypływał dobry uczynek; inni mawiali o nim, że jest „oryginałem bez kopji“ i nie mylili się bynajmniej, oryginalność bowiem podobna powinna była być naśladowaną, zostawszy zaś bez kopji, niestety! zatraconą została.

Daleki jego krewny, chociaż bardzo bogaty, miał zwyczaj pobierać przy każdym wydanym przez siebie kontrakcie na młyn lub karczmę, po jednej głowie cukru kontraktowego. Razu pewnego, weszło do niego dwóch żydów, każdy z nich z kontraktem do podpisania, a we dwóch jedną tylko przynieśli głowę cukru. Spostrzegł to odrazu i zaczął na głos wołać: — „Gwałtu! ratujcie, co ja widzę, monstrum, dwóch żydów z jedną głową“.

Służba usłyszała, przybiegła, wypchnęła żydów i póty nie wpuściła nazad, póki drugiej nie przynieśli głowy. Gdy to opowiadano panu referendarzowi: „Každy robi jak mu się podoba — odpowiedział — ja zaś najszczęśliwszy jestem, kiedy do mnie przychodzą nie z głową, ale z otwartem sercem i z przekonaniem, iż nikomu krzywdy nie jestem w stanie wyrządzić“.

„Nie daleko Prużany, — mówi J. I Kraszewski — w kolonii zwanej Kraśnik, mieszkał Franciszek Karpiński, gdzie dotąd jego drewniany dworek stoi blisko drogi. Dwa ganki z daszkami, dwoje drzwi, żadnego okna od dziedzińca. Za domem gęsty las jodeł, wokoło wytrzebione pole ocienione lasami. Tu poeta serca mieszkał długo, tu razem ze swojemi chłopkami wydierał i uprawiał rolę. Za sielankę zapłacono mu sielanką, kawałem prostej ziemi, za kawał prostej i prostodusznej poezji“.

W ostatnich latach swego życia kupił wieś *Chorowszczyznę* zwaną, o trzy mile od Świsłoczy, tam, w lat kilka potem umarł, pochowany na cmentarzu w Łyskowie. Na jego grobie postawiono pomnik, na którym, stosownie do jego woli wyryto: „Oto mój dom ubogi“.

Karpiński często przesiadywał w Świsłoczy, zwłaszcza gdy się przeniósł z Kraśnika do Chorowszczyzny. Jeżeli Tyszkiewicz umiał ocenić wielkiego poetę, Karpiński znał piękną Tyszkiewiczą duszę; pomimo tego odmiennosc zdań nieraz ich powaśniła, a w końcu poróżniła zupełnie. Karpiński był próżny, lubił pochwały i kadzidła, lubił odbierać poważania i uwielbienia dowody; występował wobec arystokracji imienia, znaczenia i dóbr, ze swoją arystokracją talentu. Miłość własna wyrobiła w nim drażliwość, ta wywołała podejrzliwość i zdawało mu się w każdym słowie spostrzegać chęć uchybienia, w najniewinniejszym żarcie, odgadnąć ubliżenie. Zawsze się uskarżał i utyskiwał na ludzką niewdzięczność. Tyszkiewicz pomimo fizycznej ociężałości, temperamentu bardzo żywego, łatwo się rozgniewał, łatwiej jeszcze uspokoił; jeżeli się poczuł winnym, sam pierwszy przeprosił, jeżeli go obrażono — przebaczał, ale pamiętał. Spokrewniony z rodziną królewską, w swojej przytomności nie pozwalał nikomu występować ze zdaniem przeciwko królowi, lub, jak ją wtedy nazywano, familji, uważał to za obowiązek.

Odebrawszy wychowanie ówczesnych dzieci magnackich, ze wszelkimi wyobrażeniami owej polskiej równości, niewykluczającej wszakże uprzedzeń wyższości rodowej, jeżeli kochał szlachtę, to nie dla tego, że była mu równą, ale jak ojciec dzieci, jak opiekun poruczonych jego pieczy, jak dobrodziej obowiązanych sobie, kochał ich, bo miał w sercu głęboko wyrytą miłość bliźniego.

Tłómacz psalmów dawidowych, rannej i wieczornej modlitwy,

nie był katolikiem, ale deistą, dziedzic Świsłoczy był z przekonania nabożnym. Tamten rozjątrzony na panów, za to, że się nie poznali na nim, nie dosyć świadczyli, został demokratą, ten nic od nikogo nie potrzebując, drugim raczej świadczył, czem był, tem pozostał. Były to dwie budowle, które obok siebie postawione, nie mogły się z sobą spoić, pierwsza bez fundamentalnej podstawy, musiała runąć, druga wzniesiona na podmurowaniu z opoki, pozostała. Pamięć pierwszej w powtarzanej pieśni do potomności doszła, drugiej w dobrych uczynkach.

Razu pewnego, po długiej poobiedniej dyskusji, w której Karpiński przypisywał nieszczęścia krajowe magnatom naszym, referendarz, zaperzony, temi słowy zakonkludował rozmowę: — „Každy magnat solą w oku waćpanu, bo sam nim nie jesteś!“ Poczem wyszedł do ogrodu, Karpiński drugimi drzwiami już się wynosił, gdy go marszałkowiec Bułharyn w samym progu zatrzymał, a zaśpiewawszy fałszywym głosem pieśń o Justynie, rozśmieszył i udobruchał.

Podczas spaceru swojego, Tyszkiewicz, wysapawszy się i ochłoniawszy z gniewu, przypomniał sobie, że rok był nieurodzajny, a do tego w Chorowszczyźnie grad wybił zboże, przez co Karpiński musi być w złych interesach, skoro więc wrócił do domu, z uśmiechem na ustach wziął go za rękę, posadził obok siebie na kanapie i temi się słowy do niego odezwał: — „Panie Franciszku, u ciebie w tym roku niema co robić, bo ci grad zboże już wymłócił, przenieś się lepiej do Świsłoczy, ofiaruję ci mieszkanie przyzwoite i wszelkie wygody. Będziemy razem po spacerach i po sąsiedztwach jeździć, będziemy z sobą rozprawiać, czasami się kłócić, zawsze się godzić, na moje zaś imieniny, urodziny oraz na większe uroczystości wytrzęsiesz z rękawa jaki dowcipny wierszyk, ja zaś za to przeznaczam ci po trzysta czerwonych złotych do roku“. Zaledwo tych słów domówił, Karpiński zbladł, zerwał się z miejsca, a odepchnawszy podaną sobie dłoń przyjacielską: — „J. W. referendarzu litewski, kawalerze wielu orderów — zawołał — wiedz pan o tem, że Franciszek Karpiński ubogi, ale hardy, zdolności jakie mu Bóg dał, nie sprzedaje, nie pisze za pieniądze na rozkazy i woli pozostać gołym, a panem swej woli, niż sługą magnata!“ Poczem uklonił się, wyszedł z pokoju i opuścił Świsłocz na zawsze.

Jan Śniadecki rektor uniwersytetu wileńskiego, był w stosunkach ścisłej przyjaźni z panem Tyszkiewiczem, przyjaźni opartej na zobopólnym szacunku, pan rektor czas wakacyjny przepełniał nieraz we Świsłoczy i oddawał się wtedy z całym zamiłowaniem myślistwu! Gdy wracał z polowania, a to się nie udało, powstawał przeciwko krajowi, gdzie się trzeba było włóczyć dzień

cały, aby napotkać kuropatwę—jedynaczkę, lub bekasa—sierotę. „Nie tak się dzieje w Prusach lub Saksonji — powtarzał — tam porządna i systematyczna administracja, łowiectwo doprowadziła do tego, że co krok to zając, kuropatwa, bekas“.

Pan referendarz, żarliwy obrońca swojszczyzny, zaprzeczał i wszczyniała się zacięta kłótnia pomiędzy żywym srebrem a ukropem: żywe srebro, stosownie do temperatury, podnosiło się lub zniżało co chwila, ukrop wrzał, nie ostygł. Zapalczywi obydwaj, jeden nie ustępował drugiemu, małeńki pan rektor skakał po pokoju, gruby pan referendarz trząsł się na krześle, aż nakoniec, gdy się pierwszy zmęczył, drugi zasapał, następował rozejm, dalej wzajemne podanie sobie dłoni i zgoda. O ile Tyszkiewicz poważał i szacował Śniadeckiego, dowodem, iż zapisane przez siebie 200,000 młodym dwóm krewnym, chciał koniecznie ulokować u niego, aby z nich procent mógł służyć na ich wychowanie.

Rektor, nie chcąc się podjąć takiego ciężaru, odmówił, Tyszkiewicz prosił, nalegał, gniewał się—napróżno i po długich sporach, złożył w depozyt u Śniadeckiego pieniądze, a kiedy nie-ktnięte leżały w kufrze, sam od nich płacił procent do czasu pełnoletności młodzieńców.

Referendarz ślepo był przywiązany do żony, pomimo że w ciągu życia całego nie okazała mu najmniejszego współczucia. Żadnych z nim stosunków nie miała, nawet takich, jakie sama grzeczność wymaga; jeżeli nie lubił o niej wspominać, że myślał, dowiódł niejednym uczynkiem. Ilekroć do Warszawy zawitał, nie bwał u niej, ale w teatrze, naprzeciwko jej łoża miał swoją tak nazwaną z francuskiego „łazienkę“ (baignoire); tam za kratką sam niewidziany, mógł bez przeszkody patrzeć na przedmiot swej nadto uporczywej miłości. O milę od Świsłoczy, w folwarku Klepacze, zaczęła pani referendarzowa budować piękny pałacyk, przypominający czasy Ludwika XV-go, dokończył go jej małżonek, atoli w nim nigdy nie mieszkał, ale w dawnym domostwie, a gdy go pytano:—„dla czego?“—„Za wysokie progi na moje nogi!“—odpowiadał. Klepacki pałacyk przeistoczony przez fundatorkę na Synfany co po grecku znaczy: „nowy dom“, od nazwiska pana de Maison-neuve, swego przyjaciela, leży nad wielkim stawem porzecinanych wyspami, obsadzonemi drzewami. Na jednej z nich wieża z zegarem, na drugiej altana, na trzeciej dom dla królików, czwarta ostrokołem obwiedziona, tam chowane sarny. Po przeciwnej stronie stawu, wyglądał mały lecz schludny kościółek Grecko-unickiego wyznania. Pałacyk składał się z dwóch salonów, z których jeden ośmiokątny, wyłożony całym kafelkami, służył zarazem za kąpiel i miał wannę ukrytą w kanapie; drugi był wybity adamaszkiem złotym, sypialny pokój zielonym, a w każdym

z nich odpowiadające zasłony u okien i meble białe lakierowane ze złotem; portrety pani referendarzowej, króla Stanisława Augusta, ks. prymasa Poniatowskiego i pana generała Tyszkiewicza, weneckie lustra dużych rozmiarów w złożonych ramach, zegary paryskie.

Zaraz za domem, był niegdyś ogród fruktowy, ale gdy dostrzegł referendarz, że mu nieraz dla zerwania owoców łamią gałęzie, drzewa owocowe kazał powycinać, a natomiast kwatery posadzał klonami i kasztanami. Za ogrodem labirynt grabowy, dalej na łące karuzele i huśtawki, nakoniec laszek brzozowy, z obciętymi wierchołkami jak w Świsłoczy.

Pan referendarz, gdy się dowiedział, że małżonka jego jadąc z Siedlec, od pani hetmanowej Ogińskiej, na Brześć, Grodno, do pani hetmanowej Tyszkiewiczowej w Horodczy, przejeżdżać będzie przez Świsłocz, udał się o mil kilka na jej spotkanie, na samą granicę Świsłoczyny. Tam oczekiwał dni parę, a gdy mu oznajmiono, że pani jedzie, wyszedł na drogę, zatrzymał jej karetę, otworzył, i niewysiadającą z niej nawet, przy samych drzwiczkach powitał, pocałował w rękę i do siebie zaprosił. Po odmownej odpowiedzi, otrzymawszy pozwolenie przeprowadzenia małżonki przez swoje dobra, przez mil pięć jechał za nią w swoim pojeździe, poczem, odbywszy tą samą ceremonję co przy powitaniu, rzucił jej pod nogi na pożegnanie trzos z 1,000 czerwonych złotych.

Referendarz zawsze dbał o utrwalenie tego co dla włości swoich w ciągu całego życia zrobił, dnia 20 grudnia 1813 r. sporządził testament i przyznał go w aktach powiatu wołkowyskiego. Na to, gdyby ktośkolwiek zapytał: dla czego nie ustanowił majoratu? odpowiem, że gdyby mu szło jedynie o splendor i przepoję imienia, byłby nie z jednej Świsłoczy, ale z całego majątku utworzył majorat na wybranego po sobie następcę, w braku własnego potomstwa. On zaś, idąc za głosem pocziwego serca, wolał liczną a nie majątną wspomódz rodzinę, niż wzbogacić jednego. Zapisał Łohojsk—Pijusowi Tyszkiewiczowi. Białopole—ukraińskiemu Tyszkiewiczowi, Świsłocz zaś oddawał Tyszkiewiczowi, staroście wielatyskiemu, z zastrzeżeniem wypłacenia legatów, i wykonania wszelkich warunków testamentu. W razie, gdyby pan starosta nie chciał przyjąć Świsłoczy, dziedzictwo przechodziło na syna jego, Michała, następnie na Tadeusza byłego generała wojsk polskich, dalej na Wincentego i Józefa, synów Dominika, a nakoniec do rządu, pod temi samymi zobowiązaniami. Te, na pierwszy rzut oka, zdawały się bardzo uciążliwe. Nasamprzód, trzeba było jednorazowo zapłacić 750,000 złotych polskich pani referendarzowej, która, aż do zaliczenia całkowitej sumy,

miała prawo zajęcia majątku i pobierania z niego intrat bez zdawania z nich kalkulacji. Prócz tego, wypadało jej płacić dożywotnej pensji po 2,000 dukatów do roku.

Drugim zobowiązaniem było wymurowanie gimnazjalnych gmachów w przeciągu lat trzech od śmierci testatora, a do lat dziesięciu: kościoła, apteki, kafenhauzu, pięciu karczem i wszystkich domów okrażających rynek. Następowaly rodzinne legata: 300,000 złotych zapisane panu Tadeuszowi Tyszkiewiczowi i drugie 300,000 innym członkom rodziny, domownikom i dawnym sługom, nie przepomniawszy o żadnym.

Że podobne zobowiązania, czyli raczej warunki mogły się, jakem wyżej powiedział, uciążliwemi wydawać, nie przeczę; zląkł się ich pan starosta wielatycki i syn jego Michał i odstąpił od praw do dziedzictwa; odważniejszy od nich pan Tadeusz, podjął się warunków i sukcesję przyjął.

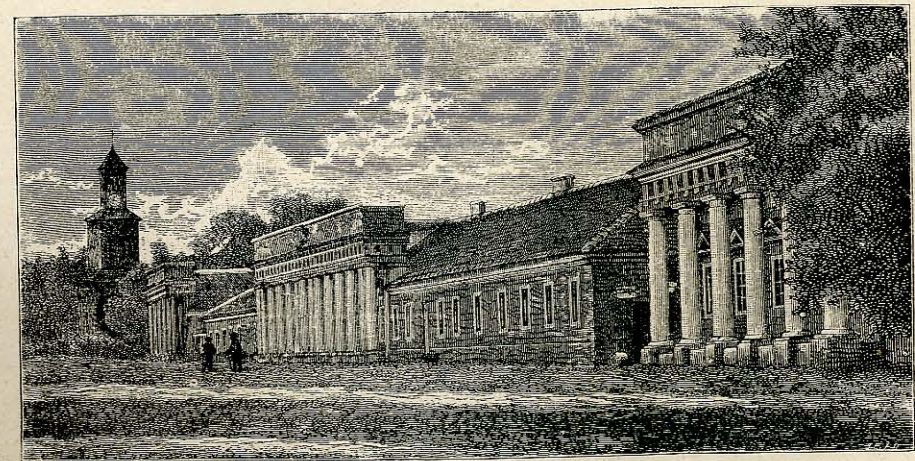
W testamencie wszakże znajdował się przypisek w tych słowach: „dla ułatwienia warunków, i spłacenia legatów, dodaje się dziedzicowi Świsłoczy na własność, suma miljon złotych polskich ulokowana na procencie u ks. Radziwiłła, ordynata nieświeskiego. Oprócz tego, złożoną była w świsłockiej kasie suma 200,000 złotych, przeznaczona na wymurowanie gimnazjum. O tym dopisku, że nie wiedzieli ani starosta ani syn jego, wątpić nie można, czy wiedział lub nie pan Tadeusz, zaręczyć nie mogę.

Tadeusz Tyszkiewicz, mój ojczym, w kampanji 1812 roku, służąc w wojsku polskim w stopniu generała, w bitwie pod Medyną wzięty do niewoli, wrócił do Warszawy w 1814-tym, a w następnym, na wiosnę ożenił się z matką moją, Józefą z Sołkhubów Potocką, rozwiedzioną z ojcem moim, Stanisławem, generałem wojsk polskich. Pan Tadeusz posiadał w marjampolskim powiecie majątek Bałwierzyski, leżący nad samym Niemnem. Jego to referendarz wybrał na spadkobiercę Świsłoczy. Chcąc w trakcie będący interes doprowadzić do skutku, obie strony potrzebowały spotkać się z sobą dla zobopólnego porozumienia. Pan Tadeusz nie chciał brać paszportu do Rosji, mniemał może, że mu go odmówią, pan referendarz nie życzył sobie do Warszawy zawitać. Obmyślili zatem udać się do Tykocina na dzień naznaczony. Pierwszy z nich, wyprawiwszy zaraz po ślubie matkę moją do wód szlązkich, przybył do Tykocina na polską, drugi do Szełagówki, na rosyjską stronę.

Od czasu wojny nie było mostu na Narwi, ale dyrektor komory mógł udzielać prywatne pozwolenia przebycia granicy; otrzymał takowe pan Tadeusz i już się na drugi brzeg wybierał, kiedy się temu pan referendarz oparł. On każdy krok, uczyniony wbrew prawu, uważał za nadużycie, każde nadużycie za zbrodnię stanu,



Wincenty Tyszkiewicz.
Referendarz litewski.



Gmach gimnazjalny w Świsłoczy.

umyślił więc inny sposób widzenia się i rozmówienia ze swoim krewnym. Czemużby np. Wincenty Tyszkiewicz z Tadeuszem Tyszkiewiczem, nie mogli się spotkać wśród Narwi na promie? Po dwugodzinnej rozmowie, pierwszy do Swisłoczy, drugi do Warszawy powrócił.

W tymże samym roku, z guwernerem moim panem Okr....., pojechałem do mojej matki, mieszkającej w Balwierzyszkach na wakacje. Przybył tam pan referendarz, ujrzałem go po raz pierwszy i polubiłem odrazu, gdyż był wesoły i umiał się zastosować do każdego wieku. Rozmawiał ze mną o Warszawie, a wiedząc, że byłem uczniem szkół pijarskich, pytał o profesorów, których znał osobiście, szczególnie zaś o księdza Kopczyńskiego, Przecytańskiego, Bielskiego bo i on przez lat kilka pobierał nauki w Collegium Nobilium księży Pijarów, a jak wpadł w dobry humor, i zaczął prawić o swej młodości, o szkolnych figlach, o dworze Stanisława-Augusta, o zabawach stolicy, każde słowo z upragnieniem chwytalem, gdyż od lat najmłodszych, chociaż chętnie hasałem z młodymi, największe upodobanie miałem słuchać, kiedy starzy dawne opowiadali dzieje.

Pan referendarz jadł bardzo wiele i z tego pewnie powodu, często na zdrowie zapadał. Zabroniona mu była wieczerza, gdyśmy do niej siadali, kazał się w bocznym pokoju zamykać, z kądem dobijał się do nas, prosił, zaklinał, aby mu otworzono, wołając w niebogłosy: „otwierajcie, odmykajcie!”

„Co to za perfumy, odory, co to za sosy dolatują do mnie, zmiłujcie się, puszczajcie, bo nie wytrzymam, umieram z głodu, umarłem!” Po wieczerzy dziękował, że mu nie otworzono, a nazajutrz tę samą scenę odegrywał! Zabawił z parę tygodni w Balwierzyszkach, układy z panem Tadeuszem Tyszkiewiczem pokoił, potem, wyjeżdżając, obiecał przyjechać na zimę do Warszawy.

Podczas zimy 1815-ty na 1816-ty, matka moja mieszkała w Warszawie, w domu Wasilewskiego na Krakowskim-przedmieściu, pan referendarz w mniejszej Wizytkowskiej kamienicy, na przeciwko saskiego dziedzińca. Przyjechał dosyć dworno, miał z sobą kamerdynera, dwóch lokai, kuchmistrza, cztery konie na stajni. Towarzyszył mu nieodstępny marszałkowicz. Pan Tyszkiewicz nigdzie nie bywał, ale go ci i owi odwiedzali, zwłaszcza moja matka codziennie przed obiadem, ja zaś bardzo często przed wieczorem. Skorom tylko wchodził, kazał mi obok siebie siadać i wypytywał, co kto robi w całym mieście, kto się z kim kłóci, kto się z kim pokłócił, pogodził. Gdym o ile mógł, zaspokoilił jego ciekawość i nie miałem nic więcej do opowiedzenia, sam pierwszy mnie zegnał, prosząc, abym czemprędzej z nowym zapasem nowinek i plotek powracał. Wszyscy nowi znajomi pośpie-

szyli ze złożeniem mu winnego uszanowania, co go nieraz wielkiego nabawiło kłopotu. Kiedy Stanisław Potocki, minister oświecenia, dawny jego kolega szkolny, przysłał z zapytaniem, o której godzinie może go odwiedzić, zafrasował się niemało; jak ma przyjąć tak wielkiego dygnitarza, ministra, wojewodę? Już chciał sobie szyć mundur, ale zkad dostać gwiazdę orła białego? — bo swoją zostawił we Świsłoczy! Dowiedział się o tem Potocki i, nie czekając dalej, wpadł znienacka do referendarza, ten się zmieszkał zrazu, ale gdy się serdecznie uściskali i rozgadali, zapomniał o ministrze, wojewodzie, przypomniawszy tylko dawnego szkolnego koleżę i towarzysza młodości.

Powiedziałem wyżej, że lubił słuchać plotek, z nich nieraz tworzył komemoracje; gdy w skutek powtarzanej przez niego plotki, matka moja oddaliła pannę służącą, skoro się o tem dowiedział, mocno się zmartwił. Wchodzę do niego, siedzi na krześle zasępiony, kłania mu się, odklonił, lecz milczy, pytam o zdrowie, nie odpowiada! Gdy napróżno odgadnąć pragnę, co to może znaczyć — wyjmując zegarek z kieszeni i na migi pokazuje, abym wyszedł i za godzinę do niego powrócił. Powracam. „Chcesz pewno wiedzieć, — pyta, dla czego cię przyjął przed godziną milczeniem? Dla tego, że źle zrobiłem, zgrzeszyłem, z tego więc powodu naznaczyłem sobie karę. Nagadali mi dziwolągi na pannę służącą twojej matki, powtórzyłem co słyszałem, ona ją oddaliła i być może biedaczkę najniewinniej pozbawiono miejsca. Kiedy mój służący nabroi, musi klęczeć i jabym ukląkł, bom na to zasłużył, ale nie mogłbym o własnej sile powstać, dla tego postanowiłem sobie za pokutę przez cały tydzień po dwie godziny na dzień milczeć. Nie pochwalił się wszakże, że oddalonej z jego przyczyny pannie służącej całoroczną pensję posłał, sposobem wynagrodzenia.

W kilka dni później, mój służący wchodzi do mnie z rana. Patrzę na twarz jego mocno poturbowaną: — „Co ci jest Stanisławie?“ pytam.

— Pobił mnie wczoraj Konrad pana referendarza.

Co tylko tych słów domawiał, przysyła Tyszkiewicz po mnie, prosząc, abym służącego mego z sobą przyprowadził. Wchodzę, o wszystkim już wiedział, prosi mnie siadać obok siebie po prawej stronie, a po lewej siedzi marszałkowiec Bułharyn; przed nimi klęczy Konrad, za nim stanął Stanisław. Referendarz przemówiwszy kilka o miłości bliźniego, głos dał panu Marszałkowi, a ten następującym sposobem rozpoczął wywód sprawy:

- Konradzie, gdzie byłeś wczoraj wieczór?
- W szynkowni, na Bednarskiej Ulicy.
- Z kim?
- Ze Stanisławem.

— Cóżście tam pili?

— Po parę lampeczek miodu.

— I popiliście się?

— Trochę.

— O cóście się pokłócili?

— On utrzymywał, że u nich w Warszawie lepiej, a ja, że u nas na Litwie.

— Kto pierwszy uderzył?

— Ja.

— Czy oddał ci?

— Nie, bom się nie dał.

— Konradzie, czy żałujesz tego coś uczynił?

— Żałuję!

— Czy obiecujesz poprawę?

— Obiecuję!

Na tem się cały wywód zakończył, a prezydujący skazał Konrada za to, że do szynkowni chodził, upił się, pobił, pokaleczył, mógł zabić, — na zapłacenie miesięcznej swej pensji poszkodowanemu, poczem, musiał w naszej obecności Stanisława przeprosić i pocałować w rękę.

Nie minęło parę tygodni, pan referendarz, korzystając jeszcze z sannej drogi, opuścił Warszawę, ułożywszy się wprzód z moim ojczymem, iż mu od przyszłego Św. Jana, roku bieżącego, ustępuje Świsłoczy, warując sobie wszakże 2.000 czerwonych złotych rocznego z niej dochodu, wolne mieszkanie na zimę w Klepaczach, na lato w Willi Świsłockiej za Brzeską Ulicą i dostarczenie wszelkich wiktuałów i potrzeb na kuchnię. Niestety! nie doszło do tego, gdyż wnet otrzymaliśmy następującą wiadomość, umieszczoną w pismach publicznych:

„Wincenty, hrabia na Łohojsku, Tyszkiewicz, niegdyś referendarz W. Ks. Litewskiego, i Orderów polskich kawaler, znajdując się w drodze, umarł 12 marca 1816 roku w majątności Duboja, niedaleko Pińska, u swej krewnej Pani Korzeniowskiej.

„On to, pieniężnym zasiłkiem, w ilości 500 czerwonych złotych, dopomógł panu Lindemu do pośpiechu wydania tomu szóstego Słownika Polskiego; on, dla gimnazjum gub. Grodzieńskiej, w swoim dziedzicznym mieście Świsłoczy w powiecie Wołkowyskim, dawszy tymczasowe w drewnianych budowach pomieszkanie, na wystawienie murowanego gmachu przeznaczył sumę 200,000 złotych.

Przeszłe wojenne czasy nie dozwoliły wyprowadzenia tych murów, ale pieniądze odłożone na ten przedmiot, w gotowiźnie, zapewnione są testamentem. Oprócz tego darował rzeczonemu gimnazyum znaczny zbiór książek. Tenże hrabia powszechnie jest znany u nas, na Litwie, jako wzór światłego kierownika, tak

w porządnem i ozdobnem utrzymywaniu wiosek, przy dobrym i prawdziwym, pomyślnym bycie włościan, jako też w przystojnym i stanowi swojemu odpowiednim sposobie życia, równie dalekim od skąpstwa, jako też od szkodliwej dobrym obyczajom rozrzutności. Nie miał tak zwanych interesów, to jest żadnych długów i nie prowadził prawnych procedurów, co u nas, jak wiadomo, w klasie właścicieli ziemskich, rzadko się zdarza. Dla tego wystarczyły mu dochody na dobre uczynki i znaczne dary dla mniej dostatniej familji, jako i przyjaciół, czego zostawił dowody w testamencie swoim, w którym zabezpieczył środki podniesienia miasta Świsłoczy i polepszenia stanu włościan. Niebyłoby może bez pożytku, gdyby kto dobrze wiadomy i umiejętny sposób ekonomiki i rządzenia się jego, w szczegółach i porządku należytem opisał, a dla przykładu i nauki ogłosił. Dzieła podobnego rodzaju najłatwiej przyczyniać się mogą do poprawienia krajowego gospodarstwa i ogólnego bytu.

(Dziennik Wileński, № 15 z d. 31 marca 1817 r.).

(D. c. n.).



0M046



TOWARZYSTWO AKCYJNE
Zakładów Wyróbów Metalowych
KONRAD, JARNUSZKIEWICZ i S-ka

PETERSBURG: Morska № 15. Telef. 2673.

Moskwa: Wielka Łubianka, dom Tow. Asekur. „Rossja”.
Warszawa: ulica Grzybowska № 19, dom własny.

POLECA:

**WIELKI WYBÓR ŁÓŻEK ŻELAZNYCH, MOSIĘŻNYCH
i NIKLOWANYCH**



z materacami sprężynowymi i siatkowymi z drutu stalowego. Umywalek zwyczajnych i marmurowych. Wózków dzieciennych i Kołder w różn. gatunkach.

CENNIKI BEZPŁATNIE.

**Ważne dla ludzi czynu i
obowiązku.**

Wskazę zacząć uczącą się młodzież,
wprost głód cierpiącą na studiach. Po-
ratujcie ją bracia w Imię Boże!

**Ważne dla Chlebobawców
i Pracowników:**

Polecam bezinteresownie wszelką
ucziwą pracę rodaków i rodaczek z
poręczeniem.

Zgłaszać się po informacje adresując: Mińska gub. poczta Uzłany,
dominium Zamość. **Aleksander Jelski.**

PRYJMAJECCA PADPISKA na 1910 hod.

na Pierszuju białaruskiju hazetu z r y s u n k a m i

„NASZA NIWA“.

«NASZA NIWA» pastawiła sobie metu budzić u białarusou paczucie czelawieka i hramadzia-
nina, holasna hawaryć ab jaho patrebach i prawach.

«NASZA NIWA» usie nowyje dumskije zakony, katoryje datykajut Białarusi, razbieraje
i acepiwaje żywymi prykladami z życia Białaruskaho kraju.

«NASZA NIWA» tłumaczyć swaim czytaczam usio, szto robićca na celym świecie i u Basiei.
«NASZA NIWA» drukuje praktycznyje butarki ab haspadarcy, tłumaczyć jak narychtawac
roznuje kulturnyje sprawy (kooperacyi, sielskije baneczki, biblioteki, kniharni i dr.).

«NASZA NIWA» u «Paczioław skrynicy» daje atkazy na usie pytańnia, tłumaczyć zakony, paka-
zywaje dobryje kniżki białaruskije, polskije, ruskije i inasz.

«NASZA NIWA» kasztuje s perasyłkaj i daśtawkaj da chaty: na 1 hod—2 rub. 50 kap., na 2
hoda—1 rub. 25 kap., na 3 mies.—65 kap., na 4 miesiac.—25 kap.

Redaktor-Wydawiec **A. Ułasou.**
Adres Redakcji i Kantory: **Wilnia, Wileńskaja 20.**

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI JÓZEFA ZAWADZKIEGO W WILNIE.

- ALBUM PIĘKNIEJSZYCH WIDOKÓW WILNA. W oprawie ozdobnej. 1 80
- Bobrowski F. Ks. SŁOWNIK ŁACIŃSKO-POLSKI. Wydanie III, poprawione i uzupełnione. Tom I. A—K, str. 2013. Tom II, część I-a, L—O. Cz. II-a P—S. Cena za całość 8 —
- Chodźko Ignacy: WYBÓR PISM. Obrazy Litewskie. Domek mojego dziadka. Boruny. Śmierć mojego dziadka. Ostatnia sesja eksdywizji. Samowar. Powrót dziedzica. Poddany. Brzegi Wilji. Pamiętniki kwestarza. Jubileusz. Duch opiekunczy. Śmierć Kiejstuta. Autor swatem. Panna respektowa. Dwórki na Antokolu. Nowe pamiętniki kwestarza. Str. 738. 1 50
- W ozdobnej oprawie z wyciskami
- DZIEJE POLSKI w skróceniu, z wizerunkami królów polskich podług Jana Matejki 1908 str. 99. 2 —
- Grzymałowski W. DZIEJE KOŚCIOŁA POWSZECHNEGO W KROTKIM ZARYSIE. Str. 177. 40
- Kałamitar A. POPULARNY PODRECZNIK GOSPODARSTWA MLECZNEGO. Mleko i produkty mleczne w mniejszem i średnim gospodarstwie folwarcznem, z rysunkami w tekście, przekład z rosyjskiego. Str. 115. 50
- Kurczewski Jan X. KOŚCIOŁ ZAMKOWY czyli KATEDRA WILEŃSKA w jej dziejowym, liturgicznym, architektonicznym i ekonomicznym rozwoju. Na podstawie aktów kapitulnych i dokumentów historycznych. Str. 328. 3 —
- W oprawie ozdobnej
- Zahorski W. Dr. KATEDRA WILEŃSKA. Z licznymi ilustracjami. Str. 226. 4 50
- W ozdobnej oprawie
- Zawadzka W. A. L. KUCHARKA LITEWSKA, zawierająca przepisy gruntowne i jasne własnem doświadczeniem sporządzone, sporządzania smacznych, wykwintnych, tanich i proznych rozmaitych rodzajów potraw, tak mięsnych, jako i postnych, oraz ciast, legumin, lodów, kremów, galaret, konfitur i innych deserowych przysmaków, tudzież rozlicznych aptecznych zapraw, konserw i rzadszych specjałów, z przydaniem na początku książki dokładnej dyspozycji stołu. Wyd. 10-e, przerobione i powiększone, str. 536. 1 50
- W kartonie i 70, w oprawie
- Zarys historii polskiej dla dzieci w dwóch kursach. Wyd. 5-e 1903, brosz. 1 50, opr. w kart. i 70, w ozd. opr. 2 —

Księgarnia utrzymuje na składzie wielki wybór książek w różnych językach. Wszelkie nowości wydawnicze krajowe i zagraniczne otrzymuje natychmiast po wyjściu z druku. Pośredniczy w prenumeracie pism polskich i obcych. Zamówienia zamiejscowe załatwia szybko i dokładnie. Katalogi przesyła bezpłatnie. ODDZIAŁ NOTOWY zaopatrzone jest OFFICIE w utwory muzyczne na fortepian, do śpiewu i na rozmaite instrumenty.

„KURJER LITEWSKI“

NAJWIĘKSZY DZIENNIK POLITYCZNY I LITERACKI NA LITWIE I BIAŁEJ RUSI
pod redakcją: Wojciecha Baranowskiego.

- „KURJER LITEWSKI“ posiada bogaty dział literacki.
- „KURJER LITEWSKI“ we wszystkich sprawach politycznych i społecznych jest informowany u źródła.
- „KURJER LITEWSKI“ podaje sprawozdania z życia całej Polski i Europy, posiadając wszędzie własnych korespondentów.
- „KURJER LITEWSKI“ w dziale publicystycznym ma przyrządzone współpracownictwo: **Bolesława Prusa, Dr. Bouffała, Lud. Grędyńskiego, Ludwika Straszewicza i w. in.**
- „KURJER LITEWSKI“ czytelnikom swoim **udziela bezpłatnych porad prawnych** w sprawach, dotyczących organizacji życia publicznego, lub utrudnień prawno-administracyjnych.
- „KURJER LITEWSKI“ dodaje **co miesiąc bezpłatnie tom zajmujący powieści lub romansu.**

WARUNKI PRENUMERATY:

«Kurjera Litewskiego» z dodatkiem książkowym

W WILNIE: Rocznie 8, półrocz. 4, Kwartał 2, Miesięcz 70. Z przesyłką pocztową rocznie 10, półrocz. 5, Kwartał 2 50, Miesięcz 84.
Za ekspedycję dodatku książkowego (co miesiąc tom) dla zamiejscowych k. 10 od tomu. Zmiana adresu 20 kop. Za odnośzenie do domu kop. 10 miesięcznie.

„GONIEC WILEŃSKI“

Polityczny, Społeczny i Literacki

Najtańsze i najbardziej rozpowszechnione pismo polskie codzienne na Litwie.

Daje wyczerpujący obraz życia w gubernjach litewsko-białoruskich i informuje o ważniejszych zjawiskach we wszystkich dzielnicach polskich w Rosji i zagranicą. Posiada licznych korespondentów własnych w kraju i zagranicą. Z obrad Dumy Państwowej i Rady Państwa, prócz telegramów urzędowych, podaje korespondencje i telegramy specjalnego korespondenta.

«GONIEC WILEŃSKI» kosztuje:

W Wilnie: Rocznie 6 rb., Kwartalnie 1 rb. 50 k., Miesięcznie 50 k. Za odnośnienie do domu miesięcznie 10 k. Na prowincji: Rocznie 8 rb., Kwartalnie 2 r., Miesięcznie 70 k. NUMER pojedynczy 5 kop.

Adres Redakcji i Administracji: «GONCA WILEŃSKIEGO»
Wilno, Dominikańska № 17.

Od początku roku 1910 wychodzi w Petersburgu tygodnik Katolicki

„POD ZNAKIEM KRZYŻA WIARA I ŻYCIE“.

Warunki przedpłaty w Petersburgu i na prowincji: rocznie — 2 rb., półrocznie — 1 rb., kwartalnie — 50 k.

Adres redakcji i Administracji: Petersburg, ul. 1-sza rota 7—9 m. № 164.

Dochód z pisma przeznaczony jest w połowie na szerzenie prasy katolickiej i w połowie na Seminarium archidiecezjalne. Prenumeratę upraszamy przysyłać wprost do Redakcji.

KSIEGARNIA POLSKA W PETERSBURGU

WŁODZIMIERSKI № 13.

POLECA:

- Bartoszewicz K. Księgi humoru polskiego 4 tomy, ozdobione portretami i autografami humorystów i satyryków polskich rb. 4 k. —
- Chmielowski P. Nasza literatura dramatyczna, 2 tomy rb. 3 k. —
- » Współcześni poeci polscy rb. 2 k. —
- Darowski A. Szkice historyczne. Polacy w Kremlu. Balcer Chmielowski. Mamborski jeniec. Zatarci O. starostów rb. 1 k. 80
- Dembowski L. Moje wspomnienia z czasów W. Księstwa Warszawskiego i wojny polsko-rosyjskiej 1831 r. 2 t. rb. 3 k. —
- Kaczkowski Z. Kobieta w Polsce. Studium historyczno-obyczajowe 2 tomy rb. 3 k. —
- Karbowiak A. Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich, część I, od 966 do 1463 r. rb. 2 k. —
- » Dzieje wychowania i szkół w Polsce. Wieki średnie, część II od 1364 do 1432 r. rb. 2 k. 70
- Kraushar A. Losy Miączyńskiego, marszałka konfederacji Barskiej, generała wojsk Republikańskich za czasów Wielkiej rewolucji francuskiej z 50 ilustracjami rb. 2 k. 40
- Krechowiecki A. O tron, powieść hist. z XVII w. 3 t. rb. 4 k. 50
- Lisicki H. Napoleon III i Włochy rb. — k. 80
- Łuniski E. Na stos, karta hist. z czasów Jana III-go rb. — k. 60
- Mycielski J. «Książę Panie Kochanku» w świetle własnej korespondencji. Studium historyczne rb. — k. 70
- Niedziałkowski. Wrażenia z pielgrzymki do Ziemi Świętej 100 ilustracjami w tekście rb. 4 k. 50 w ozdobnej oprawie rb. 6 k. —
- Pradzyński I. Pamiętnik hist. i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej rb. 1 k. 50
- Puławski K. Szkice i poszukiwania historyczne. Z pamiętnika konfederata Barskiego. Korespondencja M. J. Mniszcha, marszałka w kor. z lat 1783-1790. Uchwały sejmiku wołyńskiego w Łucku w 1790 r. Szlachta Podolska w czasie zaboru tureckiego 1672 do 1699 r. Machmet Girej, chan tatarów pereko-pskich i stosunki jego z Polską 1515-1523 rb. 1 k. 80
- Spasowicz W. Najnowsze poglądy w nauce prawa karnego rb. — k. 40
- Stara i młoda prasa. Przyczynek do hist. liter. ojczystej 1872 r. rb. — k. 50
- Tretiak I. Młodość Mickiewicza. 1798 — 1824. Życie i poezja. Z dwoma portretami Maryli i Mickiewicza z lat młodych, 2 tomy. rb. 2 k. —
- Ułaszyn H. Kontrakty Kijowskie. Szkic hist. obyczajowy rb. — k. 60
- Zakrzewski W. Historia wieków średnich w zarysie rb. 1 k. —
- «Księgarnia» posiada wszystkie nowości książek i nut polskich wydane w kraju i zagranicą, pośredniczy w prenumeracie wszystkich pism po cenach redakcyjnych, zamówienia załatwia pocztą odwrotną za zaliczeniem pocztowem.

KSIEGARNIA

ANTYKWARIAT



50200066

KWARTALNIK LITERATURY

potrafił skupić koło swego szlaku literaturnego uczonych, literatów i artystów, w tej liczbie obiegali

stałe współpracownictwo:

P.p. Abramowicz L., Bolsunowski, Brensztejn M., Budhak Jan, Czerha St., Ciechowski W., dr. Czarkowski L., Czarnocki Sz., ks. Czeczott W., dr. Dąbkowski Przem., Dmochowski Tad., X. Dunin-Kozicki, Dynowska Hel., Etlinger, Federowski Michał, mecenas Federowicz W., Flery, Gilbert-Studnicki Wacław, Głazycki J. M. (Marek Gozdawa), Gloger Z., ks. prof. dr. Godlewski Mich., Gomulicki Wiktor, dr. Gójski, Hłasko St., Iwanowski Ant., Jankowski Czesław, Jarczycki St., Jeleńska-Dmochowska E., Jelski Al., dr. Ketrzyński W., dr. Kopera F., prof. Korzon Tad., dr. Kosciakowski St., Koszałkiewicz W., mec. Kraushar Al., ks. prałat Kurczewski, mec. Kulczyński Bohdan, Leśki Z., Łuckiewicz J., bar. Mauteuffel O., mec. Meyer Leopold, Mienicki Wit., ks. Milkowski St., Mościcki H., mec. Olszanowski, dr. Papée, dr. Prohaski Ant., prof. Plaszycki St., Rawita-Gawronski Fr., dr. Rómer Mich., Rouba Nap., hr. Rożnowski T., Ruszczyk, Rybnikiewicz Mich., prof. Smolka St., Szklennik Al., Szumiewicz Wacław, książe Tokarzewski-Karaszewicz Jan, Urzędło L., dr. Zahorski W., Zasławski L., Zdziechowski Kaz. i wielu innych.

Kwartalnik Litewski

wychodzi cztery razy na rok w marcu, w czerwcu, we wrześniu i w grudniu w objętości za każdym razem od 10 do 12 arkuszy z ilustracjami.

PRZEDPŁATA WYNOŚI

Rocznie 5 rb. Półrocznie 2 rb. 50 kop. (włącznie z przesyłką).

Cena pojedynczego tomu (bez przesyłki) 1 rb. 50 kop.

Cena ogłoszeń: za całą str. 20 rb., za 1/2 str. 10 rb., za 1/4 str. 5 rb.

Przedpłaty przyjmuje:

Wydawca J. Obsl. Petersburg, Jekateryński kan. 52 m. 110,
oraz składy główne „Kwartalnika Litewskiego”:

w Wilnie: Księgarnia Zawadzkiego;

w Warszawie: Gebeliner i Wolff;

w Krakowie: „Księgarnia Kat.” dr. W. Miłkowskiego (plac
Maryacki 9);

w Petersburgu: „Księgarnia Polska” (Włodzimierski pr. 13).